



POWIEŚCI HISTORYCZNE  
J. I. KRASZEWSKIEGO  
(WYDANIE TANIE).

---

Tom czterdziesty trzeci.



# SEMKO.

(Czasy bezkrólewia po Ludwiku).

(Jagiełło i Jadwiga).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

---

1890.

Дозволено Цензурою.  
*Варшава, 28 Октября 1889 года.*



~~~~~  
Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Nowolipki Nr 9.



# I.

Nazajutrz do dnia zastukano do furty klasztornej i ludzie Hawnula, którzy przywykli byli zaopatrywać w żywność i wszelkie zapasy ojców Franciszkanów, przywieźli czego potrzebowano na stół książęcy.

Pamiętał o tem niemiec, że przyprawy korzenne stanowiły najprzedniejszy przysmak ówczesny, nie brakło więc ani szafranu, ni imbieru, gwoździków, ani tak zwanych rajszych ziarenek, które rybę i mięsiwa osmaczać miały.

Jeden z braciszków był kncharzem, a przyjął podarek z wielką radością, równie jak ojciec piwniczny piwo, miód i tak zwane romańskie wino.

Obawy więc o głód nie było, lecz ani do obiadu, ani po nim Hawnul sam się nie zgłosił, i nie dał znać o sobie.

Sługa nie miał zlecenia żadnego, i nie obiecywał go. O. Paweł zaś twierdził, że Hawnul, którego tu różnie: wójtem, starostą i podskarbinem zwano, najczęściej wieczorami zwykł był ich odwiedzać.

Chwalili go ojcowie, jako człowieka, który więcej miał dla wiary pracować niż dla siebie, a była mu ona już wiele winną.

Chodziły od pewnego czasu pogłoski, o których i w klasztorze wiedziano, że Jagiełło miał postano-

wienie chrześcianinem zostać, że się do tego zobowiązał Krzyżakom, ale chrztu z ich rąk się brzydził. Nie lepiej dla nich byli usposobieni i ojcowie Franciszkanie, pomni tego, że zakon teutoński czasu swych wycieczek na Polskę i Litwę, nie oszczędzał ani kościołów i klasztorów, ni osób duchownych. Było tego przykładów wiele.

Ojciec Paweł, przełożony, mówił o nich ze zgrozą i politowaniem razem, pojąć nie mogąc, jak się oni zakonem zwać śmieli, żadnej z cnót zakonnych nie mając, a na wszelką rozpasani swawolę. Rozpowiadano o ich łupieżach i morderstwach na Litwie, rzeczy niemal do prawdy niepodobne, gdyby świadkowie i ofiary nie były powszechnie znane.

Temu też przypisywano wielki wstręt Litwy do wiary chrześcijańskiej, która z krwią i morderstw przychodziła.

Przez cały dzień ten do wieczora trwały ciche, w izbie gościnnej rozmowy, z których książę wiele się o dworze i osobach, składających go, dowiedział, zapoznając z liczną rodziną Jagielly.

O mroku już niespodzianie przybył Hawnul, jak zazwyczaj, samotrzeć tylko, z dwojgiem czeladzi, którą za furtą zostawił. Nie potrzebował on tu przewodnika, był jak w domu.

Radość zabłysła na wszystkich twarzach, gdy go ujrzano, on też na swą gromadkę poglądał z tą pociechą wewnętrzną, jaką mu dawało przekonanie, iż był opiekunem nie słowem tylko, ale czynem.

Semkowi pilno było dowiedzieć się, jak stała sprawa, którą powierzył Hawnulowi.

— Jagiełło w nocy dopiero z łowów powrócił — rzekł Hawnul — otrzymał tu wiadomość o nowym napadzie Krzyżaków na granicy, pomimo rozejmu świeżo zawartego. Sierdzisty był i zagniewany, mówić z nim nie pora była. Starąłem się tylko dostać do w. księżnej matki, która teraz jedną myślą jest zajęta wstąpienia do monasteru, dla ukończenia w nim

żywota na modlitwie, ale wprzódę córkę za męż chce wydać. Odwodzimy ją od obleczenia sukni zakonnych, gdyż bez tej pani, która na syna ma wpływ wielki i zbawienny, trudniej nam będzie z nim poczynać.

Ponieważ w. miłość nie chcesz tu dłuższego czasu spędzić w oczekiwaniu — dodał Hawnul.

— Nie mogę — przerwał Semko wzdychając. — Uczyniłem i tak ofiarę dla Witolda wielką.

— Staralem się właśnie dla pośpiechu — ciągnął Hawnul dalej — mówić dziś z księżną matką i zwierzyłem się jej ze wszystkiego.

Sluchała mnie pobladłszy, zaniemiała, lecz bez gniewu i złej woli. Gdym jej opowiadał o was, siedziała zadumana, słowa nie mówiąc, rozważając com przyniósł. Pani to jest rozumu i powagi wielkiej, ale tak bojaźliwa i nieufna jak syn, gdy o stanowczy krok chodzi. Nierychło więc mi odpowiedziała nawet od tego poczynając, iż szczerości Witoldowej, wiary dać nie było można. Widzi ona korzyści pojednania, lecz ono będzie hasłem nowej a okrutnej, zaciętej wojny z zakonem, który za zdradę mścić się nie omieszka. W chwili, gdy Witold zbieży, potrzeba już stać w gotowości do odparcia napaści Krzyżaków.

Księżna Julianna nie jest przeciwną temu, by Krew z ojcowizną zwrócić synowi Biruty, lecz przewiduje trudność wielką w ulagodzeniu syna i skłonieniu go do przebaczenia i zgody.

— Wspomnieliście jej o mnie? — zapytał Semko. — Mówiliście kto z tem przybył?

— Oznajmiłem tylko o pośle wiarogodnym od księcia, nie wymieniając imienia waszego — odpowiedział Hawnul. — Potem dopiero gdy powątpiewać zaczęła, czy całe posłannictwo nie jest podstępem krzyżackim i zdradą, musiałem mianować was i o pierścieniu danym na znak powiedzieć.

O Birucie posłyszawszy, zapłakała księżna i łzę otarła.

Jagiello — mówił dalej Hawnul — jutro znown w lasy jedzie i nie powróci aż pod noc. Jeżeli chcecie, możemy jutro z południa we dwu, do starej księżnej iść. Nikt widzieć nie będzie kto jesteście, a ja do niej wprowadzę.

Po krótkim namyśle Semko zgodził się na to. Chciał o ile możności koniec rokowań przyspieszyć. Opanowywała go obawa, aby dla sprawy Witolda własnej swej nie wyrządził szkody. Bartosz z Odolanowa o posiłki się dopominał; a te bez rozkazu księcia wysłane być nie mogły.

Hawnul na wyprawę dnia następnego zalecił księciu strój przywdziać jak najmniej zwracający oczy, i taki, któryby raczej rusina kazał się domyślać, niż gościa z zachodu. Rusi bowiem było tu wiele, gościli zawsze na dworze kniaziowie i bojarowie, posłańcy od krewnych i powinowatych, a Litwini już z niemi oswojeni byli i niemal za swoich uważali. Z Nowogrodu też, Tweru, Pskowa, ze Smoleńska i od Kijowa przybywali kupcy, młodzi krewni księżnej, język ich i stroje nie raziły nikogo.

Umówiwszy się z Hawnulem, książę spokojniej oczekiwał jutra. Dla większego bezpieczeństwa starosta obiecywał sam przybyć po Semka, zawieźć na przód do swojego domu pod zamkiem, a potem pieszo do dworca w. księżnej przeprowadzić.

Chociaż dzień następny wilgotny był i mglisty, Hawnul stawiał się o godzinie naznaczonej, a Semko, dla którego koń stał w pogotowiu, jechał z nim razem do miasta i zamku, który zdala widnym był grnami mury, dworce i świątynię opasującami.

Długi czas kręcić się musieli uliczkami to piasczystemi, to błotnistymi, wązkiemi i popłatanemi nim się do zamku dostali. Tu już kilka znaczniejszych bndowli z drzewa i kamienia pod mury chroniących się widać było.

Stał też przy nich obszerny dwór starosty Hawnuła, do którego naprzód zajechali. Gospodarz usilnie zapraszał, ażeby księżę wstąpił do niego.

Niepozorny zewnątrz dwór Niemca, wewnątrz z wielką wspaniałością i wygodami był urządzony, ale jak owe czasy wymagały, przepych ten był ruchomy, aby na znak najmniejszy, czasu niebezpieczeństwa obnażyć z niego było można domostwo i ukryć te skarby.

Znać było na wszystkim człowieka, który zachodnie obyczaje znał i miłował. Ponieważ trafiało się, że księżęta, bojarowie i znaczniejsi Litwini zachodzili do starosty, jawnych więc oznak chrześcijańskich nie było, ale Hawnul pochwalił się przed księciem, na klucz zamkniętą kapliczką, całą świecącą od złota. Tu wiekuista lampka paliła się przed obrazem N. Panny, o którym twierdził Hawnul, że go św. Łukasz malował, nadzwyczajną do niego przywiązując cenę. Ze dworu Hawnuła pieszo szli na dolny zamek, który w sobie i świątynię pogańską zawierał, otoczoną nie wielą, ale bardzo staremi drzewy. Samego pogańskiemu chramu widać tylko było nieforemną wieżycę z polnych kamieni, przed wieki wzniesioną, i mur również niekształtny, opasujący świątynię, z której unosił się dym gęsty, słupem ogromnym wzbijając się w górę.

Starosta opowiadał, że tam płonął ogień wieczny, który Litwa za święty czcila i uważała, kłaniając mu się i znosząc ofiary.

Zdała nie więcej dojrzeć nie było podobna, oprócz przesuwających się koło murów, między dębami postaci w sukniach długich, z szerokimi pasami białymi, w czapkach, w wieńcach, z łaskami krzywymi w ręku.

Mieli to być kapłani i wróżbici, którzy ognia tego dzień i noc strzegli.

W dolinie tej, wedle opowiadań Hawnuła, odbył się obrzędem pogańskim ze wspaniałością wielką po-

grzeb zmarłego Kiejstuta, w tem miejscu, gdzie dawniej ciała wszystkich zmarłych książąt palono.

— Pomoże-li Bóg—dodał cicho.—Spodziewam się, że tu już Jagiellły palić nie będą, a po chrześcijańsku pogrzebiony zostanie, i na miejscu bałwochwalczego ognia wzniesiem ołtarz Bogu prawdziwemu, a nad nim krzyż Pański.

Mówił to Hawnuł ze wzruszeniem i ze łzami w oczach...

W głębi obszernego podwórca ku rzece, parkanami wysokimi oddzielone, stały teremy księżnej Julianny, w których ona z córkami i dworem swym prze-mieszkiwała. Dworce te w części z kamienia, częścią z drzewa pobudowane, malowane były zewnątrz jaskrawo, a na głównych ścianach około drzwi i wązkich okien złocenia widać było.

Hawnuł ukazując zdala budowy te, mówił i o znajdującej się tu cerkwi ruskiej, na której, jak na kościółku, krzyża nie było, ani żadnej zewnętrznej oznaki.

— Jagiello szanuje religię matki — mówił starosta — ale się na swoich duchownych oglądać mnsi, którzy już są niechętni i oburzeni, że tuż obok świątyni cerkiew stoi, i księża chrześcijańscy chodzą koło niej, a szczególnie Nestor, kapelan księżnej, niemiły im, bo znehwałym się okazuje. Sam Jagiello napominać go mnsiał i przestrzegać.

Semko przypatrywał się ciekawie, gdyż to, co tu widział, niepodobnem było ani do tego, co u Krzyżaków oglądał, ani co się w Polsce i na Mazowszu spotykało.

Jednakże dawał się tu i owdzie dojrzeć wpływ zachodu, a więcej jeszcze Rusi, której znaczna część należała do litewskich książąt, lub w ścisłych z nimi była stosunkach.

Zbliżali się zwolna ku dworcowi starej księżnej, pominąwszy wrota, u których na straży siedział stary odźwierny. Mniejsze podwórze, otaczające go, schlu-

dnie było utrzymane, a przed wnijsciem stały ozdobnie wyrzynane słupy i ganki z balasami malowanemi.

— Mnszę miłości waszej prosić — odezwał się Hawnnl — abyście raczyli tu chwilę pozostać, nim się dowiem, czy u księżnej niema kogo z duchownych jej, boby niepotrzebnie zobaczywszy go mogli rozgadać...

Semko uczuł się trochę tem upokorzony, iż mu oczekiwać kazano, zarumienił się, bo gorąca krew łatwo się w nim poruszała, a nie chcąc stać w miejscu na oczach straży, podszedł dalej w dziedziniec, na który boczne okna dworca wychodziły.

Niewiele tu było do widzenia, bo nawet otwory te przez ostrożność, aby do żeńskiego dworu księżnej mężka czeladź nie zaglądała, wszystkie były gęstą, zieloną siatką zaciągnięte.

Budynek wyglądał jak więzienie, chociaż pomiędzy oknami na przestrzał umieszczonemi, dostrzedz było można jakichś żwawo się przesuwających postaci.

Były to liczne rusinki i greczynki w służbie księżnej i córek jej zostające, które okolo krosien i posług różnych się krzątały.

Wszedłszy kroków kilka w tę stronę, Semko zatrzymał się, jeszcze pod wrażeniem guiewu, który mu trudno przewyciężyć było. Stał niedaleko tych okien tajemniczych, gdy w jednym z nich uchyliła się siatka zielona, i ciekawa główka niewieścia ukazała.

Książę był w kwiecie młodzieńczego wieku mężczyzną, którego ród szlachezny łatwo było rozpoznać można, domysleć się go nietylko z rysów twarzy, ale z dumnej i swobodnej postawy.

Zjawienie się tutaj, dziwne, gościa zupełnie nieznanego, musiało młodzieńcze dziewczę zaciekawiać, bo wielkie niebieskie oczy wlepiło w niego z zuchwałością dziecięcą.



Semko zobaczył piękną dziewczynę, która zawsze i wszędzie musiałaby zwrócić oczy każdego mężczyzny.

Jak w księciu można było odgadnąć łatwo ród pański, tak i w jej twarzyczce śmiało się wpatrującej w niego, każdy się mógł domyślać nie prostej służebnej, ale dziecięcia domu.

Piękność sama, delikatność rysów, nadzwyczajna płeć białosc istotom w zamknięciu trzymaym właściwa, wyraz oblicza dumny i niemal zuchwały, chociaż wesół rozpromieniony, naostatek strój, którego część widzieć się dawała; złoty wianuszek na głowie i kolce bogate, białe pod szyją rąbki, na rękach kręgi złote, sukni bramowanie wytworne, mówiły, że dziewczę albo do rodziny książęcej należeć musiało, lub było z nią blisko pokrewne.

Zdumienie nadzwyczajne małowało się na twarzyczce dziewczęcia, zdającego się dziwić zuchwalstwu człowieka, tak nieopatrznie podkradającego się pod te ściany, ku którym pod najśrodszą karą zbliżyć się niewolno było nikomu. Zgadywała, że obcym musiał być, ten zabłąkany tu człowiek.

Oczy pięknego dziewczęcia i Semka spotkały się z sobą, wcale niestrwożone i nie unikając się wzajemnie.

On i ona, jakby się wyzywali, przypatrując sobie, kto pierwszy ustąpi.

Jasnowłosa, niebieskooka nieznajoma, zmarszczyła się bardzo groźnie, nastawiła brwi srogo, podniosła dumnie różowe usteczka, rzuciła główką, sądziła, że się przełęknie zuchwały napastnik.

Semko się tylko zalotnie do niej uśmiechał.

Obyczaj ówczesny wprowadzie oddzielał płcie po klasztorne, zamykał kobiety, ale działał na nie, jak haremy wschodnie. Ośmielał je, gdy się zrećzność nadarzała, uniewinniał i napastliwość mężczyzn, i prędkie uleganie urokom zakazanego owocu.



Pomiędzy ciekawem dziewczęciem, a niemniej zajętym tym zjawiskiem niespodzianem Semkiem, odegrała się scena niema.

Na uśmiech jego, dziewczę przed chwilą tak groźne, nasepione strasznie, rozśmiało się odpowiadając, pokazało ząbki białe... ale nie uciekło... Stało jak przyklejone do okna.

Semko uzuchwalony tembardziej jeszcze, położył ręce obie na piersiach, a potem jedną z nich ku oknu wyciągnął.

Dziewczę niby się przestraszyło, niby oburzyło, zasłona opadła, twarzyczka znikła, ale po bardzo króciuchnym przestanku, różek się jej podniósł, błysnęły z za niego oczy, a białe paluszki pogroziły...

Tak była piękną ta swawolnica, że ksiązę zapomniał nawet o swem upokorzeniu, o Hawnnlu, bodaj o celu podróży. Zbliżył się ostrożnie. Zasłonę zieloną spuszczeno, lecz nie skończyło się na tem jeszcze.

Dziewczę podniosło ją znowu, pokazało się uśmiechnięte wesoło, do pół odkrywszy, z rączkami obiema, któremi żywo dawać zaczęło wyraziste znaki, o jakimś niebezpieczeństwie oznajmujące.

Semko, zapatrzony w śliczny ten obrazek pozostał zupełnie obojętnym, i w zamian za nie posłał od ust całusa.

Zielona siatka opadła szybko bardzo, ale z za różka jej ostrożnie uchylonego, Semko dostrzegł wielkie niebieskie oko, które patrzyło na niego i śmiało się, a młody pan, poruszony do żywego gotów już był rozbijać okno i mur, aby się zbliżyć do czarownicy.

Miał już podbiedz do ściany, gdy usłyszał chód, szmer i Hawnula zobaczył przed sobą.

— Chodźmy! chodźmy! — zawołał głosem niespokojnym starosta. — Książę się wkradłeś w zakazane

miejsce... tu u nas jak w klasztorze mniszek, surowo zabroniono zbliżać się nawet mężczyznom...

— Zapomniałem o tem — odpowiedział Semko, jeszcze cały przejęty widzeniem, którego żałował — taką tu piękność najrzałem w oknie, że można było dla niej utracić zmysły.

Hawnul syknął, ręką podrzucając.

— Al źle się stało! — To pewnie jedna z naszych księżniczek, a kobiety, jeśli was widziały, będą o tem rozpowiadać, i domyslać się nie wiem czego.

W przedsieni u wchodu do komnat starej księżnej, stała straż ruska. Dwóch ludzi brodatych, w czapkach wysokich, z berdyszami w rękach i mieczami u pasa.

Za sienią mała przedsień dzieliła ją od izby, w której księżna Julianna przyjmować była zwykła. U drzwi zawieszonych ciężkim kobiercem, stało pachole, które zasłonę podniosło.

Komnata była przyciemniona nieco, ale czyniła wrażenie książęcego mieszkania... Ściany jej całe zawieszone były oponami wzorzystymi, podłoga wysłana kobiercami wschodnimi, w kącie wielki obraz złocisty świecił drogiemi kamieniami. Lampa zawieszona od stropu, gorzała przed nim.

Sprzęty jedwabiami pookrywane, na stołach naczynia złote, emaliami ozdobne, zapach jakichś wschodnich woni, piżma i różanego olejku, przypominały kościół i kadzidła do nabożeństw używane.

Księżna przygotowana na przyjęcie Semka, siedziała za stołem, w wielkiem krześle złożonem, ubrana ciemno, ale cała klejnotami okryta.

Na głowie miała strój kamieniami bogato sadzony, od którego pod brodę i na piersi spływały gęste sznury pereł, całą szyję odkrywające. Naramienniki też lśniły diamentami, a pas podobny, ręce w pierścieniach całe, nawet obówie było od złota i drogich kamieni.

Wychudła, przeciągnięta, blado-żółta twarz księ-

żnej Julianny, pełna była powagi i majestatu. Oczy jej wielkie, żywe, oprawne pięknie, patrzyły śmiało i pańsko.

Słusznego wzrostu, wyschła, otuloną była tak szatami szerokimi, iż postawy ledwie się domyślać było można.

W drugim końcu izby obszernej stały dwie strojne służebne, nieruchome jak posagi, obie jednakie, obie ze złożonemi podobnie rękami i spuszczonei oczyma.

Później na znak księżnej, jak automaty poruszyszy się, znikły.

Na pokłon księcia, matka Jagiełłowa, nie powstając, poruszeniem głowy tylko, i znakiem ręki powitalnym odpowiedziała.

Semko zbliżył się powoli. Majestat tej poważnej matki książęcego rodu, mimowoli onieśmielał go i czynił na nim wrażenie... Szedł z poszanowaniem ku tej, która się królową zwać lubiła.

Hawnul kilku słowami po rusku powiedzianemi, książęcia jej przedstawił.

Juliana przypatrywała mu się długo, bardzo ciekawie. Westchnęła potem.

— Witold was prosił — rzekła — słyszałam o tem od Hawnuła. Podjęliście się bardzo ciężkiej sprawy przez miłość dla niego. Jagiełło mocno zagniewany przeciwko niemu, i trudno, aby mógł mu przebaczyć.

Jak tu się jednać, kiedy się lękać potrzeba, aby jutro nie być zdradzonym?

— Zdaje się — rzekł Semko powoli — że gdy książę Witold raz z Krzyżakami zerwie, zdrady z jego strony już się lękać nie można. Nie przebaczą mu nigdy.

Witoldowi cięży sromotna u Krzyżaków niewola, nie żąda on więcej nic, tylko przebaczenia, pojednania i ojcowizny.

Księżna słuchała bacznie, potrząsając głową.

— Żal po stracie ojca, tłumaczy go, że z bólu wielkiego do Niemców się przerzucił — dodał Semko.

— Ale Jagiełło niewinien jest krwi jego — żywo przerwała Julianna. — Na krzyż i Ewangelię poprzysiądz to mogę.

Zemstę za Wojdyłły śmierć samowolnie popełnili jego powinowaci, i ukaranoby ich przykładnie, gdyby — tu księżna spuściła głowę, przerwała i zadumała się.

— Jestem przyjacielem i posłem tylko — począł Semko. — Przychodzę do miłości waszej, jako pośrednik zgody i pokoju. Witold na znak, iż mi powierzył tę sprawę, dał ten pierścień i w imię pamięci księżnej Biruty, która go nosiła, do serca się waszego odzywa.

To mówiąc książę schylił się i pierścień zdejmując z palca, przed Julianną położył.

Oczy jej zatrzymały się na nim chwilę, wzięła go w białe, wychudłe ręce, popatrzała smutnie i napowrót Semkowi oddała.

— Uczynię co mogę — rzekła — syna, który mnie kocha, prosić będę, choć nie wiem czy mi Bóg dozwoli wymodlić to przebaczenie.

Trudno obrazy tak wielkiej i zdrady zapomnieć...

— Witold będzie pomocą wielkiemu księciu do pokonania Krzyżaków — dodał Semko. — Miał czas się im przypatrzeć, i zbadać wszystkie ich tajemnice. We dwu z Jagiełłą skruszą potęgę zakonu.

— O! ten zakon! Ci niemcy! — odezwała się zadumana pani. — Jak ich ten krzyż Pański, Zbawiciela naszego, który świętokradzko na piersi noszą, nie spali! I cierpi to Bóg!

Gdy się tak zwolna bardzo, przerywana przestankami, ciągnęła rozmowa, Semko, pomimo całej zwróconej na nią uwagi, dostrzegł, że zasłona we drzwiach przeciwnych poruszała się, drgała, odchylała ostrożnie i zdawało mu się, że z za niej toż samo oko niebieskie patrzyło, które widział w oknie teremu.

W tejże chwili podniosła się opona i dwoje dzieciwcząt, w których rysach poznać było można pocho-

dzenie wschodnie, wniosły na złotych misach nalane knbki, które Julianna Semkowi i Hawnulowi podać kazala.

Zmienił się teraz tok rozmowy, poczęła księżna dopytywać o Dawnutę Januszową, o jej pożycie z mężem i rodziną, potem samego Semka o wiek jego, o zajęcia, czy łowy lubił i czy już na wojnę chodził.

Wspomniała potem o ojcu jego Ziemowicie, jak gdyby pragnęła, a nie śmiała rozpytywać o smutną a krwawą historię drugiej żony jego, matki Henryka, która wówczas po całym świecie głośnie, a różnie była rozpowiadana.

Semko sromając się szerzej mówić o tem, zamilkł znacząco. Julianna też nie nalegała.

Wrócił do pierwszej prośby swej za Witoldem, na co Julianna zadumana, mało co już odpowiadała... Zarazem Semko własną też z Jagiełłą sprawę polecał, chcąc przyjaźni sąsiedzkiej, i zgody, a zaręczając za to, że dotrzyma wiernie sojuszu.

Już odchodzić zamyślał książę, gdy Julianna zatrzymała go, chcąc się dowiedzieć co w Polsce słychać było, i kogo tam na tron prowadzić chciano. Odpowiadając na to Semko miał zrećzność napomknąć, że właśnie stan niespokojny Wielkopolski sąsiedniej, zmuszał go do jak najprędszego powrotu.

Nie mu nie przyrzekając, księżna, gdy się jej nisko kłaniał żegnając, odezwała się z cicha.

— Zatrzymajcie się a czekajcie, aż wam dam znać. I ja pragnę zgody i pokoju. Dałby je Bóg.

Ręką pozdrowiła odchodzącego raz jeszcze, łagodniej mu się uśmiechnawszy, i wyszli razem z Hawnulem, który w sieniach zaraz szepnął księciu, iż z przyjęcia jak najlepiej wróżyć można, gdyż księżna okazała się łagodną i przystępną, a niezawsze taką bywała.

Powrót do domu starosty, mnsiał być z pewnemi ostrożnościami połączony. Hawnul naprzód do wrót doszedłszy, obejrzał podwórcę, lękając się, ahy któ-

rego z braci Jagiełłowych, lub starszyny dworskiej nie spotkali.

Służby wprawdzie kręciło się tu mnóstwo, ruch był na zamku wielki, lecz szczęściem sama czeladź tylko, niewolnicy, parobcy przed wieczorem się krzątali, nosząc drwa do łazien, obroki do stajen i zapasy do kuchen potrzebne.

Wśród tej gawiedzi różnorodnej i różnoplemiennej, Semko z łatwością rozpoznawał niewolnika wszelkiego, Polaków, Niemców, Rusinów, Tatarów. Niektórych po kilku przeprowadzali dozorczy zbrojni, na znak zwierzchności białe laski mający w rękę. Inni pokowywani byli w dyby, a ci co w ucieczce zostali pochwytani, z pogolonemi włosami i brodami, skuci byli w łańcuchy.

Wielki przepych i bogactwo łączyło się tu wszędzie z jakąś dzikością i zaniedbaniem. Dworce samego Jagiełły, obszerne, na zewnątrz mniej się czysto i strojno stawiały niż starej matki jego.

Dwór też, nawet bliżej stojący osoby pana, odziany był z prosta i niewytwornie.

Przeszedłszy niepostrzeżeni dziedzińce i wrota, zwrócili się znowu do domn starosty, który do siebie księcia na posiłek zapraszał, ofiarując się potem sam przeprowadzić go napowrót do klasztoru.

W małej izbie, na nstroniu, nie chcąc aby ich kto zszedł niespodzianie, przyjął Hawnul gościa, wytwornemi łakociami i wybornem winem.

Pomimo, iż Semko rad być mógł z dnia tego, i nadziei jakie mu Julianna czyniła, przez cały ciąg pobytu u Hawnula pozostał chmurnym i milczącym.

Przyczyniało się może i do tego i wspomnienie dziwnego spotkania z ową piękną twarzyczką, która na młodym panu uczyniła wielkie wrażenie, namiętność jakąś zbudziła.

Nie wahał się nawet dopytywać o nią starostę, a ten, z opisu wnosząc, domyślał się w nieznanym, księżniczki Olgi, najmłodszej siostry Jagiełłowej.

Wszystko co o dziewczęciu mówił Semko, zgadzało się z tem, co staroście o niej wiadomem było.

Olga była chrześcianką i Hawnul wiedział, że matka nie inaczej jak za chrześciańskiego księcia wydać ją chciała.

Po krótkim wypoczynku, gdy się już nazad do klasztoru wybierać mieli, wbiegło pacholę pilno szepcząc coś panu swojemu do ucha. Hawnul porwał się z siedzenia.

— Jagiello powrócił i ja muszę do niego — rzekł żywo — racz się książę chwilę zatrzymać, a potem służba moja odprowadzi bezpiecznie do ojców naszych.

Zniknął natychmiast starosta, a po nie długiem oczekiwaniu zjawił się milczący niemiec, poklonił i dał znak, że jechać mogli.

Wkrótce, przebywszy przedmieścia stanął Semko u furty klasztornej, gdzie go powitał przełożony, dopytując o wrażenie jakie na nim zamek i dwór uczynił.

Młody książę niewiele umiał powiedzieć, czuł nadewszystko, że mu to jego tajemne posłannictwo, z jego dnmą i charakterem niezgodne, ciążyło wielce.

— Ojciec mój — rzekł w końcu ręce podnosząc do góry — niewiele widziałem, a mniej jeszcze rozumiem, co się u was dzieje. Proście Boga za mną, aby czas tej próby ciężkiej skrócił, bo zaprawdę, nie nawykły do skrywania się jak złoczyńca, gdyby to dłużej trwać miało, rzucę wszystko i popędzę do domu. Podjąłem się nie swojej rzeczy. Starszego i wytrawniejszego niż ja potrzeba było człowieka.

Do swobodnego rozkazywania w domu nawykły Semko, czuł się niemal więźniem w tej małej zagrodzie i wyrzucał sobie, że się dał zakuć w taką niewolę.

Nazajutrz zrana, poszedł jak zwykle, na mszę świętą, zjadł, legł na posłanie, ludzi swoich przywo-



łał, o konie rozpytał i nakazał, aby do drogi na skienienie byli gotowi.

Męczyła go zwłoka i upokarzające oczekiwanie. Niekiedy przychodziły mu na myśl niebieskie oczy wczorajsze, ale zbliżyć się do nich nie miał już nadziei.

— Choćby i siostrą Jagiełły była — mówił sobie — niegorszy jestem od innych książąt, wzięłbym ją mógł, ale któż wie, czy istotnie księżniczką jest, a nie ulnbioną jaką starej niewolnicą.

Bawił się dziecinnie myślami temi, aby o istotnym frasunku zapomnieć, gdyż upływające nadaremnie godziny, niecierpliwość i oburzenie zwiększały. Poganiń ten śmiał jego, potomka Piastów tak przyjmować, jakby zbiegiem był jakimś, potrzebującym łaski, jego!!

Gniew rosł coraz bardziej, gdy z południa nadbiegł Hawnul, żywo i wesoło a głośnie dopytując już w podwórce o księcia. Semko znudzony i stęskniony wybiegł na jego spotkanie.

— Księżna Julianna mówiła już z synem — począł Hawnul. — Z początku gniewem się uniósł wielkim, nie chcąc ani słuchać o zdrajcy. Powoli go jednak ułagodziła.

Namyslił się sam i wczwał mnie, naradzał się z braćmi. Skirgiełło i Korygiello byli przeciw zgodzie, Wigund za nią, Jagiełło też skłania się już do niej. Chce widzieć się i mówić z wami. Dobry to znak.

Jedziemy na zamek. Jagiełło jednak słusznie obawia się, aby was tu widziano i mówiono o waszym pobycie... a zawczasie zdradzono, że się z Witoldem układa. Musimy wszystko w jak największej zachować tajemnicy.

Wejdziemy na zamek przez dom mój, z którego mam kryty chód do dworca Jagiełły.

Na konie czekać długo nie potrzebowali. Semko uradowany, że się chwila wyzwolenia dla niego zbli-



żała, śpieszył. Hawnul, znający dobrze Jagiełłę, zdawał się mieć nadzieję pomyślnego końca.

Szybko przebiegłszy przedmieścia, zsiadli przed domem starosty pod murami. Hawnul wprowadziwszy do wnętrza, ciemną szyją jakąś i ciasnem przejściem, opatrzonem żelaznemi drzwiami, wprost Semka na dworzec w. książęcy wiódł.

Sieni pełne były zbrojnej służby, dziwacznie uzbrojonej i strojonej.

Ustępowała ona widząc Hawnula, który wszedł potem do komory dużej, przyciemnionej, różnej wcale od izb księżnej matki.

Nie widać tu było nietylko przepychu, ale starania o wygodę, starodawna prostota i zaniedbanie panowało.

Na ścianach powbijane rogi jeleni i łosiów dźwigały poczepiany oręż i myśliwskie przybory, podłoga prosta posypana była jedliną i jałowcem. Okna małe skąpo światło przepuszczały.

Semko dostrzegł nad progiem we wgłębieniu, ustawione dziwaczne bałwanki drewniane, niezgrabne, obudzające wstręt i obawę.

Dla niego było w nich coś szatańskiego.

Drogi od drzwi do drzwi, prostem suknem grubem były powyścielane. Na ławach miasto poduszek i kobierców, wyszarzane, poskładane w kilkoro wiślały wołoki.

Wszedłszy do izby nie zastali w niej nikogo. Hawnul ostrzegł Semka, aby, gdy wyjdzie Jagiełło, zbyt natarczywie nie przybliżał się do niego, gdyż książę obawiał się tego i od wszystkich trzymał zdaleka.

Wpojono mu od dzieciństwa wiarę w czary i postrach trucizny, która się samem dotknięciem udzielić mogła.

Zostawując księcia samego, Hawnul wyszedł i natychmiast powrócił.

Czekali w milczeniu.

Ze zwróconemi na drzwi oczyma stał książę, za każdym szmerem spodziewając się wejścia Jagielly, lecz nplynęło czasu dosyć, nim zwolna, ostrożnie zaczęły się uchylać podwoje, a w nich ukazała na pół postać mężczyzny średniego wzrostu, w sile wieku, z twarzą przystojną i czerstwą, która nieco przedłużonym swym kształtem rysy matki przypominała.

Z powierzchowności trudno w nim było poznać możnego władzcę Litwy.

Miał na sobie futerko szarem suknem, bez żadnych ozdób pociągnięte, a prostym pasem rzemien-  
nym ujęte. Szyja była obnażona, spadał na nią bujny włos ciemny.

Silnej budowy, krzepki, zahartowany, Jagiello miał w twarzy dziwny wyraz męztwa zarazem i siły a jakiejś obawy i niepewności..

Oczy biegały żywo i niespokojnie, jakby czegoś niespodzianego szukając.

W rysach tych była mieszanina wielu odcieni trudno godzących się z sobą, powaga, pewność siebie, zabobonna obawa i dobroduszna łagodność. Tej jednak zdawał się nie chcieć okazywać jawnie, czując się obowiązany swą dostojnością do wrażania trwogi. Zmuszał się do surowości, która mu nie przystawała.

Wstąpiwszy na próg, miał już wniść, zawrócił się nagle, obrócił parę razy w kółko, rzucił coś z palców zgniecionego na ziemię, drzwi roztworzył szybko i przestąpiwszy próg, na którym się był zatrzymał, począł iść ku Semkowi, przypatrując mu się pilno, śledząc każdy ruch jego.

Książę Mazowiecki pozdrowił go.

Jagielle usta się poruszyły, jakby szeptał zakłęcie. Hawnuł stał z boku.

Uwiadomionym był już Semko, że książę najchętniej i najłatwiej po rusińsku mówił, ale i polską ówczesną mowę łatwo rozumiał.

Czesi, Polacy, Serbowie łużyccy i Ruś nie potrze-

bowali naówczas spotykając się tłumaczów; języki te w prostej mowie ludowej, a innej nie było jeszcze, bliżej były sobie niż dzisiaj.

Jagiello potrzebował widać wprzód wpatrzeć się w gościa swojego i przez wzrok powziąć jakieś wrażenie, które mu charakter odgadnąć pomogło. Nie spuszczał z niego oczu niespokojnych.

Krok za krokiem szedł i stawał.

Na pozdrowienie Semka, nim odpowiedział Jagiello, dał wprzód znak Hawułowowi, który się ku drzwiom w głąb cofnął.

Głos, którym się odezwał do gościa był pośpieszny niewyraźny, bełkotliwy, tak, że pierwszych kilku słów nie mógł ksiązę zrozumieć.

— Wszystko już wiem, wiem — dodał zabierając miejsce na ławie, i siedzenie w pewnej odległości od siebie wskazując Semkowi — przysyła was ten... Wojował ze mną krwawo, niemcom służąc... Spotwarzył mnie przed ludźmi za Kiejstuta... Nieprawda, kłamstwo jest, no, a teraz pokoju chce??

Ale i Krzyżacy mi obiecują przymierze i zgodę, oni szłą listy do mnie i do matki. Witold powróci, a jutro zbuntuje się znowu.

Rozpostarł ręce szeroko.

Nie wierzę mu — nie mogę!!

No, i wy mi wrogiem byliście i jesteście. W koło wrogii! Miecza do pochew nie można położyć, nieustannie wojować trzeba, a wojować i bronić się. Dopiero pobiwszy, pokój mieć będą.

— Ale do wojowania sprzymierzeńców potrzeba — rzekł Semko.

— Przymierze! — zawołał Jagiello — a komuż wierzyć? Piszą, pieczętują, przysięgają, byle się zrzeczność nadała zdradzą.

— Wojowaliśmy z sobą o granice i o graniczne napaści — odezwał się Semko — choć ufam, że więcej tego nie będzie, nie możecie mi jednak zarzucić zdrady?

Jagiello popatrzał nań i nieco się uśmiechnął.

— Wy?— odparł — wyście jeszcze czasu nie mieli na to.

W ten sposób ogólnikami zagajona rozmowa, nadzwyczaj szła powoli, końca jej przewidywać było trudno.

Jagiello wahał się i mierzył słowa ostrożnie. Czasem nagle wtrącał pytania zupełnie obce sprawie, o którą chodziło. Zaczął Semka badać o Krzyżaków, czy co o ich zamiarach nie wiedział; można-li było na zachowanie przez nich rozejmu rachować? wielki-li był zjazd obcych gości? czy się nie zbierali na jaką wycieczkę?

Sąsiedztwo Mazowska z Krzyżakami usprawiedliwiało te pytania, a Semko nie tuił się z tem, że u Krzyżaków był, gdzie się z Witoldem spotkał. Na przygotowaniach tych dosyć stracono czasu.

Na stole przygotowane już wcześniej stało wino i woda. Jagiello zaprosił Semka, nie pijąc do niego i tłumacząc się tem, iż nigdy nic nie nżywał oprócz wody.

Młody gość do tego napoju ochoty nie miał.

Zdawało się potem, że się tak próżno rozejdą nic nie nczyniwszy, gdy Jagiello, na którym widocznie dobre jakieś wrażenie czynił Semko, swą otwartością i obyczajem rycerskim, nagle zmienił ton, poweselał, zmieł, zbliżył się do niego i przeszedł niespodzianie do przyjacielskiej poufności. Ta zmiana nagła mogła być tylko zrozumiałą dla tych, którzy lepiej Jagiełłę znali, broniącego się pierwszym wrażeniom, a mającego serce miękkie i potrzebujące sobie jednać ludzi.

Starał się poznać Semka, polubił go, przestał się lękać i stał się łatwym a przystępnym.

Rznciwszy na bok wstępne wszelkie omówienia, Jagiello zaczął mówić otwarcie.

— Prosiła mnie matka za Witoldem, wy także

za nim mówicie. Niechże się stanie jak żąda, ale on zdradzi mnie znowu! Zobaczyciel..

Spróbować potrzeba, wszyscy mnie do tego porychacie... Niechże wraca, dam Krewa i ojcowinę, dam!..

A kto za niego zaręczy?

— Mieć go sami będziecie w ręku—odparł Semko uradowany.

Wielki książę poruszył się, nie odpowiadając, i uśmiechnął. Twarz mu się wypogadzała.

— Witold prosi, aby kogoś do niego posłać na Żmudź, on tam zjedzie dla umówienia się o szczególności—dodał Semko.

— Dobrze, pošlę do niego Hawnula — odpowiedział Jagiełło. — Jemu jednemu wierzę. Tajemnicę trzeba zachować.

— Oznajmię mu więc łaskę waszą!—zawołał dzikując Semko.

Skinął tylko głową milczący Jagiełło, a po chwili namysłu, rażno porwał się z ławy.

— Wpadniemy razem na tych łotrów Krzyżaków — zawołał — wówczas gdy się najmniej będą spodziewali! Zadamy im klęskę! pomścim się! pomścim! Jest za co szukać odwetu!

Westchnął, oczyma potoczywszy dokoła.

— No, i ja dla siebie i brata o pokój was proszę, dodał Semko.—Uraz sobie zapomnijmy wzajemnych.

— Tak — rozśmiał się Jagiełło — a gdy my padniemy na Krzyżaków i wy z nami!.. wy z nami!..

Semko głową dał znak przyzwalający, że i na to był gotów.

— Czyjej oni ziemi nie powydzierali — mówił żywo w. książę — mojej, waszej, polskiej naokół schwycili, co mogli, na cudzem siedzą, na naszym. Napłynęło ich jak szarańczy, gorsi od Tatarów, bo rozumniejsi od nich. Wszystkie sztuki złe znają, wszelki duch nieczysty im pomaga.

Ożywiał się i ostygwał na przemiany, mówiąc Ja-

giełło. Pierwsza nieufność względem Semka, ustępowała, młode chłopię pociągało go ku sobie... Chytrłości i kłamstwa w niem nie czuł.

Tak w chwili, gdy się może najmniej dobrego skutku poselstwa swojego spodziewał Semko, ujrzał u celu swych życzeń.

Wszystko zdawało się skończone, ale w. książę nie odpuszczał go od siebie. Raz otworzywszy się przed nim, potrzebował wynurzać; zaczął znowu na Witolda się uskarżać i wyliczać straty poniesione z jego powodu.

Semko mało co mówił. Zaczynało robić się próżno, i korzystając z pierwszego zwrotu rozmowy, książę mazowiecki żalił się, iż mu tak pilno było powracać nazad, dla doniesienia Witoldowi, aby się on przygotował już do wspólnego wystąpienia przeciw Krzyżakom. Chwili nie było teraz do stracenia.

Skarżył się też, że własna sprawa jego na rozruchy wielkopolskie baczny być kazała.

Jagiello już był zawiadomiony o tem, co się w Polsce działo, a szczególnie w Wielkopolsce.

— Myślicie i wy tam pójść wojować? — zapytał. — Niemca Polacy podobno nie chcą?

Semko do starań o koronę nie myślał się przyznawać, tłumaczył się tem, że granic trzeba było pilnować.

— Pozwolicie mi więc — dodał w końcu — abym jutro wybrał się z powrotem.

Zawahał się nieco i popatrzał Jagiello...

— Jutro? — Ja myślałem wziąć was na łowy z Wigundem. Wy takiego zwierza u siebie nie macie.

— Pilniejsze łowy czekają na mnie — rzekł Semko — a i ukazywać się tu mi nie godzi, gdyż Krzyżacy wszędzie szpiegów mają. Spieszyć mi potrzeba.

Nie sprzeciwiał się Jagiello, ale powołał Hawnulę, bo Semko choć drobny jaki znak mieć żądał i dowód, że poselstwo spełnił.

Umówiono się więc o pismo bez pieczęci, dwu-

znaczące, któreby tylko Witoldowi zrozumiałem było. Starosta przygotować je obiecywał.

Wielki książę zaś dla pośpiechu Semkowi ofiarował pewnych ludzi orszak, mający go wprost do granicy przeprowadzić. Spuścić się na ich wiarę i milczenie było można, bo głowy i życia ręczyły.

W chwili rozstania znikły wszelkie ślady nieufności. Jagiello stał się ożywionym, dobrodusznym, serdecznym. Semkowi w przyszłości braterską przyjaźń przyrzekał i chciał jej od niego.

Już byli u drzwi, gdy Jagiello matkę swą przypomniał i Semka zatrzymał.

— Nie może to być, kniaziu — odezwał się — abyście odjechali bez pożegnania, i w. księżnie Juliannie się nie pokłonili. Jej my winniśmy zgodę... Bez niejby mi serce dla Witolda nie zmiękło. Idźcie, a pozdrówcie ją.

Przystał książę na to słuszne żądanie, przyszło mu na myśl, że może znowu swą niebieskooką zobaczy. Młodość przy najważniejszych sprawach, nigdy o sobie nie zapomina.

Hawnul jednak porę znalazł niewłaściwą...

— Jutro — rzekł po wyjściu z dworca, i prowadząc Semka do siebie — nie będziemy się już potrzebować tak bardzo z sobą ukrywać. Nikt nie wie kto jesteście, a książąt obcych tu zawsze pełno. W biały dzień pójdziemy do księżnej.

Obiecywał tymczasem Hawnul podróżny orszak przygotować i szepnął, że podarki ma rozkaz wydać, pod które kilka koni także pójść musi.

Nie mógł się tem obrazić, ani dziwić Semko, gdyż podarki takie zwyczajem były, ale mu przykrem było, że on ich przywieść z sobą nie zdołał.

Hawnul rozumiał dobrze, iż tajemnie jadąc, obarczać się niemi nie było podobna.

Dar Jagielly składał się z kilku naczyń i mis srebrnych, sukna szkarłatnego i sobolów. Gdy Semko za nie dziękował, starosta przerwał.

— Mała to rzecz, i gdyby nie to, że was obciążać się nie godzi, Jagiełło wspaniałszymby się okazał. Nie znam pawa, któryby ochotniej dawał, a obojętniejszym był na to, co mu ludzie przynoszą.

Bogactw siła mamy, a książę nasz dla siebie nie potrzebuje ich wcale. Jak go dziś widzieliście, takim zawsze jest, prostego obyczaju i życia. Najmniejszy z dworzau jego więcej potrzebuje i wymaga.

Nie pije nic oprócz wody, je toż samo co czeladź jego, na łowach nieustannych przywykł do niewygód wszelkich, w sukniach wspaniałych się nie kocha. Najmilszem mu, gdy koło siebie wesołemi widzi tych, którym dobrze uczynił. Zaprawdę godzien chrześcianinem być ten, który już ma wrodzone chrześciańskie cnoty! O gdybyście go jak ja znali!

Semko milczał. Rad był wierzyć temu co słyszał; ale przypominając sobie pierwsze ukazanie się Jagiełły i początek rozmowy, późniejszej dobroduszości i wyłania się zrozumieć nie mógł.

— Tak — dokończył Hawnul aby go miłować jak ja, znać go jak ja znam, potrzeba.

---

## II.

Nazajutrz do dnia w kościółku ojców Franciszkanów, ksiądz Paweł przełożony, mszę świętą dziękczynną odprawił, klęczał słuchając ją Semko, winszując sobie, dziękując Bogu, że go z lekkomyślnego przedsięwzięcia wyzwolił szczęśliwie.

— Bracie Antoniuszu — rzekł wychodząc z nim razem po nabożeństwie — przygotujcie się. Bodaj



nam dziś jeszcze wieczorem napowrót wyruszyć wypadnie.

— Czyż miłość wasza tak bardzo mnie teraz potrzebuje? — odpowiedział z wahaniem i obawą staruszek. — Tutaj braci naszej maluczko, jeden niedawno rozstał się z tym światem, przenosząc do lepszego. Nierychło się doczekają posiłku nowego, a ludzi im potrzeba. Proszą mnie bardzo, abym pozostał z nimi. Po wielkiej Polsce teraz za jałmużną chodzić próżno, gdzie ziemianom samym kawałka chleba brak.

— Więc chcielibyście pozostać? wy? — zapytał zdumiony książę.

— Ojciec Paweł życzy sobie tego. W kościółku mu zakrystyana brak, w klasztorze rąk. Jam, dzięki Bogu, silny jeszcze.

Semko zwrócił się ku przełożonemu, który stał milczący.

— Brat Antoniusz chce mnie opuścić! — rzekł.

— Ale tylko za przyzwoleniem miłości waszej i zgodą — cdparł przełożony. — Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyśmy go pozyskać mogli. Młodszej braci przy nim raźniejby szło, bo to żywy przykład klasztornej cnoty.

— Al a! ojczel niedołęga jestem! — wtrącił skromnie Antoniusz.

Semko nie sprzeciwiał się żądaniu, pomyślał tylko, że gdy mu Kaukis i Wiżunas równie się upomną o obiecaną swobodę, z powrotem w drodze kierować się ciężko będzie.

Za to Jagiełło dawał przewód swoich ludzi do granicy.

Do południa z zamku nie nadeszła wiadomość żadna, aż nadjechał Hawnul, a z nim dwu konnych, którzy podarki W. książęce wieźli.

Wspaniałe były i kosztowne, i za nie godziło się podziękować.

Ale Jagiełło dodnia już był na łowy do Miednik

wyjechał, nie żeby podziękowań unikać, a dla tej namietności, jaką miał do łowów, do lasów, do życia w polu, gdzie mu zawsze milej niż z ludźmi było.

Śmiejąc się począł żalić Semko przed starostą, iż mu przyjdzie wracać samemu, bo go towarzysze opuszczają.

Hawnul ucieszył się nowiną, iż szczerzej gromadce ojców jego przybędzie pomocnik nowy, którego już przed nim przełożony wychwalał.

Co do Kaukisa i Wiżunasa, tych natychmiast przywołano, aby wiedzieć czy na nich rachować było można.

Przez czas pobytu swojego na Litwie, wyuczył się był Hawnul języka, który tu razem z rusińskim był urzędowym. Mówił nim łatwo. Gdy Litwini przyszli i padłszy na ziemię, bili czołem księciu i jemu, począł ich pytać czy chcą z panem powracać, wiernie mu służąc, lub, jako oswobodzeni pozostać. W takim razie innych w ich miejsce dać obiecywał.

Spojrzeni po sobie wyzwoleni, jakby się wzrokiem naradzali, a po chwili krótkiej wahania, oświadczył Kaukis za obu, iż do Płocka księcia odprowadzą.

Nie przyznał się z nich żaden, że choć własny kraj ten do serca im mówił, po długich latach niewoli, już się w nim obcemi czuli.

Oprócz nich, przez Jagiełłę wyznaczeni, dobrze z drogami obeznani Litwini i Rusini, do granicy Semka prowadzić mieli, nie było więc obawy o powrót bezpieczny.

Jechali z pożegnaniem na zamek do starej księżnej.

Tu znaleźli wszystko w tym samym porządku jak pierwszym razem, ale niebytność Jagiełły trochę podwórcę opustoszyła. Semko przechodząc dziedziniec wielką miał ciekawość zobaczenia pogańskiej świątyni, której mury tylko i wieże zdawa widać było. Hawnul na zbliżenie się nawet do niej dozwolić nie chciał.

— Mieszkamy wprawdzie na zamku razem z najstarszym ich kapłanem Krewekrewejtą i jego duchowieństwem, mamy pod bokiem główną ich świątynię, ale pomiędzy nią a dworem oddawna już zaszczipiona nieufność, od czasu jak cerkiew stała dla księżnej a pop Nestor przy niej mieszka, podejrzewają książąt kapłani, lękają się ich, czując wiary koniec blizki. Nikogo też do swojego ognia i ołtarzy obcego nie przepuszczają. Na najmniejsze podejrzenie, gotowi są na gwałt uderzyć, a tłumy i gmin mają za sobą, szczególnież lud prosty, który na zawołanie Wejdałotów gotów chrześcian mordować, nie oszczędzając nikogo.

Sam Jagiello lęka się Krewekrewejty, obdarza go i łagodzić się stara, aby mu gminu nie burzył, bojąc się nawet chodzić do cerkwi mateczynej.

Świątynia jest pilno dzień i noc strzeżona przez służę Krewy, a przystęp do niej trudny.

Niema też tam do widzenia nic, oprócz kamiennego ołtarza, na którym ogień się pali, i brzydkich bożyszcz ich z drzewa, z żelaza, a nawet z prostych dzikich kamieni, za bogi czczonych...

Skarby, jakie mają w sklepach, pod świątynią się ukrywają.

Pytał Semko, czy prawdą było, że dziewczęta wejdałotki ogień wieczny obsługiwały, co Hawnul potwierdził, dodając, że surowo ich strzeżono.

W stronę świątyni wiodła ubita ścieżka, ale wielkiego zbiegowiska ludu widać na niej nie było. Stała o tej godzinie pustą prawie dolina Swentoroha, dym tylko ciągle podsycany ponad mur gęstym słupem się unosił.

Zbliżając się ku teremowi księżnej Julianny, Semko postrzegł stojący z boku w dziedzińcu gromadkę dziewcząt, która, jakby świadoma ich przybycia, czekać się tam zdawała. Ale wszystkie one miały tak osłonięte twarze, iż rozpoznać ich nie było można. Na widok nadchodzących, krótką chwilę tylko

postawszy w miejscu, pośpiesznie, przepłoszone pierzchnęły.

Z za słupów wychyliło się potem jeszcze parę głów biało okrytych, aby się przypatrzeć obcemu, a Hawnul, udający że tego nie widzi, śpiesznie księcia wprowadził do sieni.

W sieniach powtórzyło się toż samo.

Straż stała przy drzwiach, a w lewo szło obojęcie dworzec otaczające, rodzaj korytarza małemi oknami oświeconego.

Tu znowu znalazła się kupka kobiet ciekawych, która równie prędko, przestraszona uciekła do domu.

Księżna Julianua, jak pierwszym razem spodziewająca się tych odwiedzin, nie chciała przed gościem dwa razy pokazać się w jednym stroju i klejnotach. Wdziała więc na głowę inne czółko, niemuiej bogato, wielkimi, krągło szlifowanemi rubinami i smaragdami wysadzone, w kształcie korony, i pierścienie na ręce kosztowniejsze jeszcze i łańcuchy złote zamiast pereł. Suknia też ciemna była przetykana złotem, a obówie nakształt sandałów świeciło kamieniami. Długa zasłona biała spadała od czółka na ramiona.

Nie bez myśli też zapewne księżna tym razem, wielki krzyż złoty na piersiach zawiesiła.

Na stole przed nią przygotowane już stały w złotych czarkach i rogach wina słodzone, na miskach podobnych przysmaki różne, owoce w miodzie i małe placuszki.

Weselszą twarzą powitała teraz Semka, który zbliżywszy się dziękował jej za skuteczne orędownictwo u syna, przyznając mu wszystko.

Słuchała Julianna z uśmiechem smutnym na ustach i dumą, dając poznać, że jej to milem było.

— Powiedźcież Witoldowi, albo nakażcie do niego — odpowiedziała — że ja to uczyniłam dla pamięci matki jego, a zaklinam go na miłość dla niej, aby syna mojego najmilszego nie zdradził, szanował go i był mu posłusznym.

Dał się Jagiełło skłonić prośbom moim, ale mnie tu wkrótce nie stanie, a przemówić nie będzie komu. Czekam tylko, abym córki z domu oddała, aby do monasteru wstąpić, za którym tęskni dusza moja.

Świat ten już nie dla mnie, Bogu służyć chcę resztę życia.

Staruszka mówiła powoli, pilno się przypatrując Semkowi. Spytała go potem o lata, znajdując bardzo młodym. Zagadnęła, czy już o małżeństwie nie myślał, a miał jaką narzeczoną?

Książę zarumieniwszy się odparł, że czasy były niespokojne, i więcej do wojny niż do wesela gotować mu się należało.

Dziwnie trochę potem księżna odezwała się, że dla córek swych, książąt chrześcijańskich, bogobojnych a statecznych trudno jej znaleźć było, a Jagiełło sióstr za lada kogo wydawać nie myślał. Wyglądało to trochę na swaty lub na coś podobnego, dając Semkowi do myślenia. Ale teraz mu o ożenku nie godziło się mówić, ani je osnuwać...

Musiał potem książę kubek za zdrowie księżnej wychylić i słodczy pokosztować.

Właśnie gdy książę do stołu przystąpił, a księżna zwróconą była ku niemu, Hawnul zaś stał tak, iż w głębi znajdujących się drzwi widzieć nie mógł, zasłona w nich naprzód się nieco odchyliła, potem nagle, szybko podniosła i oczom Semka na chwilę ukazała się w całym blasku młodości swej niebieskooka dziewczyna, o której niemógł zapomnieć.

Okryta jasno zieloną suknią jedwabną, oszywaną paskami złotymi, z wianuszkami złotymi we włosach, widocznie zjawiała się tylko dla niego, wybrawszy chwilę, gdy matka jej zobaczyć nie mogła, ani starosta, który zresztą byłby jej nie zdradził.

Uśmiech wesół zaigrał na jej ustach, główką dała znak powitania czy pożegnania i zasłona spadła, ukrywając ją znowu.

Oprócz Semka, który stał osłupiały i zachwycony,

nie postrzegł jej nikt więcej. Zuchwałe to wystąpienie dziewczęcia dowodziło, że więcej być musiała niż służą, córką domu i zapewne ulubienicą matki.

Na twarzy młodego księcia odmalowało się takie zdumienie, że łatwo go zdradzić mogło. Jakoż Hawnul domyślając się czegoś, niespokojnie odwrócił się ku drzwiom, ale tu już nie było nikogo, drżała tylko zasłona.

Księżna Julianna tymczasem zdawała się badać twarz Semka i chcieć odgadnąć charakter. To co słyszano o ojcu, mogło wpłynąć na sąd o synu. Ziemowit słynął z okrucieństwa i popędliwości. Na młodej i pięknej Semka twarzy, trudno było wyczytać, co się kryło w jego duszy, chociaż śmiałe i bystre spojrzenie, usta mające wyraz dumny i nakazujący, spadek krwi w nim zapowiadać się zdawały.

Nie raziło to naówczas, gdy energia i siła były warunkiem panowania najgłówniejszym i zwycięstwa w nieustannej walce.

Semko wzruszony widokiem, który go tak niespodzianie przerzucił w inny świat marzeń jakichś, nie mógł już tu długo pozostać, i zaczął żegnać księżną a dziękować jej, na co ona z macierzyńską jakąś odpowiedziała czułością i pobłogosławiła na drogę.

Semko po zrobieniu bliższej znajomości z Jagiellą, z matką jego, i jak się domyślał, z córką, czuł się do tego domu i rodziny pociągniętym...

Hawnul uważał, że i księżna okazała się dla obcego przybysza czulszą, niż dla innych być zwykła. Wszyscy co ją bliżej znali, opowiadali o jej surowości i wstępie do obcoplemiennych.

Dla księcia mazowieckiego okazała się prawie serdeczną. Zapytała go jeszcze o drogę, jaką miał przebywać, o bezpieczeństwo w podróży, o orszak towarzyszący i po błogosławieństwie zdjawszy z palca pierścień z rubinem wielkim, podała go uśmiechając się księciu.

Przyjmijcie go, proszę, odemnie z błogosławień-

stwem — rzekła — a nieoddawajcie nikomu, chyba przy zrękowinach przyszłej waszej niewieście.

Tak się rozstali i Semko wyszedł dziwnie zmieszany, a Hawnul musiał to sobie wytłumaczyć wielką uprzejmością starej księżnej, której dziwił się zarazem i winszował mu.

Semko chciał tegoż dnia jeszcze wybrać się w drogę, musiał więc śpieszyć nazad do klasztoru, chociaż Hawnul puszczanie się przeciw nocy odradzał, jeżeliby książę nie chciał do Trok dociągnąwszy, na zamku nocować.

Na wszystko godził się już Semko, byle nazad do Płocka podążyć, gdyż sprawy wielkopolskie i słowo dane Bartoszewi, nagliły do powrotu.

Pożegnawszy więc starostę, brata Antoniusza, który już suknię zakonną wdział i ochoczo się krzątał około klasztoru i kościoła, obdarzywszy ojców, pomimo zbliżającego się wieczora, Semko z dodaunemi mu ludźmi i własną czeladzią, gościńcem ku drogom wyruszył...

Podróż ta obiecywała się być daleko śpieszniejsza, gdyż dodany przewód, złożony z ludzi doskonale z krajem obeznanych, świadomych dróg, oszczędzał czasu wiele. Semko też ani siebie, ani towarzyszków swych nie szczędził, a koniom dawał ledwie tyle wytchnienia, ile było potrzeba, aby go do Płocka doniosły...

Popasano krótko, z noclegów ruszano do dnia, omijano osady, a Jagiełłowa straż doskonale umiała wszędzie potrzebne znaleźć zapasy do życia.

Brakło Semkowi w drodze milczącego lub modlącego się zakonnika, do którego czasem mógł przemówić słów kilka, albo z nim razem się pomodlić, ale miał teraz myśleć o czem, a w miarę zbliżania się do granicy, niecierpliwość rosła.

Na kraju litewskich borów rozstali się z nim Li-twini, Kaukis objął znowu dalszy przewód. Kauki-



sowi, Wiżunasowi i czeladzi pod gardłem nakazano, aby o podróży mówić nie śmieli nikomu.

Groźba ta starczyła, aby im zamknąć usta. Zna-no surowość książąt i Semka, gdy był dzieckiem po-pędliwość.

Rankiem mroźnym, przebiegłszy pędem uliczki mia-sta, Semko nagle, piorunem wpadł znowu na swój zamek Plocki, jak gdyby z łowów powracał.

Z bramy już rzuciwszy okiem wewnątrz podwór-ców, znalazł je wcale innemi niż porzucił. Pełno tu było obcych ludzi, koni i wozów, gwar i ruch pau-ował wielki. Poznał dworzan i czeladź mazowiecką brata Janusza, i orszak zbrojny wielkopolan Bartosza z Odolanowa. Oczekiwano tu na niego.

Pierwszy, który go przy zsiadaniu z konia po-chwycił, był brat Henryk, tak dziwacznie jak zawsze ustrojony, pół po duchownemu, na pół po świecku.

— Semko! co się z tobą stało! — krzyknął cisnąc się ku niemu — Wszysey o ciebie w trwodze wielkiej. Posłano w lasy szukać i trąbić! myśleliśmy już, że cię dzikie bestye zdrapały gdzie, albo Litwa w nie-wolę uprowadziła.

Coś ty robił?... gdzieś bywał?..

— Alboż nie jestem wolen robić co chcę? — od-parł szorstko Semko — zzywając się natrętnego chłop-ca, który szedł za nim.

— W progu izby gościnnej zastąpili mu drogę Janusz, mierzący go oczyma niespokojnemi i cały rozogniony Bartosz z Odolanowa.

— Nabawiłeś nas, miłość wasza, trwogą strasz-ną — poczał ostatui. — W takiej chwili, gdy każda go-dzina droga, gdy radzić i trzeba i czuwać, was nam zabrakło, miłościwy książę. Wolelibyśmy sto kopij stracić!

Semko w czasie podróży już ułożył był sobie baśń dla wytłumaczenia niehytności swojej. Ludzie do niej zastosować się mieli. Kłamstwo stało się nieu-chronnem, gdyż przyznać się do celu podróży nie



mógł w żaden sposób i przed nikim. Janusz milczący mierzył go ciągle oczyma nieufnemi.

— Niepojętym sposobem obłąkałem się na łowach, zapędziwszy aż na samą litewską granicę — odczuwał się Semko. — Ja i ludzie potraciliśmy głowy, śnieg drogi i ślady pozawiewał. Mogliśmy z głodu umrzeć, gdyby człowiek, któregośmy w puszczy spotkali, szczęściem na drogę nas nie wyprowadził. Smutno się łowy skończyć mogły!

Bartosz słuchał opowiadania milczący, Janusz także, ale po obu poznać było można, iż powieści tej niewielką dawali wiarę, chociaż musieli ją przyjąć jak była. Badać go nie śmiał nikt. On sam, opowiadanie chcąc prawdopodobniejszem uczynić, plątał się w niem coraz niezręczniejsz.

Henryk słuchając też z hoku, a mniej mający względów dla brata, z dziecinną zarozumiałością, ramionami poruszał i śmiał się.

Oglądał się na stojących blisko i szeptał.

— Klamie!

Po kilkakroć przerywanem i na nowo zaczynanem opowiadaniu księcia, które milczeniem przyjęto, Bartosz się pierwszy odczuwał.

— Miłościwy książę, wiem, że się sami z nami nie ruszycie, ale ludzi zbrojnych waszych nam potrzeba, na Boga miłego, aby Kalisza dostać.

Domarat sam jeden ze swoim rodem trzyma się Luksemburczyka, inni o nim słyszeć nie chcą, zamku mu ani powąchać nie dali. Musimy z czasu korzystać. Wielkopolska Piasta woła.

Semko słuchał marszcząc się. Wiedział jak brat był przeciwnym wszelkiemu mieszanin się w polskie sprawy, zamiast odpowiedzi, odwrócił się ku niemu, jakby wyzywał do objawienia zdania.

Janusz, który już siadł był za stół, podparł się i milczał.

— Słyszycie! — rzekł do niego Semko.

— Od wczoraj tylko tego słucham — chłodno od-

powiedział Janusz—ale przy swem stoje. Niech Wielkopoleanie robią co chcą, nie nasza to rzecz. Nie pora się mieszać. Kto ma ochotę w kości grać, niech za kubek bierze, a ja kosterstwa ani życzę, ani do niego należeć nie myślę.

— Nie namawiamy was—wtrącił Bartosz — choć brat królem, złą dla was rzeczą nie będzie.

Janusz usta wydał i ręką zamachnął... Nie miał wiary w obiecane królestwo.

Zbyt wiele osób otaczało ich i słuchało rozmowy, aby ktokolwiek chciał się otworzyć z tem co myślał. Jeden Bartosz nie taił się z tem co czynił.

Semko szczególnie zwracał uwagę na brata, w którym już teraz pewne zobojętnienie i oswojenie się z myślą o koronie dostrzegał.

Odolanowski pan, cały przejęty i rozgorączkowany, ciągnął dalej.

— Zechcecie czy nie, okoliczności was zmuszą przyjąć osieroconą koronę, do której nikt prawa nad was większego nie ma. Oczyścimy wam pole. Nie żądamy, abyście się sami mieszały do sporów i naszych waśni, ale posiłków na gwałt potrzeba i tych nam odmówić nie możecie.

Semko jeszcze milczał, dał znak Bartoszowi tylko, że nie pora o tem rozprawiać. Dwór zwolna rozchodzić się zaczął, zastawiono stół, rozmowa wzięła się o sprawach obojętnych. Henryk, nie mogąc doczekać, czego sobie życzył, zniecierpliwiony wybiegł. Bartosz milczał zmuszony, lecz widać było, że czekał tylko chwili, aby powrócić do tego z czem przybył.

Zostali wreszcie sami, książęta dwaj, Odolanowski pan i stary Socha. Natychmiast okiem po izbie powiódłszy, Bartosz począł.

— Miłościwy książę, po ludzi przybyłem... Wojewoda bez was dać mi ich nie chce, a ja pilno potrzebuję.

Semke spojrzał na Janusza, zachmurzonego i milczącego, potem na Sochę.

— Ludzi mam gotowych—odezwał się wojewoda—ale tych bez rozkazania pańskiego dać nie mogłem...

Młody książę poruszył ramionami.

— Zaprawdę—rzekł—gdybym ja od Bartosza żądał posiłku, pewnoby mi go nie odmówił. Sąsiedzka to sprawa. Nie widzę, dlaczego bym nie miał przyjść w pomoc staroście...

Sam mieszać się nie mogę, ani też żądam tego po mnie.

Janusz z uwagą wielką słuchał brata i twarzą wyjaśniającą się potwierdzał słowa jego.

Bartosz obrócił się do Sochy.

— Panie wojewodo, słyszeliście? macie ludzi pogotowiu?

— Znajdą się—odparł Socha.

— Rychło?

— Choćby jutro—rzekł stary chłodno.

— Na rany pańskie i dziś jeszcze byłbym im rad—zawołał Bartosz.

Kalisza dobyć potrzeba.

Nie chcąc już czynnie należeć do nkładów z Bartoszem, Semko się zbliżył do brata i cichą rozpoczął z nim rozmowę.

W izbie gwar powstał, gdyż w tejże chwili na pomoc Bartoszowi wtargnęli dwaj z nim przybyli powinowaci jego Nałęcz, krwi gorącej ludzie, a Soche chorąży nadszedł na odsiecz.

Wzięły się więc rozprawy, w których ani Janusz, ni Semko udziału nie mieli, odpierając milczeniem, gdy się do nich odwoływano.

Natomiast Henryk, który znowu się wcisnął do izby i stanął przy Bartoszu, oświadczał się z gotowością rzucenia natychmiast sutanny za płot i siadania na koń. Pozbywano się go milczeniem, co go jeszcze bardziej niecierpliwiło.

W parę godzin po przybyciu Semka, Socha zmuszony do posiłkowania Bartoszowi, musiał już wydać

rozkazy. Ludzie się rozbiegli ściągać oddziały przygotowane, a na zamku tłumno było i gwaro, że się przecisnąć ledwie mógł, kto z miasteczka przychodził.

Na to potrzeba było zręczności, gibkości i wprawy Bobrka, który wszędzie i zawsze wcisnąć się umiał, nawet tam, gdzie już dla nikogo miejsca nie było. Właśnie w chwili, gdy ludzie z Semkiem powracający, z końmi do szop ciągnęli, klecha powracający z miasteczka, znalazł się we wrotach, jednym wejrzeniem rozpoznał, co się tu działo, i zamiast do izby kanclerza, dokąd był powinien, rączy się ku stajniom posunął.

Podróż księcia, której celu dotąd się nie mógł dobadać, była dla niego teraz zadaniem najważniejszym do rozwiązania. W czasie niebytności jego tropił po wszystkich kątach, szukając o niej wiadomości jakiejś, skazówki najmniejszej, ale nic zdobyć nie mógł.

Najszacowniejszem źródłem dla wyciągnięcia czegoś, zdawała mu się bliższa znajomość, zawiązana z Blachową i Uliną. Stara była bardzo pobożna, wziął ją na lep wiele skutecznych modlitw i zaklęć, przeciw wszelkim sprawom złego ducha, których umiejętnością się szczycił. Przy niej przybierał tak skruszoną i namaszczoną postawę, tak miodowemi do niej przemawiał słowami, tak pochlebiał zręcznie, iż Blachowa widziała w nim niemal świętego człowieka.

Staral się razem przypodobać pięknej Ulince, ale tu mu się nie powiodło. Instynkt jakiś budził w niej odrazę do tego człowieka, który jej śmierdział kłamstwem.

Były chwile, gdy i ona się zasluchiwała, gdy opowiadał o świętych mężach i niewiastach, o cudach i przygodach cudownych, lecz lada nuta fałszywa, wejrzenie kosc, zdradzało jej człowieka niebezpiecznego.

Ostrzegala o nim matkę, która oburzała się prze-

ciw podejrzliwości i mówić nawet nie nie dawała na światobliwego klechę.

Przyjmowała go stara wieczorami, z poszanowaniem sukni należnem. Karmila, poila i słuchała, dziwiąc się córce, która jak najdalej siadała w kącie, i ani słówkiem do pobożnej nie mieszała się rozmowy.

Od nieopatrznej starej dowiedział się Bobrek bardzo wielu rzeczy drobnych, małego na pozór znaczenia, z których wnioski pewne wyciągnąć umiał.

Próbował czy i o podróży tej Semka nie da się co wybadać, będąc przekonany, że cel jej dla niewiast nie był tajemnicą, ale Blachowa z groźnego wejrzenia córki zmiarkowała, iż się nie godziło pisać ani słowa.

Bobrek kilką modlitewkami przeciw różnym chorobom, do noszenia na sobie przysłużywszy się, ofiarował i cztery ewangelie do zawieszenia w izbie i paciorki, jakoby z ziemi świętej przywiezione, za co łaski wielkie pozyskał. Uliuki jednak niczem sobie zjednać nie mógł, brzydziła się nim. Obawiając się tylko gadatliwości matki, stała zawsze na straży, gdy przychodził. Ciekawość jego była jej podejrzaną.

Z tego, co Blachowa opowiadała czasem o młodości księcia, jego podobieństwie do ojca, porywczości, korzystał klecha, by sobie stworzyć pewne wyobrażenie o charakterze.

Zabranie w drogę Kaukisa i Wiżunasa, rodziło w nim podejrzenie, iż podróż mogła prowadzić ku Litwie, jakkolwiek przypuszczenie mało prawdopodobnem się zdawało.

Spostrzegłszy powracających ludzi księcia, Bobrek podkradł się pod stajnię. Trafił wprawdzie jak się spodziewał, na pytania czeladzi, gdzie bywali, co się z niemi działo itp., lecz odpowiedzi były tak krótkie i niewyraźne, iż z nich nic się wyciągnąć nie dało.

Musiał więc w pomoc wezwać oczy, przypatrując

się przyjezdnym, aby z tego co wieźli z sobą, coś wywnioskować. Zdejmowano właśnie z koni wory z futrem i podarkami Jagiellowemi, które do skarbcza odwieźć miano.

Bobrek zapamiętał to sobie.

Dostrzegł także, iż do liczby koni, które wyszły z księciem, przybyło dwa małe, wołochate, krepę, podobne bardzo do tych, jakie w Malborgu widywał, przypędzane ze Żmudzi i Litwy.

Wszystko to dla niego miało znaczenie wielkie, choć pewności nie dawało.

Ze stajni z tą zdobyczą pobiegł co żywiej do izby kanclerskiej i zasiadł do pisania, obiecując sobie do brze uszy nastawiać.

Księdza kanclerza tu nie było, chłopak od usług nie wiedział nic, krom tego, że książę wrócił, że się był w lasach obłąkał, i o mało tam nie umarł z zimna i głodu.

Bobrek słuchając, uśmiechał się sam do siebie, rękawem twarz zakrywwszy.

Długo zwieszony nad papierem, skrobiąc po nim, czekać musiał na powrót kanclerza. Spodziewał się, że i ten może się z czem wygada.

— Dziękiż Bogu — odezwał się zwracając do wchodzącego — że książę pan zdrowo i cało powrócił. Modliłem się codzień na intencyę jego.

— Obłąkał się, słyszę, na tych łowach, bez których oni żyć nie mogą — rzekł kanclerz.

— I staruszka zakonnika, który księciu towarzyszył, gdzieś po drodze zgubili, bo go niema — rzekł Bobrek.

— Co znowu? — bystro spoglądając na niego odparł kanclerz — braciszek do klasztoru powrócił dawno.

Klecha zaczął pisać znowu, lecz dnia tego przed oknem tyle się osób coraz nowych przesuwalo, tyle miał do podsłuchiwania i wypatrywania, że niedaleko się posunął w rozpoczętym paragrafie.

Dotrwał jednak, dla niepoznaki, aż do mroku nad pulpitem, spodziewając się zawsze pochwycić jakie niebacznie wymykające się słowo. Złożywszy wreszcie przyrząd swój pisarski i pożegnawszy pokornie kancierza ucałowaniem ręki, zamiast powrócić do Pelcza na miasto; Bobrek zaszedł do Błachowej, aby i jej powinszować szczęśliwego księcia powrotu.

Zastał ją samą. Ulinka czego się domysleć łatwo, była u księcia. Stara u ognia siedziała zamyślona, smutna, drżemąca.

— Niech będzie pan Bóg pochwalony, za to że nam drogiego księcia powrócił — odezwał się do starej — takżeście się o niego troskali!

Błachowa ogień poprawiła.

— Albo to my nim długo cieszyć się będziemy? — rzekła cicho. — Czekali już tu na niego... Żeby tylko nie skusili na wojnę... Wojewoda, słyszę, po ludzi na wszystkie rozesłał strony, a Bartosz czeka!! Tam słyszę w Wielkiej Polsce i na Kujawach, gotuje się jak w garnku.

— No, to co? — zaśmiał się Bobrek — może mu koronę uwarzą! Wszyscy jej życzą, wszyscy mu ją przepowiadają... A i to dobry znak, że Krzyżaków nie będzie miał przeciw sobie, bo wiadomo, że pieńędzy dali księciu na tę wojnę.

Błachowa zmilczała. Nie rozumiała ona wiele, a obawiała się wszystkiego.

— At! — przebaknęła biorąc kądziel. — Gdyby rozum miał, siedziałby spokojnie doma jak nieboszyk ojciec i brat, darmoby się nie zrywał. Koronę jak koronę, a guza złapie pewnie, i jeszcze Boże uchowaj, na nasze Mazowsze Niemcy najadą.

Bobrek niezgrabnie skrzywił rozmowę, bo mu pilno było, skorzystać z niej, nim Ulinka powróci.

— Co to tam ludziska plotą — rzekł — jakoby się książę na puszczy obłąkał, i tyle czasu głodem marł. Toć to baśnie być muszą.

Stara popatrzyła niespokojnie, nic nie mówiąc.

— Niechbym ja, albo taki drugi klecha, co się z lasem nie zna, puścił się bez drogi, juści by go pewnie wilecy zjadły albo zbójcy zamordowali, ale księcia z tylu ludźmi!!

Śmiał się Bobrek... Ośmielało go to że był sam na sam ze starą.

— Oczewista rzecz — dodał — że miłościwy sobie jeździł kędy mu było potrzeba, o czym ludzie wiedzieć nie powinni, więc teraz płota Bóg wie co, ale ktoby temu wierzył!

Blachowa schyliła się do ognia.

— To tam — rzekła sucho — nie moja sprawa...

Klecha głową tylko kiwnął, usiadł na ławce w kątku, nie rozpaczając jeszcze, że ze staruszki coś dobędzie.

— Wyście już pewnie swojego Siemaszka widzieli — ciągnął dalej — bo on was jak matkę miłuje i szanuje.

— Jam mu też tak jak matką była — odparła stara wzdychając — a no, mówię zawsze, moja doła taka, żem wychowała z czego się cieszyć nie będę... Ludzie mi go odbierają!

Domawiała tych słów, gdy Ulinka wpadła z twarzą zarumienioną, oczyma jasnymi, wcale inna niż ją Bobrek, w czasie niebytności księcia widywał. Spostrzegła gościa, który na widok jej prędko z ławy powstał. Twarzyczka się zachmurzyła.

— Przyszedłem powrotu księcia wam powinszować — rzekł wstając.

Dziewczę nie mu nie odpowiadając, szepnęło coś na ucho matce, spojrzało z ukosa na natręta, i poszło do okna, dając mu uczuć, że mógłby sobie precz iść.

Blachowa już na wychodnem ulitowała się nad zbiedzonym chudziną, i dała mu miodu kubeczek, klecha wypił go, pokłonił się i poszedł.

— Dziewczyśko jakby księżniczką była, ani chce na ludzi patrzeć, a prosta chłopianka.



W dziedzińcu Bobrek miał szczęście spotkać się z księciem Henrykiem, u którego był w łaskach. Przy nim on dworował teraz wcale inaczej, gdy ludzie na nich nie patrzyli, pobożnego nie udawał, uczył go piosnek swawolnych, prawil powieści, których się u Krzyżaków nauczył, o niewiastach, i o szerokim świecie, pomagał mu do śmiechu. Pewien rodzaj poufałości zrodził się z tych stosunków, chociaż klecha z Henrykiem ostrożnym być musiał, bo w żartach popędliwym bywał i okrutnym, a parę razy go okrwawił.

Skloniwszy się księciu w sposób błazeński, że czapką aż po ziemi powlókł, Bobrek zawołał.

— Chwalić Boga, mamy księcia z powrotem. Ale kędy bywał!! szal prawia, że się w lesie obłąkał i głodem marł, niech zdrów wierzy kto chce.

— A ty co myślisz? trutniu? — rozśmiał się Henryk.

— A cóż ja wymyśleć mogę, kiedy nitki pochwycić trudno. Gdyby niteczka choć mała, doszłoby się do kłębuszka.

Młode książętko wtórowało mu śmiechem.

— Patrzej tylko, gdy nitkę schwycisz, aby się z niej sznurek nie skręcił, na którymbyś mógł wisieć — zawołał.

Bobrek pochwycił się za szyję i głowę skrył w ramiona, a książę mówił dalej.

— To prawda, że Semko nas okłamuje, ale ja dojdę, gdzie on bywał.

Towarzyszył klecha młodemu panu aż do drzwi probostwa, lecz Henryk już na niego ani spojrzał, i Bobrek od progu zawrócił się do miasta.

Gdy nazajutrz o zwykłej godzinie na zamek przyszedł, długo musiał stać we wrotach. Wyciągali właśnie kopijnicy, jechał chorąży, szły wozy z przyborami obozowemi.

W podwórzach tylko reszotka starszizny i mały

oddział doborniejszych ludzi się znajdował, a dwór księcia Janusza.

Czerski i warszawski książę siedział z bratem za stołem, tak chmurny jak wczoraj.

— Nie chcesz mi się przyznać, że cię tam ochota wielka ciągnie — mówił do brata — ale ja widzę i czuję, że Bartosz głowę ci zawrócił. Daj Boże szczęście, tylko uchowaj biedy, ja ratować nie mogę i nie będę.

— Widzisz przecie, że nie czynię nic — odparł Semko — a za to co ludzie robią, jam nie odpowiedział...

Wstrzymać trudno, kiedy serce mają do mnie...

— Serce? — rozśmiał się Janusz — bodajesz tak zdrów był Oni serce mają do kogo? Ty w to wierzysz, młoda duszo! Im potrzeba chorągwi, nie więcej, a znajdzie się lepsza, cisną w kąt naszą...

Zamilkli, bo Semko, nadąwszy się, nie odpowiedział nic.

— Dwu nas na świecie jest — dołożył po chwili Janusz — niechże choć jeden rozum ma, a ocaleje.

— Nie liczysz Henryka — wtrącił Semko.

— Bo nie ma go co do rodu liczyć, kiedy księdzem ma być — rzekł Janusz.

— Prawda, ale mu sutanna bardzo cięży, choć głowy jeszcze nie wygołono — rzekł Semko.

— Dzieciak. Wyszumi się to — odparł Janusz.

Semko głową potrząsał.

— To mu ją włożemy gwałtem — rzekł zimno Janusz. — Ojca woła święta, ja nie dam się jej przeciwieć. Księdzem musi być.

Stanowczo i silnie wyrzekł te słowa Janusz i zamilkł. W człowieku tym na pozór bardzo spokojnym i łagodnym, czuć było wolę żelazną.

Siedzieli znówu milczący, spoglądając na siebie. Janusz pomrukiwać zaczął.

— Nie poszedłeś sam, aleś ludzi dał. Nic kijem to pałką. Jużes palca umoczył. Woła twoja, chcia-

łem wstrzymać a nie mogłem. Teraz gdyś już pocałował, Semku, nie rzuć tak lekko jak chwyciłeś!

Semko obrażony się rzucił.

— Za lekkiego mnie masz?

Starszy powolnie wzrok zwrócił na brata.

— Nie wiem jeszcze jakim jesteś — rzekł. —

Kiedy baba garnek na targu kupuje, dzwoni w niego palcami, dzwoni, patrzy, ogląda czy wypalony, ale póki w nim wody nie zagotuje, nie jest nigdy pewną czy garnek wytrzyma. W tobie Semku, też woda się jeszcze nie gotowała w ogniu nie był.

Dumną postawę przybrawszy, młodszy nie odpowiedział. Janusz wstał, aby się pożegnać.

— Bóg szczęść — rzekł poważnie. — tylko com mówił, w nieszczęściu ratować cię nie będę mógł, bo obn nam przepadać nie można.

— Ależ przy pomocy Bożej — wybuchnął młody — ja wcale ginąć nie myślę, ale chorągiew naszą o dwu orłach podnieść wysoko!

Dziwnie uśmiechnął się Janusz.

— Pamiętaj tylko — dodał — że tam przy orłach dwn, siedzą też na chorągwi dwa puhacze. Nie radbym, ażeby orłowie ulecieli, a puhacze nam zostały, bo to ptacy, co krzykiem swym nieszczęście wróżą.

Wyszli razem do przedsieni, gdzie starszego pana, jak go tu zwano, zgromadzili się żegnać wszyscy urzędnicy dworu i dowódcy. Przybiegł też Henryk z miną zuchwałą i niewiele uszanowania okazującą. Raził oczy jego strój niezgadający się z powołaniem i postawa żołnierska.

Spojrzał nań Jannsz z nkosą.

— Ty — rzekł zwracając się powoli do niego — módl się za nas wszystkich, to twoja powinność.

— Za młody jestem do tego! — żwawo odparł Henryk — to starszych rzemiosło. Tymczasem wołałbym w pole ciągnąć.

— Z procesyą chyba — rzekł Janusz surowo. — Wiesz dobrze do czego cię ojciec przeznaczył, ja te-

raz miejsce jego zastępnę, i wolę poszanować po-  
trafię.

Ostatnie wyrazy zwoła, dobitnie dopowiedziawszy,  
dalszej rozmowy już unikając, Jannsz konia dosiadł,  
ręką skinął zgromadzonym i ruszył ku bramie.

Po odjeździe Janusza, to co przy nim ukrywać się  
starano, wyszło na jaw. Semka od potajemnego niby  
uczestniczenia w wyprawie na Kalisz, nie było sposo-  
bów wstrzymać. Udział jego miał być tajemnicą, lecz  
wszyscy o nim wiedzieli. Nie ukrywał się z tem  
Semko...

Ludzie otaczający księcia sądzili o tem różnie.  
Zdania były podzielone. Cieszyli się ci, co nie do  
stracenia nie mieli, a coś zyskać na tem mogli, lecz  
znaczna część starych fraszobliwą była.

Mazowsze przez czas długi używało spokoju i na-  
wykło do niego, narażało się mieszając do wojny na  
najazd nieprzyjaciela; od Domarata obawiać się tego  
nie było można, lecz w pomoc jeźni, mogli nadcią-  
gnąć Węgrowie, Czechy, a słuchy chodziły o namó-  
wionych Sasach i Brandenburszykach. Nie można też  
było ręczyć za Krzyżaków, choć na tę wojnę pienie-  
dzy dali, ażeby z niej nie korzystali.

Na wielu twarzach malowała się trwoga, Semko  
tylko, gdy raz się ważył na krok śmiały, wesoło  
i całym sercem brał się do dzieła.

Tyle było do czynienia w Płocku, dla jego bez-  
pieczeństwa, że znaczna część dnia upłynęła, a Semko  
nie był gotów jeszcze. Bartosz niecierpliwy przy-  
nagłał.

Wszedł wreszcie Semko do sypialni zbroję wdzie-  
wać i zastał tu Blachowę i Ulinę, które z oczyma  
czerwonymi od płaczu, skóry z posłania zdejmowały,  
oddając je czeladzi na drogę.

Raźnie, ochoczo, z piosenką na ustach wpadł mło-  
dy pan, spojrzał na kobiety, łodzi rozpędził i do Uli-  
ny się naprzód obrócił.

— Nie psujcież mi serca! — zawołał — nie szło-

chajcie i nie płaczcie. Idę z dobrą myślą i nadzieją, powrócę da Bóg ze zdobyczą...

— Jam od pochodn nie odradzała i nie odwozila — odezwala się Uliua — ale teraz nie dziw, że matce i siostrze smutno a straszuo. Jak tn nie zapłakać, myśląc o wojniel

Zbliżyła się do niego i ręką pogładziła długie jego włosy. Semko nawzajem rękę położył na jej ramieniu.

— Kądziel prząść — rzekł — piosenki zawodzić, a czas przejdzie rychło!

W tem Błachowa płaczem wybuchła.

— Skole mój — zawołała — weźnij krzyżyk ten pod zbroję, a jadąc do kościoła wstąpi niech Bóg cię strzeże.

Wojownika nie wstrzymać.

Semko siadł zbroję wdziawać, Uliua zbliżyła się pomagając mu ją zapinać, ale ręce jej drżały. Sam on przypasał sobie miecz i mieczyk wziął do pasa, a hełm w ręce. Przystąpił do dziewczęcia i pocałował je w czoło, próżno chcąc utaić wzruszenie.

Uliua ręce zarzuciła mu na szyję, stara schwyciła dłoń jego okrytą żelazną rękawicą, chcąc ją pocałować raz jeszcze, ale Semko wyrwał się nagle i drzwi zamknął, za któremi płacz słyszeć było.

W wielkiej izbie czekali nań wszyscy, i ci co mieli zostać i co mu towarzyszyli. Stał i Henryk, któremu stanowczo wzbroniono udziału w wyprawie, namarszczony i gniewny.

Gdy Semko zbliżył się do niego, aby go pożegnać, chłopię przybrało minę dumną i posępną, nie przemówiwszy ani słowa.

U ganku stały konie i ludzie, lecz książę nie siadł, wskazując na kościół, do którego poszedł pieszo.

Wszyscy mu towarzyszyli tłumnie, oprócz Henryka.

Ten, w boki się wzięwszy, pozostał u ganku, jak

gdyby kościół, któremu go mimo jego woli chciano poświęcić, wstąpił w nim obudzał.

W progu czekało na Semka duchowieństwo z krzyżem i wodą święconą, ze śpiewem i modlitwą. Chwila była uroczysta, wszyscy pochyłili głowy. Młody książę czuł jedno to, że powrócić z niczem srom będzie, a ta korona, którą mu obiecywano, tak wysoko jeszcze unosiła się w obłokach.

Z ganku na cały ten obrzęd, zazdrośnemi oczyma, patrzył Henryk; z wieży, na którą pobiegła Błaszowa i Ułina, we dwie siadły płacząc patrzeć na gościniec, którym Semko w świat na boje miał ciągnąć.

Widać już było na nim idące poczty zbrojne i wozy. Konnych, wojsko doganiających. W stronie, ku której dążyli, ciemna chmura leżała, daleki zasłaniając widnokrąg.

Przed mieszkaniem kanclerza stał zadumany Bobrek, spoglądając to na Henryka, to po podwórzach opustoszałych. Myślał już czy warto było tu pozostać dłużej, lub do Torunia powracać, aby z nowemi poleceniami w inną wyruszyć stronę, gdzieby więcej było do czynienia.

Przepisywanie długie nudziło go bardzo, siedzenie w miejscu dokuczyło, a piękną Anchen ojciec tak pilnował i zamykał, że się do niej zbliżyć nie było sposobu. Szło o to tylko jak się ztąd wymknąć, w sposób przyzwoity, aby móżdż w potrzebie powrócić.

Bobrek po namyśle dobył z kieszeni nożyka, ukłuł się mocno w palec prawej ręki, zakrwawił szmatkę, grubo nią obwiązał niby skaleczony palec, twarz uczynił smutną i bolejącą i poszedł piskliwym głosem prosić kanclerza o czasowe uwolnienie od skryptury dla bardzo zarżniętej ręki. Nazajtrz rano był już na drodze do Torunia, wioząc tam doniesienie o tajemniczej księcia wyprawie.

---

### III.

W oktavę Trzech Króli, w obozie Wicka z Kępy i Bartosza z Odolanowa, dowodzących wielkopolskiej szlachcie, ruszano się żywo i zamaszyście, przygotowywano do zdobywania miasta i zamku Pyzdr, pod którymi szeroko rozłożone obozem stały pozbierane zewsząd oddziały Należców.

Warta i Prośna, któreby w innej porze broniły nieco przystępu do stojącego na wzgórzu grodu, murem opasanego, ścięte mrozami, nie przeszkadzały wojewodzie do osaczenia dokoła. Ale zamek, który Król Kazimierz niedawno był wzniosł na nowo i silnie obwarował, i miasto, opasane ścianami grnbemi, z basztami potężnemi, bronić się chciały i ani słuchały wezwania, aby się poddały.

Wiedzano tu, że Kalisz oparł się napaści Bartosza z Odolanowa, załoga i mieszczanie mieli nadzieję, że i oni potrafią go odeprzeć.

Oba wojska oblegające, choć liczne i czynne, a śmiałe, niepodobne były wcale do tych zastępów w żelazo okutych, strasznemi kopijami uzbrojonych, których się najwięcej obawiano.

Była to zbierana drużyna, różnobarwna, opatrzona w oręż najrozmaitszy, nie zbyt sforna, nie zastraszaająca groźną postawą.

Okolo wojewody tylko i Bartosza, kopijników parę secin lepiej wyposażonych i karniejszych się znajdowało. Resztę tłumu stanowiła szlachta, ubodzy panosze, rycerstwo koźuchowe, które nad obuch i lądajaki kord, często nie miało nic więcej. Niektórzy blachą piersi jako tako przykrywali, rzadko się który całą zbroją mógł pochwalić. Ale szło to wszystko halaśliwie, mężnie, z gorącością wielką.

Wszyscy rozumieli to, iż walczyli, aby się Niemców pozbyć i ich drnhów, a wobec Krakowian okazać z taką siłą, ażeby Wielkopolskę i wolę jej poszanować musieli.

Domarat z Grymałami znaczył tyle, co poddanie się nienawistnemu Luksemburczykowi i przewództwu panów krakowskich.

Wojewoda Poznański Wicek z Kępy, Bartosz z Odolanowa, Sędziwój Świdwa z Piotrkowic, prowadzili te zastępy, które własnego pana, swoich praw i starego obyczaju polskiego się domagały.

O Semku chodziły tylko wieści głuche. Był wszędzie, a wistocie nigdzie go widać nie było. Czasem ukazywano sobie z przyłbicą zapuszczonego rycerza, zapewniając, że to był własny książę Mazowiecki, a nazajutrz słyszano o nim o mił dziesięć ztamtąd. Tam i tu z największą pewnością mieć go chciano, lecz w oczy nikt go jeszcze nie spotkał.

Mazurowie tu i owdzie spotykali się knpkami, lecz chorągiew ich nie powiewała nigdzie.

Pomimo to o Semku i Piaście była mowa ciągle i wszędzie. W synu surowego Ziemowita, chciano mieć pana, któryby nie obcego nie cierpiał na tej ziemi, a wszystko stare, wpływem cudzoziemskim zepsute, do dawnego przywrócił stanu.

Spodziewano się, że nowe niemieckie swobody, nadane miastom, osadom i osadnikom miały precz pójść, a drobna szlachta odzyskać siłę i moc dawną, rządzenia sobą, wybierania pana i gospodarzenia w domu.

Z Domaratem szli mieszczanie po większej części i co trzymało z Niemcami, z nowym światem i prawem nowem. Tu też zaciągano cudzoziemców, powoływano w pomoc Brandeburgów, Sasów, Czechów, odzywano się do Węgrów, bodaj nawet do Krzyżaków, było na swoim postawić, gdy w obozie wojewody Poznańskiego nie było nikogo, oprócz wielkopolskiej szlachty i Mazurów.



Mężny to był lud, ale do karności wojskowej nie wdrożony i w garść go ująć nawet wojewodzie i Bartoszewi bardzo było trudno.

Każdy tu rozkazywać był rad, a słuchać mało kto. Mówiono dno, krzyczano głośno, ale się wszystko rozpręgało łącno. Prawda, że gdy się to wojsko raz bić zaczęło, walczyło zapamiętale, wściekle, choć bez porządku, a głos wodza nie wiele tu ważył.

Obóz pod Pyzdrami, spojrzawszy nań, opowiadał o tem z czego się składał. Począwszy od szkarłatem bramowanego namiotu wojewody, do szatry i szalasu z gałęzi, do budki płóciennej na kołach, do podartej szmaty szarej, na dwu kijach rozwieszonej, wszystko tam widzieć było można. nawet najmniej spodziewane w obozie. Pułków i oddziałów rozeznać było trudno, a choć gdzieś tam stały małe chorągiewki dowódców, niewiele się przyczyniały do porządnego rozkładu obozowiska.

Było to pierwszego zaraz dnia po przyciągnięciu i rozłożeniu się pod Pyzdrami, które wrota zamknięwszy, zapowiadały upartą obronę. Wszyscy mieli najlepszego ducha i szli z tą nadzieją, że się raz tylko rzucą gwałtownie ku murom, a mieszcuchy o łaskę prosić będą musieli. Na zamku zaś wiedziano, że ludu zbrojnego nie dużo było.

Jądrym a sercem obozu był namiot wojewody, obok którego skromniejszy Bartosza się znajdował. Tu się skupiali dowódcy, ztąd rozkazy wychodzić miały.

Wicek z Kępy, wojewoda poznański, różnił się wielce od dziarskiego, a niespokojnego ducha, Bartosza z Odolanowa. Rycerski mąż, jak on, wodzem się czuł więcej niż żołnierzem, gdy Bartosz wołał się bić sam niż drugich prowadzić.

Miał też Wicek z Kępy postawę jakby stworzoną, aby tłumowi wrażyć poszanowanie, umiejętność rozkazywania i energią do niej potrzebną. Zdawał mógł

się lada warchoł oprzeć jego woli, zajrzawszy w oczy, nikt odezwać się nie śmiał.

Objąwszy dowództwo nad zbiegającą się zewsząd szlachtą, już samem imieniem swem i powagą urzędu wojewodzińskiego, na stronę Semka i panoszków dobrze szalę przechylił. Wszystko co lekko trzymało się Domarata, odpadło od niego.

Nie wiadano, że ci, co mu się oprą, ciężko odpokutować będą mnsieli.

Średnich lat, posiwiały, skromnej powierzchowności, nie błyszczał niczem wojewoda, lecz gdy w kogo oczy wlepił, a na niedorzeczne pytanie długiem odpowiadał milczeniem; każdy i najmężniejszy zastygł od tego wzroku.

Takiego właśnie dowódcy potrzeba było temu zbiorowisku i bystry Bartosz z Odolanowa wiedział dla czego uprosił go, zmusił niemal do przyjęcia naczelnego dowództwa, z urzędu mu należnego.

Wicek z Kępy długo do wojny domowej mięszać się nie chciał, a krwi braterskiej przelewać. Potrzeba było usilnych a przekonywających nalegań Bartosza, aby się dał skłonić do wystąpienia.

Raz dowództwo objąwszy, nie cierpiał warcholstwa i trzymał je w żelaznej dłoni.

A miał do czynienia z najniesforniejszym w świecie żywiołem, z drobną szlachtą wielkiej dumy pełną, czującą się tu panią, stanowiącą siłę i nierozumiejącą posłuszeństwa.

Obok niego stał Sędziwój Świdwa, mąż odwagi wielkiej i rozumu niepośledniego; ale duchem i rącością do Bartosza więcej niż do wojewody zbliżony. Młodszy od wojewody, jak on nieprzyjaciół Domarata, Niemców i panowania obcego, Świdwa, był umysłu przedsiębiorczego, ochoczego, a wojnę lubił dla wojny.

Tu zaś ona mu się wydawała sprawiedliwą, bo oburzało to, że Domarat obcych przeciw swoim zwoltywał.

— Wszystko temu łotrowi z Pierzchna przebaczyć można; rabunki, rzeź i pożogi, lecz żeby on, nasz, bratem się wczoraj zowiący, na nas, na braci, na krew własną Niemców, Czechów, Brandenburgów, Sasów i wszelakich żołdaków ścigał, za to przebaczenia nie ma. Na pierwszej gałęzi bym go, bez sądu, razem z k r w a w y m d j a b ł e m powiesił.

Świdwa, wojewoda, Bartosz we trzech jedno myśleli, wszyscy sprzyjali Semkowi, a stanowili siłę wielką.

Książę Mazowiecki bez nich ani się mógł pokusić o koronę, z nimi przewidywano, że Wielkopolskę opanuje.

U szlachty wysoko noszone imię Semka, w zniemczalych miastach i u tych co trzymali z niemcami, wrażało nieopisaną trwogę. Cień ojca Ziemowita, słynącego z surowości, przywiązanie książąt do starego obyczaju, unosiły się nad niem.

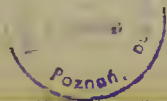
Lękano się go, jak piorunu! — mówi kronikarz współczesny — lecz znaczniejsza część kraju wzywała go jak zesłańca Bożego, pogromcę tego żywiołu, który groził zalewem i wynaturzeniem całej Polsce.

Spotkać ją mógł ten los, jakiego już doznał Szlązk oderwany, zniemczający, na którym rzadko ocalała, niewytrzebiona szlachta drobna, języka już swojego i rodu zapominała.

Panosze gotowi byli zbytku, rzemioł i handlu, i co życie osładzało a lżejszem je czyniło, wyrzec się, byle skóry swej na niemiecką niezmieniać, a prawu teutońskiemu, które ich z łada przybłędami równało, nie ulegać.

Co żyło więc ruszało się, kupy i gromady ciągnęły do obozu pod Pyzdry, pod chorągwie wojewody. Świdwy i Bartosza.

Odolanowski pan, który może jeden z pierwszych ruch ten rozpoczął i dał mu mazowieckie hasło, a był w początku jego duszą; który rad był, że niesprawie-



dliwości jakiej się na nim dopuszczono pomści, kraj uratuje i do rycerskich popisów plac znajdzie szeroki; teraz spoglądając na obóz i na żołnierza co go składał, milczał trochę rozczarowany.

Bartosz, choć narodowej służył sprawie, był wychowawcem zachodniej rycerskiej szkoły, niepospolitym zapaśnikiem w turniejach, znawcą obyczajów nowych z Francyi i Niemiec przynoszonych. Był to mąż na swój wiek wykształcony, który między panami i książętami najświetniejszych dworów mógł wystąpić i iść z niemi o lepszą.

Towarzystwo, jakie go tu otaczało, bardzo mu do smaku przypadać nie mogło.

Łatwiej je było znosić nawykłemu do niego wojewodzie i Sędziwojowi Świdwie.

Wicek z Kępy zaledwie namiot jego rozbito i chorągiew Nałęczów wywieszono, nim się miał czas w położeniu rozpatrzyć, nim obmyślił co pocznie około miasta oblężonego, już sam został oblężonym przez szlachtę, tłumnie nabiegającą z radami i żądaniami.

Nie było sposobu zamknąć się przed nią, mimo straży u opłotków, ani uprosić o cierpliwość. Wszystkim Nałęczom i ich sprzymierzeńcom pilno było okazać gorliwość swą, męstwo i przebiegłość.

Jeden przychodził z doniesieniem, że Pyzdry znał jak własną wieś, że furte wiedział w murze i miejsce kędy ściany były pogrzehotane i słabe.

Inny ofiarował się wkraść potajemnie, dostać do OO. Franciszkanów, a przez nich mieszczań skłonić do poddania bez krwi rozlewu.

— Miłościwi panowie a bracia — odpowiadał wojewoda — na rany pańskie, zostawcie wodzom dowództwo, a gdy przyjdzie do szturm rąk nie żałujcie. Bez gąb się obejdziemy.

Z drugiej strony knpy wołały i domagały się, aby im wojewoda dozwolił się tylko rzucić na miasto, a w oka mgnienia je zdobyć i gród poddać się będzie musiał.

Zadanie to, gdy śmiejąc się mówili o niem, zdawało się łatwem jak orzech zgryźć.

Tymczasem zebrani na naradę w namiocie wojewody, on, Świdwa i Bartosz, który już był miasto ze wszech stron objechał, wcale go za tak łatwą zdobycz nie uważali.

Mury były grube i mocne, mieszczenie widocznie przygotowani do odpierania oblegających, chociaż ich siła przemagała. Sama obawa rabunku i zniszczenia, dodawała im rozpaczliwego męstwa. Machin do burzenia murów nie miano, sporządzenie ich długiego potrzebowało czasu, szturm mógł wiele ludzi kosztować.

Wojewoda gotów był, ścisnąwszy Pyzdry dokoła, dobywać je głodem i pragnieniem. Bartosz był za szturmem i ufał, że jeśli nie pierwszy, to drugi lub trzeci bramy otworzy.

Świdwie pilno było to skończyć, bo o Poznań chciał się upewnić, i Kałisza też wyrzec nie myślał...

Dnia tego niepodobna było przypuszczać szturm do miasta. Szlachta potrzebowała wypoczynku i po pochodzie była jeszcze nadto rozproszona.

Wiadomości od Domarata i Grzymałów nie pozwalały wątpić, iż przewagą Nałęczów ustraszyć się nie da, i do ostatka walczyć będzie nie poddając.

Wojna ta braterska, oprócz innych trudności i tem zastraszająca, że na polu bitwy nieprzyjaciela od swoich niepodobna było odróżnić. Nałęczowie zawiązywali sobie na znak białe chusty, lecz to nie starczyło.

Hasło bojowe było jedno. Z obu stron wołano Maryał. Tylko Domaratowi chcieli Maryi z Luksemburczykiem, a wojewodzińscy Maryi z Piastem, Semkiem...

Noc zapadła, gdy jeszcze mury, wrota i wały a baszty opatrywano. Na wezwanie pierwsze wojewody do poddania się, nie nie odpowiedziano. Posłowie oczekiwani, nie przybyli.

Nazajutrz jak dzień obóz się poruszał jak mrowisko, szlachty utrzymać nie było podobna.

Bez rozkazów, niektórzy na własną rękę drabiny przystawiali, próbując się drapać na mury, ale opór silny znajdowali wszędzie. Rzucano kamienie, spuszczano kłody.

Jakby na żart za odgródki wzięcia głodem, w jednym miejscu wrzącem podpiwką obłano spinających się na mury.

Wojewoda widząc, że dłużej stracie ludzi daremnej zapobiec nie potrafi, wyruszył sam dając trąbami znak do szturm.

Pierwsza ta chwila gdy co żyło runęło z ogromnym okrzykiem na ściany, zdawała się od razu rozstrzygać o losie miasta, z takim mężstwem rzucili się wszyscy, rąbiąc bramy, pracując na mury, strzelając do ukazujących się na nich mieszczan.

Dziki wrzask ani rozkazów, ani odgłosu trąb, ani nawoływania wodzów nie dawał słyszeć. Szalonym tym wybuchem mężstwa pokierować nie było można. Każdy na przedzie chciał być, tłoczono się niepotrzebnie, obalano i duszono.

Korzystając z tego mieszczanie, przypuścili oblegających niemal do blanków, a dopiero wówczas nagotowane kłody, koła zębate, kamienie, smołę i ukrop rzucać i lać zaczęli.

Pierwszy zastęp napastników zgnieciono łatwo. Z jękiem walili się ludzie na kupy pod murami, inni odskoczyli.

Odparty szturm na krótko tylko popłoch sprawił, wściekły szal i pragnienie zemsty ogarnęło szlachtę. Ci co pozostali, drgnim nawrotem rzucili się po trupach i rannych na mury...

Mieszczanie skryci bezpiecznie za niemi, nie poniosłszy strat prawie żadnych, oprócz kilku lekko postrzelonych, stali w miejscu. Zapasów do odpierania szturm nie brakło.

Ruszyły więc znowu głazy, gruz, drzewo, i strzały gęste z kusz, które wielu raniły.

Przy wrotach bój był najzaciętszy, łano ukrop i smołę na rąbiących i dobijających się do nich; tak że utrzymać się nie mogli, mimo tarczy, któremi się osłaniali.

Druga napaść została odpartą jak pierwsza. Choć wżawa, krzykami z obu stron podsycana nie ustawała, wojewoda na gwałt kazał trąbić do odwrotu. Ludzi mu było szkoda.

Należało obmyśleć środki, aby ich nie tracić darmo.

Znużeni kilkogodzinną walką, cofnęli się powoli, ale rozwściekani niepowodzeniem, wołając do Pyzdrzan ukazujących się na murach, że kamień na kamieniu nie pozostawia mszcząc krew swoją.

Obrona murów daleko była łatwiejszą od szturmowania do nich. Tam się łąda kto mógł przydać, bab nie wyjmując, które ukrop gotowały i łały; przyznać jednak musiano, że się nieszczaństwo dzielnie odcinało, do czego mu z gródka wysłani żołnierze załogi, dopomagali.

Dnia tego już o ponowieniu napadu myśleć nie było można. Potłuczonych i ranionych znajdowało się wielu, a i na trnpach nie zbywało.

Musiano wywlekać z pod murów, jednych dla pogrzebu, drugich dla opatrywania.

Około wojewody, Świdwy i Bartosza, który sam przy szturnie był i zawdzięczał twardej zbroi, że rany nie miał, zbiegł się znowu tłum z radami, żalami, narzekaniem. Winę jedni na drugich zwałali.

Bujak Nałęcz, który wyszedł cało, dowodził głośno i zapamiętałe, że gdyby tak wczoraj znienacka zaraz na mury się byli i rzucili i do bram, mieszczenie nieprzygotowani, przy pierwszym popłochu byliby się poddać musieli. Przez noc mieli czas naściagać kamieni i drzewa, a odparty szturm męztwa dodać musiał.



Wojewoda z zimną krwią słuchał, zalecając kar-  
ność i posłuszeństwo, dwie cnoty, których potrzeby  
nikt nie uznawał.

— Jutro my ich nauczymy!—wołano.

— Zaczęli jedni kobylice budować, drudzy mocne  
drabiny wiązać, inni się zmawiali na pewne miejsca,  
które słabszymi się wydawały.

Przebieglejsi chcieli w nocy ubiedz jaką furtą  
podkraklszy się, i jak w Kaliszu piły na niej spró-  
bować.

Nie rychło po tej klęsce w obozie się uspokoiło.  
Nocą próbowali śmiałkowie podpełzać do wrót, ale  
czujni mieszczanie spędzali ich raz i drugi.

Nazajutrz około południa, ostrożniej podsunęto  
kobylice, zaczęto się dobijać znowu, ale Pyzdranie  
też nocą nie spali. Bliższe murów szopy i budowle  
porozbierali, drzewa stosy powciągali na górę, ka-  
mieniami nanieśli kupy.

Nie dali się znowu. Ranionych było wielu, za-  
bitych mniej, ale wysiłek ten żadnej nie przyniósł  
korzyści. Mieszczanie o poddaniu się słuchać nie  
chcieli.

Nie odjęło to męztwa oblegającym.

Trzeciego dnia niedano też spoczynku Pyzdrza-  
nom, a wszyscy dowódcy zgodni byli, że bądź co  
bądź, miasto zdobyć potrzeba, bo po próżnem poku-  
szeniu się o Kalisz, odstąpienie od Pyzdry, sprawę  
by popsuło i szlachcie odjęło serce.

Czwartego dnia znalazły się już tarany do wy-  
walania wrot i kobylice kryte, a szlachta rozumiała  
lepiej, że głosu dowódców słuchać było potrzeba.

Bartosz ze Świdwą poszli sami kierować zdoby-  
waniem głównej bramy. Taran zatoczony przed nią  
napróżno starano się zgruchotać. Stał on w takim  
oddaleniu, że rzucone belki go nie dosięgały, a ogro-  
mny ciężar wahała lada czem zgruchotać go nie  
dopuszczał.

Trzask wrót oznajmywał, że wkrótce paść musia-



ły, gdy białą płachtę i gałęź zieloną wywiesili mieszczanie.

Tymczasem zewsząd na mury drapali się oblegający. Zatrąbiono, aby walkę wstrzymać, co z trzaskiem dokonać się dało. Potrzeba było czasu aby roznamietniony tłum pohamować. Na wyżkach nad wrotami ukazał się mąż z siwą głową odkrytą. Oczywiście szukał dowodzących. Wojewoda podniósł rękę, w której żelazną trzymał rękawicę.

— Poddawajcie się bez zwłoki!—zawołał.

— Poddamy się miłości waszej, — począł wołać wysłany—ale nie mścicie się na nas, miastu krzywdy nie czynicie. Niewinni jesteśmy. Otwarlibyśmy byli wrota dnia pierwszego, gdyby nie załoga zamkowa... Zmuszono nas! przysiegamy!

Wojewoda spojrział na swoich, wszyscy byli znużeni, czasu stracono dno.

— Otwierać wrota!—powtórzył wojewoda.

— Słowo wasze, że nam krzywdy nie uczynicie!

Ogromna kupa szlachty zbiegła się do koła dowódców, przysłuchując ciekawie rozmowie. Niektórzy krzyczeli.

— Kamienia na kamieniu nie zostawić! Padło dosyć naszych!

— Myśmy niewinni!—wołał stary wyciągając ręce.—Nie zechcecie nam uczynić miłosierdzia, to, dziej się wola Boża, bronić się będziemy do zdechu. Słowo wasze! panie wojewodo!

Tłum warczał i odgrażał się.

Wicek z Kępy dał znak ręką, aby milczano. Uciszyło się jakoś.

— Załoga zamkowa siedziała nam na karku! Niewinniśmy!—powtarzano z murów.—Ulitujcie się.

Świdwa pierwszy zawołał do wojewody.

— Miasta szkoda, czasu szkoda, dać im pokój.

Bartoszewi pilno było zamku dobyć. Porozumieli się wszyscy. Wojewoda naprzód odwrócił się do swojej szlachty.

— Miasto oszczędzić trzeba. Damy im spokój...  
Chociaż mruczano, wojewoda nie czekał, rękę  
podniósł.

— Macie słowo! otwierać wrota!

— Przysięgnijcież! — zawołał stary.

— Moje słowo tyle waży co przysięga! — dumnie  
odparł wojewoda. — Wrota otwierać!

Nastąpiła cisza. Zwołano dowódców, zalecono porządek. Sworniejszym tylko ludziom, którzy do zdobywania zamku byli potrzebni, dozwolono wejść do miasta.

Odsunięto tarany i kobylice, otworzyły się wrota na pół już rozbite, starszyzna miejska wyszła z głowami odkrytymi. Nie naciskano się zbyt do miasta; szlachta musiała szanować słowo pana wojewody.

Ci tylko, którym języki świerbiały, podeszli do wrót niecierać się na słowa z mieszczanami, łajając ich i przezywając. Koniec końców czeladź wytoczyła piwa beczek kilka, a przy nich zaczęto skłaniać się ku zgodzie i krotochwilne prawić żarty.

Starszyzna miejska, wójt, ławnicy, zaprzysięgli się, że ani myśleli opierać się wojewodzie, ale Spytek Grąd dowodzący na zamku, gwałtem ich do tego zmusił.

— Odpokutujcie za to! — odgrążali się odpoczywający.

Gdy się to działo, w gromadce otaczającej wojewodę, stał z przyłbicą spuszczoną mężczyzna, którego widziano czynnym w czasie szturmów i pokazywano go sobie jako Semka, gdy drudzy, co tu na ostatku przyciągnęli, zaklinali się, że go widzieli z oddziałem w okolicach Kalisza.

Widziano go tak wszędzie.

Ku zamkowi na górze, co najlepszego żołnierza wzięwszy, pojechali natychmiast Bartosz, Swidwa i wojewoda. Znaleziono go zamkniętym, a na murach strażę. Obieżono dokoła. Ściany okrutne, grube, wy-

sokie, daleko sposobniejsze były do obrony od miejskich, a ludzi do nich tylu nie potrzebowano.

Bądź co bądź, wziąć było potrzeba.

Szczerściem tu opasać mogli łatwo, tak że głodem obleżonych wziąć się spodziewano, bo starszyzna miejska, pod wielką tajemnicą wygadała się, że zapasu żywności nie było wielkiego i studnia wyschła.

— Natychmiast żołnierza ściągnięto pod mury.

— Kto będzie miał ochotę zabawiać się tu, nikomu nie zbronięto—rzekł wojewoda—ale wysiłków wielkich czynić niema potrzeby. Poddać się mnszą niebawem.

Zatrąbiono do załogi.

Wyszedł człek cały w żelazo zakuty, podniósł przyłbicę nieco i rzekł hardo.

— Nie poddamy się.

Bartoszewi zakipiało w piersi.

— To już sprawa nie z babami, warto poprobować.

Nie czekając tarany i kobylice toczyć kazano na wzgórzu pod zamek.

Z murów załoga patrzyła na te przygotowania...

Nazajutrz Bartosz swoich ludzi z kuszami postawił przeciw zamku na dachach bliższych domostw, a sam szturmem zarządził. Ludzie ukazując się na murach dla obrony, od zręcznych łuczników kilka postrzałów dostali. Tymczasem główne wrota wybijano.

Drugiego dnia gdy więcej ludzi pod zamek przybyło, szczupłej załodze jawnie rąk zaczęło braknąć, aby się dokoła opędząć mogła.

Na zagrożone więcej miejsca, zbiegali się ludzie, ale inne stały opuszczone. Bartosz umiał z tego korzystać zręcznie. Zamek był zagrożony. Gdyby nie nadchodząca noc, wrota spodziewano się opanować.

W nocy obleżeni mieli czas je na nowo popodpierać i wzmocnić.

Dnia następnego spodziewano się na pewno zam-

ku dobyć, gdy z nad bramy zatrąbiono i Spytek Građ pokazał się na wyżkach.

Nie przyznał się do tego, że już jeść prawie nie mieli co, a żądał, gdyby zamek oddał, aby mu cało z ludźmi, końmi, orężem i taborem wyjść dozwolono, nie napastując go.

Bartosz, który go znał, napróżno usiłował na stronę swą przeciągnąć, uparty Grzymalczyk, przy swej chorągwi chciał stać wiernie.

Wojewodzie chodziło wiele o zyskanie na czasie, a obsadzenie co najwięcej zamków, on, Bartosz, wszyscy się w końcu zgodzili, aby załogę wypuścić. Szlachcie też zdobycie Pyzdr z zamkiem pochlebiało, a kupkę ludzi tych mało sobie ważyła.

Okolo południa więc otworzyły się wrota i Spytek Grad na czele swojego oddziału, który i dwóchset ludzi z czeladzią nie liczył, obstawivszy niemi wozy, na które zabrał co tylko mógł, wyruszył z zamku w porządku, między dwoma szeregami ciekawych, przypatrujących się i zaczepiających słowami. Ale na nie, nie odpowiadano, aby od słów do pięści nie przyszło.

Bartosz natychmiast na pusty gród wprowadził załogę nową.

Niejeden to był trynmf dnia tego, bo zaledwie w namiocie wojewody rada się zebrała, dokąd z miasta przyszli z podarkami ławnicy, gdy oznajmiono o nadciągających posłach z Poznania. Do nich przyłączyli się mieszczenie kilku znaczniejszych gródków, śpieszacy z oznajmieniem wojewodzie, iż się poddają jemu, a Domarata chcą rzucić.

Obawa szturmów i spustoszenia w razie oporu, wieści o znacznych siłach szlachty, gromadzących się pod chorągwie wojewody, zmuszały miasta do tego kroku.

Choć powszechnie obawiano się Semka i jego sprzymierzeńców, przemagająca siła skłaniała do poddania się.

Starszyzna miejska poznańska i innych osad na niemieckiem prawie, wśród których Niemców i pół-Niemców było wielu; żądała od wojewody, aby natchmianst zajmował je i od zemsty Grzymałów bronił.

Niespodziane to powodzenie, które więcej powaga urzęgu wojewody niż męstwo szlachty wywołało, wbiło ją w dnmę i dodało ducha.

— Trzymać się tylko kupą! — wołano — a dobra nasza będzie.

Wzięcie Pyzdr i nadchodzące poselstwa wszystkim serca rozgrzały. Bartosz z oddziałem pobiegł zaraz, jak się zdawało, dać o tem wiedzieć Semkowi... W istocie bowiem w obozie wojewody nie było go, a gdzie się znajdował, zachowywano w tajemnicy.

Sam wojewoda spodziewał się teraz, iż rychło zupełne zwycięstwo nad Domaratem i Grzymałami odniosą.

Nie zwlekając, porywczy Świdwa z silnym oddziałem ruszył razem z posłami poznańskimi, zając mia-to opuszczone przez Domarata.

Zamek trzymał jeszcze wielkorządca, ale drewniany dwór na górze, po nad nim, miasto oddawało wojewodzie.

Zbyt wszakże łatwem wyobrażano sobie złamanie Grzymałów, którzy wcale o poddaniu się nie myśleli. Domarat poprzysiągł do ostatniej krwi kropli się bronić. Mił jeszcze w rękach obronne gródki Wieleń, Międzychód, Mięłzyrzec, Zbąszyń, Kieplowo; a przy nim stali pokrewni Grzymała z Oleśnicy, Jędrzej ze Swierzadowa, Wierzbiet z Smogulca, Cedro z Morgonina, ludzie tak zapamiętali jak on. Ci także kleli się, że gotowi w popiół obrócić wszystko, a broni nie złożyć.

Dla strwożenia Nałęczów, gdziekolwiek spotkali osady ich, dwory, żony, dzieci, grabili, odzierali, zabijali.

Wojna wrzała zjadlejsza niż kiedy była, okrut-

na, zbójcka, nielitościwa, wzmagająca się z obu stron zemstą za każdą łupież, mord i napaść.

Gdy Świdwa dwór wielki górny nad zamkiem i miasto zajmował, zamku samego nie mogąc tak otoczyć, aby przystępn do niego nie dopuścić, Domarat wyruszył z Poznania zbierać ludzi, robić zaciągi, aby przedłużyć wojnę.

Spodziewał się utrzymawszy czas jakiś pomocy z Węgier od Luksemburczyka. Siły jego tymczasem, jak niegdyś Białego księcia, zwiększały się temi wszystkimi, co samopas rozbójstwem się parali, a teraz na zawołanie do bezpieczniejszych szyli rozbojów. Oprócz tego od Sasów i Brandeburczyków ludzi trochę mu przybyło, a z Grzymałów co żyło szło, bo w domu wysiedzieć nie mogło...

Z Pomorza, z Kaszub, ludu też swawolnego zgromadził Domarat siła.

Zaledwie Świdwa zaciągnął na górny dworzec w Poznaniu, i miał się czas cośkolwiek rozpatrzyć, gdy mu oznajmiono, że w Piotrkowicach jego, około Szamotuł, Domarat zasiadłszy w domostwie pańskim, dokola włości pustoszy.

Świdwa porywczy z natury, walkę i rycerskie sprawy lubił dla nich samych.

Byłby się bez innych pobudek, tak jak Bartosz rzucił w ten wir, torując drogę Piastowi, królowi z ich ramienia, przy którym i oni się królować spodziewali, a teraz, teraz osobista zemsta dodawała bodźca nowego.

Domarata i jego żołdaków trzeba było znieść koniecznie; osaczyć go znaczną siłą i jednym pokonać zamachem. Świdwa Domaratowej zbieraniny, złożonej z obcych, za tak bardzo groźną nie liczył. Łatwo jest zebrać takie wojsko, ale się ono łatwiej jeszcze rozbiega...

Gdzie był Semko?? pod Kaliszem, w okolicy Pyzdr, u siebie w domu? nie wiedział nikt. Nie pokazywał się jeszcze, nie chciał z tem wydawać, że

był czynnym. Kopijnicy jego, Socha, Choraży pokazywali się posiłkując wojewodę i Bartosza, on trzymał się w ukryciu. Kalisz nie poddał się był jeszcze, mówiono, że czekał w bliskości, aby go zająć, gdy się podda.

Wojewoda i starosta czuwali nad swym Piastem, zakrywając go, aby na wypadek klęski, nie odjęła mu ona uroku.

Skazany na bezczynność prawie, Semko się zżył i niecierpliwił, chciał mieć udział w walkach, odkładano z dnia na dzień.

Bartosz w końcu godził się na to, ażeby książę szedł przeciwko Niemcom, gdyby oni wtargnęli, ale nie przeciwko tym, którym miał kiedyś panować.

— Krwi poddanych swych nie powinienes książę przelewać — mówił wojewoda hamując — oczyścimy pole, warcholów rozpędzim, przyjdzie pora, wystąpić.

Sprawa nie szła tak gładko, jak się zrazu spodziewano. Kalisz, o który szło wielce, nie poddawał się.

Książę skazany na bezczynność, odbierał codziennie sprzeczne wieści tak, że jednego dnia i niepomieranie się cieszyć i smucić musiał, gdyż mu i zwycięstwa i klęski zwiastowano.

Przybiegali ludzie z rozproszonych przez Grzymalów oddziałów, to posłańcy od Bartosza, od wojewody. Jednego dnia wyprawiony z pola bitwy od Szamotuł goniec, zwiastował zwycięstwo odniesione nad Domaratem, którego Świdwa zniemacka naszedł z wojewodą i Bartoszem, nim ludzie jego rano mieli się czas uzbroić, których rozproszono i rozbito.

Domarat więcej rozpaczliwego męztwa niż oględności okazawszy, wystąpił z na pół ledwie uzbrojonymi, rozespanymi ludźmi i straszną poniósł klęskę.

Książę się uradował niezmiernie, zwiastowało to koniec walce, gdy w kilka godzin ledwie drugi goniec przybiegł, zwiastując zwrot wcale niespodzie-



wany. Po pierwszej utarczce, dla Domarata nieszczęśliwej, nadciągnął Wierzbica ze Smogulca, Grzymała, stojący niedaleko ztamtąd obozem, ze stu kopijnikami i kilkuset piechoty; wpadł na rozbiegające się wojsko Świdwy, które gonilo rozproszonych, i pobił nawzajem. Zwycięstwo było zupełne. Sam mężny Świdwa, przed tą siłą świeżą i przemagającą musiał się schronić do Ostroroga, zameczku Grocholi.

Zmienił się więc pierwszy tryumf w nową niepewność, wszystko zostało zachwiane.

Zbieg z pola bitwy, który był jej świadkiem, opowiadał ze zgrozą, jak wśród wielkiego zamieszania czasu walki, swoi swoich, niepoznając, mordowali, a jedni i drudzy krzyczeli:

— Za Maryą!!

Domarat chcąc się pomścić na Świdwie, obległ zameczek w Ostrorogu z całą swą siłą, lecz drugiego dnia już, ulękłszy się odsieczy, która z Poznania nadciągnąć miała, odstąpił od niego.

Uzuchwalilo Domarata zwycięstwo, i zaciągi jego, a Grzymałowie rozpostarli się około Poznania, Bukn, Wronek po Wartę, niszcząc włości i maszcząc się na Nałęczach.

Wojnie tej końca już widać nie było, bo szlachta znękana, o Domaracie i o Luksemburczyku ani słyszeć nie chciała.

Spustoszenia szły na rachunek Niemca i jego stronników, Semko widział i czuł, że mimo klęsk stronnictwo jego rosło i zwiększało się. Głośno wykrzykiwano, że na tron prowadzić go będą.

Burza ta, która srożyła się nad nieszczęśliwą Wielkopolską i Krakowianom groziła, bo póki by ona nie ustala, na przyszłość nie nie można było trwałego uradzić i postanowić.

Semko strzeżony pilno, naprzemiany karmiony nadziejami, zrażany niepowodzeniem, znękany i znużony, domagał się, by być czynnym i czekać musiał ciągle.



Po wieściach o bitwie u Szamotuł, przysłała wiadomość o zjeździe w Sieradzu Wielkopolan i Krakowian, z którego wyprawiono do królowej posłów, naglących, aby jedną z córek dała Polakom, dla którejby oni męża, a króla wybrali sobie.

Z odpowiedzią wyprawieni Węgrowie, oznajmili, iż w miejscu Maryi i Luksemburczyka, naznaczyła Elżbieta dla Polaków drugą córkę Jadwigę, przyrzeczoną Wilhelmowi austriackiemu.

Zjazdom tym w Sieradzu, naradom, poselstwom, końca nie było. Zgadzałi się już wszyscy na przyjęcie Jadwigi, aby raz koniec położyć niepewności i rozerwanin.

Wielkopolanie niezważając na to, że Wilhelmowi była przyrzeczoną, mężem jej chcieli mieć Piasta, to jest Semka.

Doszło i to uszu jego. W ciągłej trzymany obawie znian i przewrotów, Semko zaczynał wątpić o swej przyszłości, nie dawał tego znać po sobie, chcąc wytrwać do końca, lecz w duszy słusność przyznawał Januszowi. Cofnąć się teraz nie było można.

Semko jeszcze błdził ze swym oddziałem, uwodzony nadziejami coraz nowemi gdy mu przyniesiono oznajmienie, że królowa dla uspokojenia kraju i położenia końca wojnie braterskiej, wyprawiła pośredników do Poznania i Kalisza, wojewodę krakowskiego i kaliskiego z Mikołajem Bogoryą i innemi.

Było to dla niego znakiem, iż nie mógł się już spodziewać czynnie wystąpić, i że miecza z pochew nie dobywszy, musiał powrócić do Płocka.

Milczący, zamknięty w sobie, nakazał odwrót, ale z goryczą w sercu i żalem przeciwko tym, którzy go w pole wywiedli.

Słyszał wprawdzie dokoła siebie, że teraz dopiero droga do tronu otwartą jest i nikogo innego na nim mieć nie chcą, prócz Piasta, prócz niego, ale od Krakowa milczano.

Pierwsza wyprawa młodzieńcza, na którą szedł

pełen zapału, zawiodła go boleśnie. Nie był zwyciężonym, lecz został bezczynnym, co stanowiło także klęskę.

Z brwiami namarszczonemi, co według Sochy bardzo go do ojca czyniło podobnym, Semko jechał tak upokorzony, iż po dniu nie chciał przybywać do swojej stolicy. Zdawało mu się, że każde wejrzenie, które spotka, urągać mu się będzie. Sama niepewność jutra stawiała się brzemieniem okrutnem.

Późną nocą zatętniało na zwodzonym moście, w podwórzu ukazały się pochodnie, otwierano wrota wewnętrzne, podnoszono brony. Semko wjechał z przyłbicą spuszczoną.

U drzwi z konia zeskoczył, nie spojrzawszy na nikogo ze swojego dworu, i wprost wpadł do sypialni.

Jeszcze do drzwi jej nie doszedł, gdy Henryk, który na przybycie jego czatował, ze śmiechem sztyderskim pośpieszył go powitać.

Semko zmierzył go takim wzrokiem strasznym, iż chłopię nie śmiało przystąpić do niego.

W sypialni czekała już Blachowa, z za drzwi wyglądała Ułina; obu im dał znak ręką, że chciał sam pozostać. Żałował swem upokorzeniem i wstydem, pałał niemal zemstą ku tym, co go wyciągnęli na plac boju, chociaż sam on właściwie, wyrwał się przedwcześnie.

Widzieć się z nikim, mówić nie chciał; jeden tylko kanclerz, który przyszedł go pozdrowić, został wpuszczony.

Przed nim, jak przed ojcem swym duchownym, Semko wylał się z całym żalem i boleścią.

— Na pośmiewisko mnie wydali ludzie nie-sworni — zawołał. — Musiałem bezczynny patrzeć, jak się zarzynali i pastwili nawzajem na sobie, obiecując codzień zwycięztwo i koniec walce, a nazajutrz rozpoczynały się na nowo morderstwa i spustoszenia.

Kanclerz przerwał:

— Miłościwy książę, o ile ja wiem, nie stanów-

czego nie zaszło, nie jeszcze nie jest straconem. Wszyscy zgodnie na tron chcą was powołać.

W końcu Marca nowy zjazd do Sieradza zwołany.

Semko gorzko się rozśmiał.

— Ile już zjazdów było w Sieradzu? — zapytał. —

Co na nich postanowiono?

Zjeżdżają się tam, aby nowy zjazd zwołać.

— Na ostatnim królowa Elżbieta przyrzekła przysłać Jadwigę — przerwał kanclerz. — Będą dla niej wybierać męża i chcą was nim mieć.

— Jadwiga od dziecka jest zaślubioną Wilhelmu austriackiemu — zawołał Semko. — Jakże może być, aby jej innego męża dawano?

— Nie zaślubioną była, ale przyrzeczoną — odezwał się kanclerz — zaślubin dzieci kościół nie zna. Prawo świeckie może takie umowy przyjmować za dobre, ale kościelne za ważne ich nie ma...

Książę zamilkł nieco uspokojony.

— Korona nie przychodzi łatwo — dodał kanclerz — zdobywać ją potrzeba, czekać na nią, i wytrwać. Głos powszechny jest za wami.

Dnia tego i następnych kilka, Semko się nie pokazywał i nikogo nie dopuszczał do siebie. Siedział jeszcze zbolący, sam ze swym gniewem i żalem.

Takim go zastał przybywający Bartosz z Odolanowa. Odprawić go, nie widząc się z nim, książę nie mógł, znał przywiązanie i ofiary, jakie poniósł dla jego sprawy.

Bartosz przybywał niemal wesół, najlepsze wioząc wiadomości.

W Wielkiej Polsce stanął rozejm pomiędzy wojującymi, Domarat musiał nań przystać. Przeznaczenie Jadwigi dla Polski łamało wszystkie jego plany. Szło mu już nie o Luksemburczyka, ale o bezkarne wydobyć się z zawichrzenia, którego upór jego stał się przyczyną.

— Nigdy sprawa miłości waszej nie stała lepiej

— wołał Bartosz—wszyscy jesteście z wami. W Sieradzu musicie być, mamy nadzieję, że was tam królem obwołamy!

Bodzanta arcybiskup dał się nawrócić, jesteście go pewni! Pójdzie i on z nami!

— Bodzanta? — przerwał Semko — nie zwodzicie mnie?

— Mamy arcybiskupa w ręku — rzekł Bartosz — nie oprze się głosowi powszechnemu.

— A Małopolanie? a Kraków?

— O ileśmy ich wyrozumieć mogli, nie będą przeciwni. Gdy raz arcybiskup, arcykapłan powagą swą na tron was powoła, muszą przyjąć króla, lub państwo się rozłamać na dwoje. My nie ustąpimy.

Książę milcząc podał mu rękę, wstępowała nadzieja do serca.

— Bartoszu — odezwał się powolnie. — Proszę was, bądźcie baczni, nie łudźcie mnie i samych siebie. Winni będziecie całego mego żywota zatraceniu i sponiewieraniu. Po takiej klęsce w młodości, człowiekowi ledwie ochota do życia zostać może.

Bartosz pewien siebie, głośno zakrzyknął:

— Miłościwy panie! Wszystko zależy od was samych! Arcybiskup i my obwołamy was, to nie ulega wątpliwości, lecz stać powinniście przy tej koronie i z nami wspólnie jej bronić.

— Życie dam chętnie—rzekł Semko krótko i stanowczo.

— Kraj znużony, bezkrólewie trwało zbyt długo, zniszczenie i zubożenie jest straszne, ku wam oczy wszystkich są skierowane, jak ku zbawcy! Obey panujący dość się nam dali we znaki, zakosztowaliśmy owoców bezpańskiego życia, gdzie każdy warchoł chciał być panem, a w miejscu jednego monarchy mieliśmy stu łupieżców.

Zamyślony książę rzucił jeszcze pytanie o Bodzantę.

— Arcybiskupa pewni być możecie — począł Bar-

tosz. — Mamy go i strzedz będziemy, nadto dobrze czuje przy kim jest przewaga i siła, ażeby się zwrócił gdzieindziej.

Musicie jechać do Sieradza... Wydane rozkazy, Wielkopolanie ściagną się gromadnie. Jeśliby jaki głos odezwał się przekorny, zagłuszam go. Przeciwno Jadwidze nie mamy nic, przyjmujemy ją dla was. Młoda jest, cudnej piękności i przynosi wam nowe prawo do tronu.

Semko żadnego znaku przyzwolenia ani wstrętu nie dawał. Słuchał pilno.

Kilkanaście dni dzieliło jeszcze od naznaczonego na zjazd dwudziestego ósmego Marca.

Bartosz oznajmiwszy księciu, iż stawić się był powinien, nazajutrz biegł do Wielkiejpoli powoływać, naglić, wypędzać do Sieradza i umawiać się w jaki sposób Semka okrzyknąć miano królem, aby Bodzanta zmuszony głosem powszechnym, powagą swą potwierdził wybór i ogłosił Semka.

Słuchając rozognionego i przejętego tem Bartosza, książę zdawał się być dobrej nadziei i myśli, ale po odjeździe jego, zostawszy sam, znowu wpadł w zwątpienie.

Jątrzył go nielitościwy Henryk, który inaczej nazywać brata nie chciał, jak jego królewską miłością.

Kłaniał mu się do stóp, okazywał poszanowanie przesadzone, a im groźniejszy wzrok spotykał, im czuł, że go drażni więcej, tem z większą się nad nim pastwił rozkoszą.

---

#### IV.

Oddawna stary zamek w Sieradziu, tylu co teraz zjazdów tłumnych i narad nie był świadkiem. Stał on długo pustkami nim się tego doczekał, że go sobie Wielkopoleanie z Krakowianami dla wspólnych porozumień za najgodniejsze miejsce obrali.

Z Wielko- i Małopolski dojechać tu było najłatwiej. Czasu bezkrólewia zbierano się często. Miaściczko jako tako mnogich lecz niewymagających przybyszów mogło ugościć, na zamku starym izby przestronne, puste do obrad się nadawały, w potrzebie służył i kościół zgromadzeniom.

Naówczas już było w obyczaju narady o losach kraju odbywać w domach bożych, co im i pewną uroczystość nadawało i wstrzymywało od krwawych wybryków.

Wygód w tym Sieradziu panowie przybywający nie mieli żadnych, ale też nie rachowali na nie. Dostyc im było dachu nad głową, ścian od wiatru i zacisznego kąta.

Dla znaczniejszych, duchownych, książąt, urzędników i pisarzy izb było podostatkiem. Wprawdzie okna nie miały jeszcze błon szklanych, a na dole nie wszędzie się znalazły podłogi, ale ław starczyło wszystkim.

Ludzie byli do niewygód nawykli, obyczajów miękkość zaledwie się czuć dawała, przez obcych przynoszona.

Naród cały obozował jeszcze, jak za tych czasów, gdy od najazdów musiał się bronić i czuwać a od tych i teraz nie był bezpiecznym.

Marzec w tym roku kończył się dosyć suchemi i nie zbyt mroźnemi dniami. Drogi już były oschły,

wiosna się blizka obiecywała. Rzeki płynęły jeszcze wezbrane, błota stały jak stawy ogromne, ale na łąkach gdzieś zieloność się pokazywała.

Na zamku już się przygotowywano na przyjęcie gości, sposobiąc drwa do kominów, izby oczyszczając po troszę, gdy na dwa dni przed oznaczonym, wprost do wrót ciągnący ukazał się dwór pański, zdaleka już kogoś znacznego obiecujący.

Służba zamkowa, przypatrująca mu się ze wzgórze, z pozoru starała się odgadnąć, kto to być mógł, godząc się na to jedno, iż przyjezdni na Niemców wyglądali.

Można ich było wziąć za przybylców zdaleka, gdyż ani jeden z orszaku nie miał na sobie ni stroju, ni broni, jakich powszechnie w kraju używano.

Dwór to był okazały, a sam pan, konno jadący, którego łatwo odróżnić było, wyglądał książęco i świetnie.

Lekka zbroiczka podróżna, hełm z podniesioną przyłbicą, pawimi piórami nasadzony szeroko, bogaty pas rycerski, oręż błyszczący, okrycie konia w złote wzory szyte, ozdoby rzędu, twarz dumna, głowa do góry podniesiona, wejście śmiałe, okazywały męża, czującego siłę swą i znaczenie.

On i jego drużyna z niemiecka przystrojona i uzbrojona, wjeżdżali na zamek jak do domu.

Straż też nie śmiała im drogi zapierać, choć nikt nie znał tego pana.

Domyślano się jakiegoś książęcia.

Oprócz Niemców, gdy cały dwór w podwórzu się znalazł, rozpoznać w nim było można Węgrów i Rusinów, ale polskiej twarzy ni mowy nigdzie.

Sądził więc zamkowi ludzie, że jeden z zapowiedzianych posłów królowej Elżbiety przybywał, dla których tu gospoda naznaczoną była.

A był to książę Władysław Opolski, przez jednych „Rusinem“ zwany, przez drugich „Węgierskim wojewodą.“ Starego Ziemowita mazowieckiego szwagier,

wuj młodego Semka, mąż wielkiego znaczenia na dworze nieboszczyka króla Loisa, rozumny i wykształcony, ale w którym już nie polskiego nie było, oprócz wspomnienia rodu Piastów.

Do wojny nieskory, wiekiem już ostygły, zubożały na ogólne sprawy kraju, na które po niemiecku, po węgiersku, po „opolsku“, ale nie po polsku się zapatrywał, był tak powszechnie znienawidzonym, jak sam szlachty i obyczaju polskiego nie cierpiał.

Zagadką mogło się wydawać, że on tu przybywał, gdyż względem królowej nie był zbyt przyjaźnie usposobionym za to, że mu ziemie, które trzymał odbierano. W pomoc też siostrzeńcowi nie jechał pewnie, bo Semko był wybrańcem szlachty, co go już wujowi nienawistnym czyniło.

Oprócz tego wychowanie, obyczaje, charakter młodego księcia mazowieckiego, wszystko ich od siebie odstępowało.

Z góry patrzył Władysław na swych siostrzeńców, sam czując się mężem europejskiego wykształcenia, gdy tamci z prostotą swą i starożytnymi polskimi obyczajami, barbarzyńsko mu się wydawali.

Nie pytając nikogo, książę zajął izby co najlepsze, a służba je natychmiast wedle nawyknień jego i pieszczonemu obyczaju urządzać zaczęła.

Wnet potem, jakby książę za sobą pociągnął innych, zaczęły się na gościńcu ukazywać orszaki przybywających zewsząd panów, którzy na ten zjazd pośpieszali. Zaraz po nim przyjechał poseł królowej, biskup Wesprymski, z dwoma mu towarzyszącymi panami węgierskimi. Starzec poważny, dwór butny, węgierskie stroje, madziarska mowa, dla której tłumacza z sobą wzięli.

Ukazano im komnaty nieco opodal od księcia aby się z sobą stykać nie potrzebowali.

Przybywali też panowie krakowscy, Jan z Tarnowa, Jaśko z Tęczyna, młody Spytek z Melsztyna,



Sędziwój Toporeczyk, Dobiesław z kurozwęk i mno-  
dzy inni.

Z tych dwu tylko na zamku się pomieściło, reszta  
w mieście, około Fary, przy kościele św. Ducha na  
przedmieściu i u Dominikanów.

Wielkopolan nieustannie napływały tłumy, pomię-  
dzy którymi Nałęczów lik wielki. Arcybiskupa Bo-  
dzantę wiódł Bartosz z Odolanowa.

Gdyby o tem zkadinać nie wiedzano, że arcybi-  
skup przeszedł do Piasta obozu, sama ta oznakaby  
starczyła za wskazówkę.

Wahał się długo Bodzanta, uległ nareszcie więcej  
konieczności, niż przekonaniu.

Stroniąc zarówno od Krakowian i Wielkopolan,  
arcybiskup u Dominikanów ze swym dworem obrał  
gospodę.

Z pocztęm znaczniejszym niż kiedykolwiekbądź,  
bo go większa część szlachty wielkopolskiej, garnąca  
się do niego, składała, z wielką strojnością i prze-  
pychem, który nad miarę go kosztował, stawiał się  
Semko do Sieradzia, na zamek ani chcąc, ani mogąc  
się dostać.

Wiedział już, że tam mieszkał wuj i niektórzy  
z panów krakowskich, a z niemi przedwcześnie nie  
chciał się stykać.

Bartosz z Odolanowa, odwiódłszy arcybiskupa do  
klasztora, natychmiast u Semka się stawił ciągnąc  
za sobą Wielkopolan jak najwięcej, aby zawczasu  
okazać z kim trzymać i przy kim stać będą.

Dzień następny cały był przygotowaniem do otwar-  
cia narad i wzajemnem badaniem się, rozpatrywaniem  
w położeniu.

Miasto coraz się stawało pełniejszym, a że błotni-  
sta za zamkiem okolica, nie dozwalała się rozpoście-  
rać szeroko, wszystko się w przedmieściach i w po-  
bliżu ich skupiało.

Wielkopolanie głośno i dobitnie opowiadali z czem  
i dla kogo przybyli, słuchali i milezeli.

Zaraz po przybyciu na zamek wieczorem. Władysław Opolski, który tylko z biskupem Mikołajem i Węgami się zbliżył, unikając i siostrzeńca i panów krakowskich — zdziwił się nieco, gdy mu marszałek jego rusin, Nikita, człowiek bardzo przebiegły, ostrożny, który kwoli panu swemu kilku się języków nauczył, a narodowości swej tak jak wyrzekł i zapomniał o niej, oznajmił, że niepoczesny klecha jakiś dopuszczonym do niego być pragnie.

Składał się on tem, iż od mistrza krzyżackiego Czolnera pismo przynosił do księcia.

Po krótkim namyśle, bocznemi drzwiami, wpuścić go kazał Władysław. Dmny pan zobaczywszy w progu stojącego bladego, mizernego, w sukience czarnej Bobrka, ani się poruszył z krzesła, ani go powitał. Wyciągnął rękę w milczeniu, pisma zapowiedzianego się dopominając.

Z wielkiem poszanowaniem i pokorą klecha wręczył je panu, który naprzód pilno poczał przypatrywać się pieczęci, badając czy narnszoną nie była.

Chociaż książę Władysław, co naówczas wyjątkowem było, pismo czytać umiał, godność jego nie dozwalała, aby sam sobie zadał pracę rozpatrzenia w niem.

Do tego służyli lektorowie i kanclerze. Powołano więc księdza, Niemca WALTERA, który w podróży notariusza i lektora pełnił obowiązki, razem pobożnym księcin służąc za kapelana. W łańcuchu na szyi, w sukni wytwornie futrem obłożonej, na pana wyglądający duchowny, spojrzał na zbiedzonego Bobrka z wyżyny swojego dostojenstwa, dość pogardliwie, poszedł z listem do okna, tu na nowo pieczęć i napis na liście rozpatrzywszy, zręcznie go, nienaruszając mistrza pieczęci, otworzył.

List zawierał słów kilka. Mistrz polecał księciu obronę swą przed królową Elżbietą, która wyrzucała Krzyżakom, iż Semkowi pieniędzy dostarczyli na wyprawę przeciw niej i jej prawom. Czolner przysiągł

najuroczyściej, a fałszywie, że nie wiedział, na co pieniądze były przeznaczone.

W ostatku mistrz polecał oddawcę listu jako wier- nego zakonu sługę, przez którego ustnie czy na pi- śmie przesłać było można wiadomości i żądania. Czol- ner z wielką uniżonością i uszanowaniem ofiarował królowej swe posługi.

Mileżącemu ciągle księciu, półgłosem odczytawszy to kanclerz, gdy potem wejrzał na posła krzyżackie- go tak nędznie wyglądającego, ledwie go uznał roz- mowy godnym. Sam też książę wprost nie zwrócił się ku niemu. Pośredniczył lektor.

Bobrek stał trochę w cieniu, nie można mu się było lepiej przypatrzeć, lecz gdy, wzięwszy ciche od pana instrukcje, ks. Walter zbliżył się do niego, ude- rzony został wejrzeniem pełnem przenikliwości i ro- zumu, jakim go klecha powitał. Zrozumiał teraz dla czego zakon go wyprawił.

— Królowa Elżbieta — odezwał się Walter — za- złe miała bardzo zakonowi, pomoc daną nieprzyjacie- lowi, ale na to książę nie radzić nie może. Nie przy- był on tu z polecenia królowej, ale jako książę polski.

Będąc przyjacielem zakonu, chętnie jednak w tej sprawie przemówi.

Właściwie z tłumaczeniem tem należało się zwró- cić do biskupa Mikołaja.

— Jego miłość nie przybywa tu zapewne w spra- wie siostrzeńca — wtrącił Bobrek.

Kanclerz szepnął coś panu swojemu i zaniechał zupełnie odpowiedzi.

Po chwili zwrócił się z pytaniem do klechy.

— A nie wiecie jak stoi sprawa księcia Mazo- wieckiego?

— Wasza miłość lepiej to możecie osądzić niż ja — szepnął Bobrek.

— Wyście bliżej — odparł ks. Walter.

Klecha podniósł głowę.

— Sprawa księcia Semka na oko stoi dobrze — odezwał się — głosów za sobą wiele i mocnych mieć będzie, ale głów mocnych mu braknie.

Bartosz z Odolanowa rycerz wielki, a i pan wojewoda z Kępy niemnieszego męstwa i rozumu, oba gdy kordy mają w dłoni, straszni są, ale nie wszyskiego orężem dobić się można.

— Mówią, że arcybiskupa za sobą mieć będą — dodał kanclerz.

Bobrek skłonił głowę.

— Tak — rzekł — książdz arcybiskup niedawno z Zygmuntem był, dziś Semkowi służy, a komu jutro? to nie wiadomo. Bardzo mu żal dóbr spustoszonych i dziesięcin, gospodarz jest bardzo dobry!

Ostatnie słowa wyrzekł ze złośliwością, która uśmiech wywołała na nsta kanclerza, nieznacznym i wnet niknącym.

— Widzę — dołożył ks. Walter — że wy nie wielkie wróżycie powodzenie księciu Mazowieckiemu?

— Cóż ja mogę wywróżyć? — odparł skromnie klecha — z dołu do góry patrzę, mało co widzę. To tylko do myślenia daje, że panowie krakowscy zimni są i pary z ust nie puszczają, a u nich i głowy mocniejsze i chytróść jest większa niż u Wielkopolanów. Tym się Krakowianie dadzą wykrzyzczyć, a uczynią w końcu miłezkiem co zechcą. Oni sobie pana z cudzej ręki trudnoby narznieć dali.

Książę Władysław z ręką do ucha przyłożoną ciekawie przysłuchiwał się tej rozmowie, niedając żadnego znaku po sobie, jakie na nim czyniła wrażenie.

Kanclerz pośredniczący, między nim a klechą, wzięwszy od pana swego rozkazy, kilką słowami posłańca krzyżackiego odprawił.

Chociaż powierzchowność wcale go nie zalecała, ks. Walter znający się na ludziach, z tego co z ust jego nysłyszał, powziął o nim bardzo pochlebne wyobrażenie.

— Niemcy nasi — rzekł w duchu — rozumni są,

dobrze ludzi wybierać umieją. Właśnie takich na wysłańców trzeba, z pozoru trzech denarów nie wart, a we środku rozum złoty!

W istocie przypatrując się kręcącemu po zamku i mieście Bobrkowi, który mnóstwo ludzi znał, z każdym innym językiem mówił, umiał się przypochlebić wszystkim, z każdego coś wyciągnąć, trzeba było podziwiać zręczność tego gadu, co się wszędzie wśliźnać umiał i zewsząd wyjść cało.

Z Polakami polak, Niemiec z Niemcami, z duchownymi pobożny i świadom łaciny, z wesółymi swawolny, z dumnymi pokorny, pochlebny zręczny wszędzie, Bobrek już pierwszego wieczora począł ściągać potrzebne wiadomości.

Na dworze Semka miał znajomych sobie z Płocka dworzan, przez list Krzyżaków weisnął się do księcia Władysława, pomiędzy panami krakowskimi choć starszyzny nie znał bliżej, dworzan miał wielu z Krakowa i Świdnickiej piwnicy poprzyjaźnionych.

Biednego klechę, sprzedającego błogosławione modlitewniki i egzorcyzmy na szmatkach pargaminu, ocierane o różne relikwie, nikt nie posądzał nawet o żadne niebezpieczne konszachty.

Mógł więc krążyć wszędzie bez przeszkody, podsłuchiwać i wypytywać.

W wigilią wieczorem, chociaż nikt jeszcze przewidywać nie mógł jak się jutrzejsze narady skończą i co na nich będzie postanowionem, już pewne znaki usposobień się objawiały.

Węgierscy panowie w ciągu dnia, przybyciem księcia Władysława Opolskiego zaniepokojeni, bo go posądzali, iż stronę siostrzeńca popierać może, poszli wprost do niego w imieniu królowej spytać, co myśli.

Na otwarte zapytanie biskupa Mikołaja, książę Opolski z dumą, z szorstkością pewną, ale z wyrazem, który o usposobieniu wątpliwości nie zostawiał, odparł ostro, że wcale nie myśli za wyrostkiem się oświadczać, gdy i wiekiem i zasługami sam w razie

opróżnienia tronu, słuszniej czuje się do niego powołanym.

Panowie węgierscy zdumieli się słysząc go mówiącego w ten sposób, i zaprotestowali, że tronu nikt córce Loisowej nie zaprzeczał.

— Tak się waszym miłościom zdaje — odezwał się książę Władysław — ja co innego przewiduję, a w razie wszelkim, nie myślę się moich praw wyrzekać.

Po chwili zaś namysłu, książę dodał, iż spokojni być mogą, bo w żadnym razie siostrzeńca popierać nie będzie.

Wyszedłszy z tą dwuznaczną odpowiedzią panowie węgierscy, tajemnicy z niej nie czynili. Poszła więcś po mieście, o wątpliwym celu przybycia księcia Opolskiego, i już o niej głośno mówiono pod namiotami mazowieckiemii, w obozie Semka, przy piwie...

Nikt nie zgadnie z kim trzyma Opoleczyk — mówiono — bo królowej i jej córkom niema za co wdzięcznym być, ani się od nich czego może spodziewać. Żeby zaś pochlebiał sobie, iż go kto za króla zechce, trudno wierzyć, bo takim Niemcem jest jak Luksembureczyk... Nie byłoby co mieniać siekierki na kijek...

Posądzano go, że warcholić chce, że z Niemcami spiskuje, a gorąca szlachta, wprzód nim wyrozmiała zamiary jego, wołała już; aby go przytrzymać i uwięzić, bo zdradę knuć musi.

Niektórzy śmielsi gotowi byli tejże chwili na zamek wtargnąć ręką zbrojną, aby Opoleczyka pochwycić. Zaledwie Bartosz z Odolanowa potrafił powstrzymać ich, odkładając do jutra co wypadnie przedsięwziąć.

Bobrek, który od namiotu do namiotu się przesunął, wszędzie coś chwytając, mógł się przekonać, że królowa i jej córka wielu wprawdzie miała za sobą, ale większość ich swatała przyszłą królowę Semkowi, a Wielkopolanie o nikim innym słuchać nie chcieli krom Piasta.

Na zamku, gdzie wiekiem i powagą, między krakowskimi panami rej wiedli Jaśko z Tęczyna i Dobiesław z Kurozwęk, wieczorem się zebrali wszyscy, nie wyjmując młodziuchnego, zapalonego królowej i królewien slugi, Spytką z Mielsztyna.

Pomiędzy osiwiłemi mężami ten młodzian niemający lat dwudziestu, a już dostojenstwem wojewody krakowskiego zaszczycony, był prawdziwie fenomenalnym zjawiskiem.

Wprawdzie ludzie naówczas wcześniej za dojrzałych byli uważani, prędzej rozpoczynali życie i stawali obok starszych, zawsze jednak i wszędzie taki Spytek z Mielsztyna mógł uchodzić za wyjątkowego i w osobliwszy sposób obdarzonego człowieka.

Pan ogromnych majątności, znakomitego rodu, wychowany wykwiłtnie i po europejsku, pięknej bardzo twarzy i postaci, dzielny rycerz, niezmordowany szermierz w turniejach, w komnatach pańskich umiejący stanąć obok cudzoziemców, władający doskonale kilku językami obok bardzo gorącego temperamentu, miał rozum i wytrawność starą.

Śluchali go wszyscy, podziwiali, umiał przekonać i za serce pochwycić. Urok rozumu i talentu powiększała ta siła jaką daje młodość, ten duch wielki, którego w tych latach nie jeszcze nie złamało, występujący w nim z całą swoją potęgą.

W radzie, Spytką zdanie ważyło tyle, co najstarszego z tych panów, a często bardzo przeważało co on wnosił, bo nikt lepiej nad niego nie znał królowej, jej dworu i politycznych stosunków Elżbiety węgierskiej.

Gdy w obozie Wielkopolan głośno wykrzykiwano i spowiadano się z tego, czego szlachta chciała, gdy obok Bartosza z Odolanowa jawnie podnoszono chorągiew Semka i Piastów, tu cicho było i spokojnie.

Nikt nie wyrokował o jutrze.

Dobiesław z Kurozwęk, doskonały do czynu, ener-



giczny gdy rozkazywać przyszło, nie był ani mównym, ani wymownym.

Spytek młody, jakkolwiek gorący, miał się na baczności, by się nie zdradzić z niezem i nie wybuchnąć.

Wszyscy na pozór stali twardo przy literze układów z królową, przy obiecaniej córce jej Jadwidze, którą szczególnie zalecał i popierał Spytek...

Co się tyczy narzeczonego jej Wilhelma Rakuzkiego, panowie krakowscy nie oświadczyli się wcale ani za, ani przeciwko niemu.

O Semku również mówić nie nie chcieli.\*

Okolo południa Wicek z Kępy wojewoda poznański przyszedł na zamek, chcąc wybadać Krakowian. Przyjęto go uprzejmie bardzo, lecz gdy począł zalecać Piasta na męża dla przyszłej królowej, zamilkli wszyscy.

— Nie łapmy ryb przed niewodem — odezwał się w końcu Sędziwój Topór. — Naprzód potrzeba królownę mieć, niech nam ją dadzą, dopiero pomyślemy komu ją dać, królowna jeszcze niedorosła. Czasu jest dosyć.

Wojewoda poznański nie więcej tu nie zyskał, nad przekonanie, iż panowie krakowscy czekać chcą.

Dobiesław z Kurozwęk udał się tegoż dnia z pokłonem do arcybiskupa Bódzanty; chodzili tam i inni. Starano go się wybadać, ale ostrożny pasterz, choć z Semkiem już trzymał, politykował, odwołując się do tego *vox populi*, w którym dla niego miał się objawić — *vox Dei*.

Zamiast na zamek, którego znaczną część zajmowali goście, arcybiskup ogłosić kazał, iż zgromadzenie zwołuje nazajutrz do Dominikańskiego kościoła.

Czynił to, jak powiadał, ażeby szlachta, szanując Dom Boży, sworniej i spokojniej do obrad przystępowała.

Nie wszyscy może byli temu radzi, ale powaga arcybiskupa nie dozwalała się sprzeciwiać jego woli.



Od rana z miasta, co tylko w obradach udział wziąć miało, płynęło do Dominikanów. Wielkopoleanie naprzód gromadnie, tłumno, prowadząc z sobą Semka który w pośród nich stanął, umyślnie popchnięty na czoło.

U boku jego, miejsca zajmowali Bartosz z Odolanowa, Wicek z Kępy i wielu innych.

Semko, choć może rad był w pięknym stroju niemieckim krojem wystąpić, odradzono mu to. Przyszły król szlachty, musiał się odziać po polsku i po szlachecku, chociaż pańsko i dostatnio. Wziął szubę sobolową szkarłatem okrytą, kołpak z czapłem piórem, kord do boku, tego kształtu jak go wszyscy nosili, tylko w pochwach złotem kutych i sadzonych...

Bartosz z Odolanowa stał przy nim cały we zbroi.

Władysław Opoleczyk, chociaż go uwiadomiono, że szlachta się na niego odgrażała, gotową będąc uwięzić, choć i to mu nie było tajno, że obcy strój razić będzie, wystąpił po niemiecku, w sukni na spód jedwabnej szwety w orły czarne, w pasie rycerskim, w spodniach obcisłych i krótkim płaszczu gronostajami podbitym.

Nakrycie głowy w kształcie zawoju ze spinką, także obcą modą było zrobione.

Czynił to dumny książę na przekór, aby okazać, że wcale o tłum ten nie dba, którym oddawna pogardzać się nauczył. Zajął też w kościele nie skromne miejsce razem z innemi panami, ale osobne siedzenie obok Biskupa Mikołaja i Bodzanty, przy posłach węgierskich. Zaraz mu to palcami wytykać poczęto.

Bliżej w pierwszych rzędach zasiedli Krakowianie z Jaśkiem z Tęczyna, wśród których mężka piękność młodzieńcza Spytka z Mielsztyna wszystkich oczy zwracała. Był może nadto piękny i świeży na krakowskiego wojewodę, ale godność tę nosić umiał jak przystało.

Na oko zaraz dwa obozy wielko i małopolski nie-  
zniemie się różniły od siebie.

Ze strony Wielkopolań, w pośród Nałęczów, z pe-  
wną dumą stał Lepiecha w swym starym kozuchu,  
podwiązanym ręcznikiem białym, który od dawna  
czystym nazwać się nie mógł. Strzępki około niego  
wisiały...

Z twarzy jego mówiła buta starego ojczyca tej  
ziemi, który nie obcego nie znosi, choćby mu złotem  
kapało.

Za nim, mniej więcej dostatnio, ale ze staroświec-  
ka i bez blasku a wytworności, występowali poważni  
Wielkopolanie, twarze ogorzałe, ręce namulane, po-  
orane czoła... Kordów wiele na sznurkach prostych,  
ale dłonie do nich potężne.

Zastęp Krakowian senatorską miał powagę i stro-  
je. Tu narodowy strój mieszał się z dodatkami cu-  
dzoziemskimi. Niektórych szaty były polskie, ale  
tkaniny wschodnie, włoskie, flamskie, lub francuzkie.

Więcej tu było widać ogłady i dostatku. Spytek  
z Mielsztyna nawykły występować wytwornie na dwor-  
rze Elżbiety, świecił od złota, jedwabów, łańcuchów  
i klejnotów. Książęcą miał postawę.

Z Dobiesława z Kurozwęk złoto też kapało, lecz  
bez smaku na nim poczepiane, bo niedawno urosli,  
chcieli nadto popisać się ze swym dostatkiem.

Na twarzach Wielkopolań małowala się niecierpli-  
wość i gorączka, Krakowianie siedzieli ostygli i na  
pozór niemal obojętni. W tłumie szlachty gwar i szmer  
się rozchodził, senatorskie ławy milczały.

Na twarzy Bodzanty wyczytać było można jakby  
trwogę i niepewność. Biedny arcybiskup myślał, że  
dopóki króla nie będzie prawowitego, na przemiany  
mu z obu obozów będą dobra najeżdzać i pustoszyć.

A szło mu wielce o siebie i duchowieństwo.

Semko siał strwożony także, ale z twarzą męskie-  
go wyrazu, w której pobłyskiwała niecierpliwość ha-  
mowana siłą.

Wśród szmeru zagaił arcybiskup modlitwą do Ducha Świętego.

Po nim biskup Mikołaj odezwał się, prosząc o odpowiedź na poselstwo królowej.

Szło Wielkopolanom o to, aby pierwsi przyszedli do słowa i odrazu Semka postawili jako wybrańca do tronu.

Świdwa począł mówić, z tą rycerską gorącością słowa niezbyt wyszukanego, która prostotą za serce chwyta.

— Utrąpiona ta wielce korona nasza, ziemie wszystkie, domagają się rychłego postanowienia a ratunku. Zmówowania proszą. Mielśmy króla, któregośmy ani znali, ni widzieli, nastalo po nim krwawe bezkrólewie i niema mu końca.

Kto miłościw niech pomaga, aby wrócił spokój i ład. Za długo chodzimy w krwią obroczonych kapłanach.

Nie mamy wszyscy nic innego w sercu i nie powiedzieć nie możemy nad to jedno, że prosimy królowę Imość, aby nam dała królową, którą przyrzekła.

Tej mężem musi być Piast, nasz, krew polska, nie kto inny jak Semko Mazowiecki.

Ten się u nas zrodził, z nami żył, i miłować nasz będzie, a dla obcych nie poświęci.

Piast królem, Semko panem naszym!

Do ostatnich słów, jakby chór głosów zrazu cichszych, potem coraz zwawszych, dobitniejszych wybuchających gwałtownie, przyłączył się wołaniem.

— Semka chcemy! Semko królem niech będzie!

Poruszył się z miejsca Jan z Tarnowa, ale go zahuczano i do głosu przyjść nie mógł, a tu po nad tłumem Wielkopolan, z ręką na pół obnażoną, egorzała, włosem obrośnięta, na jego skinienie uciekła.

Oczy wszystkich ku niemu się zwróciły.

— Z dawien dawna — rzekł — myśmy sobie panów dawali, a zawsze u nas zrodzonych, do których nam tłumacza nie było potrzeba.

Krew naszych Piastów przecie nie wszystka wsia-  
kła w groby. Na co nam szukać obcych, gdy swoje-  
go rodzonego mamy. Młodym ten pan jest, nauczy  
się panować, silnym będzie, mądrym się stanie, na-  
ród przy nim całym zastępem się przygarnie. Sam  
Bóg go nam wskazuje, niema innego głosu prócz za  
Piastem!

Znowu wrzawliwie wywoływać zaczęto Semka,  
a tak uparcie i groźnie, że z panów krakowskich nikt  
się nie śmiał wbrew ozwać.

Siedzieli wszyscy niemi spoglądając po sobie, tylko  
Jaśko z Tęczyna brodę gładził i czekać się zdawał,  
aby się umysły uspokoiły a wrzawa ustała. Dobiesław  
z Kurozwęk i on coś szeptali do siebie.

Niebardzo zważano na to, że Władysław Opolczyk,  
który przy posłach węgierskich siedział, bladł, żył-  
mał się, poruszał, rękami dawał znaki. Chciał mó-  
wić, nie dopuszczono, dumny pan burzył się coraz  
mocniej, sierznił spoglądając na ten tłum ludzi, ubogo  
tak wyglądających, a stawiających mu czoło z takim  
zuchwaństwem i lekceważeniem.

Wreszcie gniew ten pański urósł do tego stopnia,  
iż z siedzenia porwawszy się, ku Wielkopolanom pięść  
ściśniętą wyciągnął.

Odpowiedział mu naprzód głos szyderski, jakby  
śmiejem stłumionym, potem uciszać się zaczęło. Cie-  
kawość się obudziła, co też powie? czego chce?

Książę, który innym językiem jak po niemiecku  
mówić nie umiał, odezwał się z czemś głośno, krzy-  
kliwie, ale nikt go nie zrozumiał. Z ruchów tylko  
i postawy wnosić było można, iż protestował.

Ktoś ze stojących bliżej wyrwał się z tłumacze-  
niem, że książę nie dozwala na ten wybór i głosuje  
przeciwko niemu.

Zaledwie to usłyszano, gdy ogromna burza po-  
wstała.

— A on tu jakim prawem mówi. On głosu tu

niema. Zdrajca ten. Niemiec! Uwięzić go i sądzić!! Precz z nim do więzienia!

Nie dość było na wołaniu tem, od strony Wielkopolań rzucił się tłum jakby chciał dokonać co zapowiedział.

Książę stał dumnie, całe nieustraszony, wyzywający niemał. Twarz okryła mu się purpurą gniewu i wyrazem pogardy.

Byłoby może do gwałtu jakiego przyszło, gdyby przerażony tym obrotem arcybiskup Bodzanta, ręce obie wzniosłszy do góry nie począł w Imię Pańskie wołać o pokój, nakazując milezenie.

— Chce ci się wielkorządów nad nami — krzyczał Lepiecha, ręką wywijając ku księciu — myślisz, że w naszej mętnej wodzie złapiesz sobie rybę! Aleś ty ani Piast, ani nasz! Niemiec jesteś! Idź na Węgry panować. U nas dla ciebie miejsca niema.

Śmiechem mu zawtórowano.

Znowu Wielkopolań dając sobie znaki ruszyli się.

Uwięzić go, wziąć go! sądzić! Precz z Niemcem.

Ławy trzeszczały, bo je obalać zaczęto.

Bartosz z Odolanowa sam się wprawdzie nie ruszał, ale swoich podżegał. Opoleczyk nie ustępował i nie okazywał strachu.

Niebezpieczeństwo było tak jawne, tak wielkie, rozjątrzenie tak groźne, że panowie krakowscy ruszyli się je hamować.

Bodzanta z rękami złożonemi błagał Opoleczyka, aby ustąpił, ten głową potrząsał.

Głosy za Ziemowitem Mazowieckim huknęły znowu tak silnie, przeważnie i zgodnie, że wybór jego nie zdawał się ulegać wątpliwości.

Bartosz zdala dawał znaki arcybiskupowi, aby z tej chwili, gdy nikt przeczyć nie śmiał, korzystał i Semka ogłosił królem. Arcybiskup czuł sam, że głos jego mógł być stanowczym.

Podniósł się błagając, aby się uciszono.

Z trudnością przychodziło rozkołysane uspokoić

fale. Nareszcie milczenie nastąpiło. Na stojącego w swem miejscu Opoleczyka nikt nie patrzył.

— Najmilsi bracia — podnosząc głos nieco rzekł drżący Bodzanta. — Zgadzaście się więc wszyscy na to, ażeby Ziemowita księcia Mazowieckiego, wybrać, ogłosić i ukoronować na króla polskiego?

Cały kościół zatrzęsł się od gwałtownego wołania.

— Chcemy go! żądamy! Niech będzie królem naszym!!

Nikt się nie śmiał przeciwzić.

Bodzanta już miał wyrzec słowo, które na ustach jego zawisło, gdy poważny Jaśko z Tęczyna wstał, i rękę podniósł do góry.

Była to postać tak imponująca, takim namaszczone spokojem, tak nakazująca tłumowi, iż na znak przez nią dany, uciszyło się wszystko cudownie.

Wielkopolanie nie spodziewali się pewnie aby miał odwagę wtrew tak dobitnie wyrażonej woli narodu, sam jeden stawic opór. Oblicze zresztą wypogodzone nie zdradzało myśli. Nie było na niem śladu namiętności, niechęci, żadnej przepowiedni wrogiej.

— Nad przeważną radzimy sprawą — zaczął zwolna i spokojnie — od której losy przyszłego państwa naszego zawisły. Nie godzi się, mili bracia, rozstrzygać ją z takim pośpiechem. Możeby nam potem przyszło długo i gorzko żałować tej skwapliwości naszej w stanowieniu uchwały.

Wicie wszyscy jako i ja, żeśmy się zobowiązali królowej naszej Jadwidze być wiernymi, królową naszą jest Jadwiga...

O losach jej więc nie rozstrzygajmy, dopóki ona do nas nie przybędzie; czekamy na nią.

Naznaczmy dzień, niech na zesłanie Ducha Świętego z Duchem Świętym do nas przybywa, naówczas radzić będziemy wspólnie z nią nad wyborem jej małżonka.

Prosimy, błagamy, aby królowa nam ją przysłała

na czas naznaczony. Jeżeli nie przybędzie, albo ostatniej naszej nie przyjmie uchwały, naówczas dopiero przystąpimy do wyboru nowego króla.

Tak radzę, a sędzę, że rada moja sprawiedliwą jest i dobrą.

Mówił Jaśko z Tęczyna tak powolnie, wodząc oczyma po zgromadzeniu, że słuchając go, pod wrażeniem spokoju, którym mowa była namaszczoną, umysły znacznie się ukoili, nikt nie miał nic do zarzucenia radzie wytrawnej i rozumnej.

Nie odpychał on Ziemowita, nie zaprzeczał narodowi prawa do wyboru, ale zachować go chciał od zarzutu lekkomyślności.

Pierwszy arcybiskup Bodzanta, który własnej skwapliwości trochę się wstydził i utykał, przybrał taką postawę, jakby na zdanie Jaśka przystawał.

Starszyzna wielkopolska spoglądała po sobie wahając się, Krakowianie korzystając z tej chwili zachwiania coraz głośniejsze i stanowcze odzywali się za zdaniem kasztelana.

Jakając się, mrużąc oczyma przemówił coś Bodzanta, więcej rękami okazując niż słowami.

Stało się czego przed chwilą nikt przewidywać nie mógł, nikt się nie śmiał spodziewać, a co często trafi się w tłumie namiętym, który jak fala miota się na jedną i drugą stronę, za łada powiewem.

Niektórzy z Wielkopolan chcieli uporczywie Semka okrzyknąć; wstrzymano ich tem, że sprawie księcia gwałtowność zaszkodzić może.

Starszyzna skupiła się dokoła, naradzając już nad urzędową odpowiedzią, jaką dać miała posłom królowej.

Wielkopolanie radzi nie radzi, sami pewnie nie wiedząc, jak się to stało, ulegli zwyciężeni.

Słuchano spokojnie, jak Bodzanta wyrażał boleść długiem bezkrólewem i klęskami jego sprowadzoną na osierocone królestwo. Oświadczył razem, że Polacy chcą przysiąg złożonych raz dochować, ale obiet-



nicami i zwłokami dłużej się ludzi nie mogą. Proszą więc, aby przeznaczona dla nich Jadwiga, na uroczystość zesłania Ducha Świętego do Polski przybyła, a z przyszłym małżonkiem swym, stale w Polsce zamieszkała.

Dodano żądanie, aby oderwane ziemie, kraje ruskie, Wieluń i Dobrzyń odzyskano, a naówczas Polacy uznają Jadwigę swą królową.

Lecz, gdyby w porę nie przybyła, naówczas zmuszeni będą, dłużej nie czekając, myśleć o swoim ocaleniu.

Końca tej odpowiedzi nie wysłuchawszy, Semko, który już zawiedziony nadzieją do ostatecznego zbурzenia był doprowadzony, wyrwał się z pomiędzy otaczających go, rozepchnął tłum i poszedł ku drzwiom kościoła.

Wzrok jego był piorunujący, chód gwałtowny...

Bartosza usiłującego wstrzymać go, odepchnął na stronę. Z zaciętymi ustami wyrwał się w ulicę, miotając rękami, nie patrząc na tych, co za nim gonili.

Mówić nie mógł, kroplisty pot biegł mu z czoła...

— Bodzanta! arcybiskup! zdrajca! — jękał się niewyraźnie.

Bartosz z Odolanowa zaskoczył mu drogę.

— Na Boga! na rany Zbawiciela — zawolał — nie okazujcie miłości wasza, że sprawę swą masz za straconą! Wszystkim serca upadną!

Ja teraz jeszcze za arcybiskupa ręczę, iż będzie i wytrwa z nami. Sposób znajdziemy na to, aby się królewna innym nie dostała.

Myśmy pewni swego!

Semko szedł wprost do obozu, zawsze jeszcze z tem gniewem w sercu, jednakże prośby, zakłęcia, upewnienia, uspokoiły go nieco. Bartosz, Świdwa i inni nie odstępowali go, dowodząc, że nie tylko nie było zachwianiem, lecz przyszłość zapewniona.

Nie okazuj tylko miłości wasza, ani gniewu, ni zwątpienia, inaczej szlachta opuści nas, zachwieje się.



Blaganiem tem usilnem skłonili wreszcie Semka, iż twarz zasępioną nieco na przyjęcie nadbiegającej z kościoła szlachty rozpogodził.

Bartosz szczególnie, wcale niezrażony, pewien siebie i w nim ufność jakąś rozbudził.

W sercu jednak gorycz została, choć stłumiona.

Bartosz był tu duszą wszystkiego, osią, na której obracała się sprawa.

Natychmiast chciał powracać do klasztoru, aby arcybiskupowi, nie dając czasu do rozmysłu, trzymać go przy danym słowie.

Dowodził, iż ustępstwo uczynione Krakowianom było rozumnem.

— Lepiej się stało, żeśmy nie szli przebojem — wołał — okazaliśmy przez to, że zwłoki się nie lekamy.

Wasza miłość polegaj na nas. Nie odstępimy.

Ta odwaga i wierność Bartosza, który ustępować nie myślał, w końcu i Semka uczyniła pewniejszym.

— Idźmy więc dalej — rzekł. — Ja ofiar z siebie nie będę szczędził, lecz dochowajcie mi wiary... Przyszłoby na żywot cały o ludziach zwątpić, gdybyście mi zawód uczynić mieli.

Z tym hasłem przybył Semko do swoich namiotów, udając wesołość, i zagrzewając swoich do wytrwania. Czy w duszy miał to uczucie? Któż zgadnie? Czasem marszczyło mu się czoło i ściągały brwi, ale ustom uśmiechać się kazał.

Dowódcy gromadek powtarzali, pocieszając się.

— Przy nas zwycięstwo. Nie śmieli nam się opierać. Władysław Opolczyk pojedzie precz jak zmyty. Uchwała i wybór stoją jak skała! Niech królownę przyślą... nie dopuścim do niej nikogo.

Szlachta dawała w siebie wmawiać zwycięstwo. Semko zwolna przyszedłszy do siebie, ostygłszy, razem z drugimi obmyślał, jak do Zielonych Świąt mieli się gotować, zbroić i przedsiębrać środki opanowania przyszłej królowej.

Znaczną część nocy starszyzna spędziła przy księciu, zagrzewając się, naradzając, a potrochu narzekając na powolność Bodzanty, który nie miał odwagi w porę podnieść głosu.

Bartosz od arcybiskupa przyniósł zapewnienie najuroczystsze, iż pozostanie wiernym sprawie księcia Mazowieckiego. Dobiegł on i do Krakowian, ale tu znalazł bardzo zimne przyjęcie. Dobiesław z Kurozwęk, o którego pozyskanie szło najbardziej, bo w jego rękach był Kraków, a posiadanie stolicy zapewniało koronę, odwoływał się do tego, co mówił Jaśko z Tęczyna.

O Semku nikt nie wspomniał, a na naleganie Bartosza odpowiadano dwuznacznemi słowy.

On i Świdwa obiegli wszystkich znaczejszych panów, wszędzie przyjmowani tym chłodem i odkładaniem sprawy do przybycia królowej.

Panowie krakowscy już się sposobili do opuszczenia Sieradzia, unikając widocznie zetknięcia się nawet z obozem Semka.

Władysław Opolski, który właśnie o tym czasie zakładał w Częstochowie klasztor Paulinów i ofiarował mu do kościoła starożytny obraz cudowny, mający pochodzić z Konstantynopola, który później zasłynął na Jasnej Górze, zniechęcony tem, co go w Sieradziu spotkało, nazajurz, nie żegnając nikogo, pojechał oglądać swój konwęt nowy i modlić się w kościele świeżo wzniesionym.

Semko, któremu nie starczyła, już wyczerpana summa u Krzyżaków pożyczona, śpieszył nazad do Plocka, mając zamiar powtórnie prosić o posiłek zakonu.

Szlachta do ostatka zaprzysięgała mu, że go nie opuści i przeprowadzała odjeżdżającego okrzykami. Tłumny zjazd w Sieradziu, jak skoro posłowie węgierscy, którym śpieszno było odwieść odpowiedź królowej, wyruszyli ztąd, rozpraszać się zaczął z równym

pośpiechem jak zgromadził. Arcybiskup powracał do Gniezna, zasmucony, przewidując trudności nowe.

Na rozjeździe Wielkopolań zmówili się wyjechać na spotkanie młodej królowej, wiedząc, że Małopolska zbiera się pierwsza witac ją u granicy, chcąc otoczyć i opanować tak, aby żaden wpływ obcy nie mógł się tu przecisnąć. Mieli za sobą szczęściem arcybiskupa, na którego liczyli, a bez niego koronacja odbyć się nie mogła. Bodzanta miał ich prowadzić.

Głośniejsz niż kiedykolwiek obwoływano Semka przyszłym królem, chociaż stronnictwo Domarata, rozjeźmem do czasu rozbrojone, trzymając się przy swych zamkach i grodach gotowało się do oporu.

Poprzedzała Semka do Płocka wieść umyślnie puszczone, iż został wybranym, miał być już okrzykniętym, a Krakowianie tylko wyjednali zwłokę do Zielonych Świąt.

Umyślnie urządził książę swój wjazd do Płocka tak, aby potwierdzić nim ogłos o zwycięstwie.

Otoczony dworem, poprzedzany trębami, rozkazując wieść przed sobą Sławcowi chorągiew Mazowiecką, mając u boku wojewodę Abrama, Świdwę i znaczny poczet Wielkopolan, w biały dzień, przy biciu w dzwony, uzbrojony po rycersku, Semko zjechał na zamek swój, wśród okrzyków zbiegającego się tłumu.

Henryk, który na ten dzień wdział suknię duchowną i łańcuch na szyję, witał go u wnijscia z szyderską uniżnością. Zdawało się, że lepiej od innych był o wszystkim uwiadomiony.

---

V.

W sam dzień Wielkiejnocy, rano, starosta Hawnul na klęczkach słuchał mszy świętej w małym kościełku Franciszkanów na Piaskach.

Widok tego nabożeństwa w drewnianem ubogiem domostwie skrytego, obawiającego się zdradzić najmniejszą głośniejszą oznaką, przypominał pierwsze chrześcijaństwa wieki.

Franciszkanie modlący się w chórze pocichu, byli to następcy, bracia tych trzech męczenników, których na górze nad Wilnem ukrzyżowano. Czas, który upłynął od tego wzburzenia pogańskiego ludu, nienawiści jego i wstrętu do chrześcijan nie uśmierzył i nie zagłuszył.

Stara wiara litewska, jeden z ostatnich w Europie szczątków odwiecznej religii przyniesionej ze Wschodu, a na nowym gruncie, pod różnemi wpływami dziko rozrosłej, czuła się coraz bardziej zagrożoną przez opasujące ją zewsząd chrześcijaństwo i do rozpaczliwej gotowała obrony.

Wprawdzie część społeczności, stojąca u góry, jak wszędzie i zawsze, pierwsza straciła cechę narodową i przywiązanie do wiary, zobojętniała pod wpływem obcym, ale lud trzymał się starych ołtarzów, z dzielnym roznamiętnieniem gotów na ich obronę.

Musiano się więc wystrzegać, aby niczem w tłumach nie wywołać rozdrażnienia. Ani pop Nestor na zamku, ani Franciszkanie Hawnuła na przedmieściu nie ważyli się jawniej występować z obrzędami swojemi.

I w dzień tej wielkiej uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego, tryumfu Zbawiciela nad śmiercią, mała wiernych gromadka cicho się modliła. Chór

zajmowali nieliczni zakonnicy i braciszczowie; w kościółku oprócz Hawnuła było zaledwie kilku chrześcijan nawróconych potajemnie i polaków, którzy się jako jeńcy wojenni na Litwę dostali.

Purpurowa chorągiew Pana, zwycięzcy, powiewała przy ołtarzu, przy niej paliła się wielka świeca paschalna, a ojciec Paweł z rozrzewnieniem radosnem powtarzał:

— Alleluja!

Po długim i surowym poście czekała na zakonników, staraniem Hawnuła, przysposobiona biesiada w refektarzu. Tu wszystko było równie ciasne, szczupłe, ubogie jak kościółek, ale twarze zakonników, stojących na bojowych kresach, promieniały radością.

Dwa razy do roku szczególniej radość ta, uczuciem religijnem wywołana, objawiała się dobitniej: u żłobku, nocą Bożego Narodzenia, i u grobu Pańskiego, gdy anioł zwiastował Maryom, że Chrystus zmartwychwstał.

Dnia tego cieszyli się mocniej jeszcze niż zwykle zakonnicy, bo właśnie w pomoc im przybył z klasztoru w Pyzdrach ojciec Anioł, którego przyjmowali jak wysłańca z lepszego świata.

Ojciec Anioł, niegdyś rycerz i szlachcic, zawołania Sulimy, który był wdział habit wskutek ślubu uczynionego na polu bitwy, nie młodym już był, ale wielkiej energii i poświęcenia człowiekiem, jakby stworzonym na apostoła.

Z pod zakonnej pokory dobywały się resztki rycerskiego ducha. Umysł miał otwarty i nieobcy był sprawom kraju, który kochał tak, jak gdy walczył w jego obronie z kordem w dłoni.

Drugi dopiero dzień cieszyli się ojcowie przybyciem ojca Anioła, a nie mieli jeszcze czasu dosyć się z nim nagadać o wszystkim, o czem się od niego dowiedzieć spodziewali.

Nabożeństwo wielkotygodniowe, prawie bez wytchuienia ich, dzień i noc w kościele trzymało.

Starosta Hawnul już o przybyciu nowego zakonika był zawiadomiony i tak ciekawy, jak ojcowie tego, co on im przynosił z sobą.

Przy stole więc, do którego Hawnul zasiadł z niemi, zaczęła się bardzo żywa rozmowa o stanie korony polskiej. Sprawa jej obchodziła gorąco znacznieszą część braci, pochodzenia polskiego. Hawnul dopytywał troskliwie o starania Semka, o losy Luksemburczyka, praktyki krzyżackie, działania Władysława Opolskiego itp.

Ojciec Anioł, sam Wielkopolanin, Nałęczom powinienaty, umiał z tego wszystkiego dobrą zdać sprawę. Widział on jednak z okna klasztornej sprawy kraju inaczej może niż inni jego współbracia.

— Czy księżę Mazowiecki królem zostanie? nie wiem. Wyroki opatrności są nieprzeniknione—mówił—ale to dla mnie jawne, że Małopolanie, panowie krakowscy, lękają się Semka, aby przy nim znowu Wielkopolska góry nad niemi nie wzięła, a z czasem i stolicy do Poznania nie przeniosła. Mamy już u siebie arcybiskupią... naówczas Małopolska istotnieby maleńką się stała.

Nasz pasterz Bodzanta trzyma z Mazurem, ale jeśli Małopolanie mu do korony przeszkodzą i on się łącno na innego zgodzi.

Na dzień zesłania Ducha św. przybywa królowna dla nas wyznaczona, wtenczas się dopiero rzeczy wyjaśnią. Wielkopolanie chcą jej dać Semka za męża.

— Lecz — przerwał Hawnul, z wielkiem zajęciem chwytający każde słowo mnicha—słyszałem, że królowna ma już oddawna zaręczonego z sobą, przysługę męża, Wilhelma austriackiego?

Ojciec Anioł poruszył ramionami.

— Wszyscy u nas na to jedno się zgadzają, ażeby za króla nie przyjmować tylko takiego, któryby

u nas mieszkać mógł i królować. Rakuszanin zaś siedzieć tu nie może.

— Więc Semko?—przerwał Hawnul.

— Nie wiem—odparł skromnie mnich—lecz boję się, aby go panowie małopolscy nie usunęli. Boją się go, a siłę mają i przebiegli są. Zda mi się, że sprawę przeciągną i kogoś ze swego ramienia na tron poprowadzą.

— Ale kogóż?—pytał starosta.

— Bóg jeden wie. Wybór będzie od nich zależęć. Warunkiem pierwszym jest, ażeby w Krakowie siedział, sam rządził i nikomu wielkorządów nie powierzał. Obrzydły wszystkim one.

Kilka pytań jeszcze zadał ciekawy Hawnul ojcu Aniołowi i widać było, że umysł miał czemś mocno zaprzątnięty. Zamyślał się, wzdychał, oczy w ziemię wlepił, poruszonym był więcej niż zwykle. Zakonnicy wnosili z tego, że jakaś sprawa ważna na ramionach jego ciążyła.

W istocie Hawnul chodził myślą obarczony dziwną, która mu, czasu nabożeństwa, właśnie, gdy ojciec Paweł wesołe wyśpiewywał Alleluja, jak promień z nieba padła na duszę.

Jakiś głos tajemny usłyszał w sobie, który mówić się zdawał: wstań a idź, prowadź do chrztu Jagiełkę i na tron polski, połączonej z Litwą.

Wydawało mu się to zuchwałem, nierozumnem, dziecinnem prawie i niemożliwem, lecz teraz słuchając powieści ojca Anioła, zaczynał przewidywać, że marzenie to ziścićby się mogło, że to był może jedyny sposób zmuszenia Jagiełły, którego kochał, do przyjęcia chrześcijańskiej wiary. A w duszy brzmiało mu ciągle, z wielkanocnem Alleluja: Wstań a idź, wstań a prowadź pana twojego do chrztu i na tron!

Słowa te oblegały go, dźwięczały w jego uszach, nie dawały mu o niczem innem myśleć, nie zrozumieć.

— Wstań i idź — mówił głos wewnętrzny. —

Z pokorą pobożnego człowieka, Hawnul opierał się tej pokusie, nie czując się do tak wielkiego dzieła godnym powołania.

Tajemnem pragnieniem całego jego życia było ochrzcić Jagiellę, uczynić go równym innym monarchom chrześcijańskim. Teraz do tego otwierało się pole. Dwie połączone razem korony przeciwko zakonowi!! z nich dwu rosła niezwykła potęga.

Upojony tą myślą, Hawnul wyjechał żegnając mnichów, wprost dążąc na zamek, do dworca swego. Tu zamknął się z myślami niedającymi mu spokoju.

— Wstań i idź!—powtarzało się w jego duszy.— Był to, jak rozkaz z góry, jak głos Boży, miał siłę, której oprzeć się Hawnul nie umiał.

Jagiellę, który, jeśli nie był na wojnie, zawsze prawie na łowach w lasach siedział, i teraz nie było w Wilnie.

Z braci, dwu gdzieś na Rusi siedziało, inni byli po zamkach rozpieczęli. Stara tylko królowa z córkami modliła się i wzdychała do monasteru w tere-  
mach swoich.

Nad wieczór Hawnul nie mogąc już wytrzymać, przeżegnał się, westchnął i szedł do wielkiej księżnej.

Właśnie, gdy przechodził podwórcę, około świętego ołtarza Litwy, jakiś uroczysty obchód wiosenny się odbywał. Dym ogromnym słupem wzbijał się w powietrze, brzmiały pieśni, a ludzie w wieńcach zielonych, przemykali się około murów.

Hawnul spojrzał w tę stronę, na żywe jeszcze bałwochwalstwo, mające tu swych kapłanów, wieszczów i pobożnych wyznawców; zadumany nad tem, jakiej siły było potrzeba, ażeby obalić gmach ten prastary, mający korzenie głęboko w ziemi utkwione.

U drzwi wielkiej księżnej, lękając się, aby jakiego nabożeństwa jej nie przerwał, stanął, oznajmując się przez sługę.



Właśnie się modlitwy skończyły. Stara Julianna, która chodziła mało, bo jej sił brakło, siedziała już w krześle z paciorkami w rękę. Lubiła ona dosyć starostę, chociaż gorliwa rusinka miała za złe, że jeden obrzęd z Krzyżakami wyznawał.

Hawnul począł od pytań o zdrowie, zmuszony zwykłych starych skarg wysłuchać, a potem nowin z Tweru, od Płocka i z Rusi.

— Ja też od Lachów miałem wiadomości—rzekł starosta, zbliżając się do staruszki i spozierając, czy sług w bliskości nienia.

Gdybyś mnie wasza miłość wysłuchać raczyła, dużobym miał do powiedzenia. Zdawna dręczy mnie myśl, z którejbym się rad zwierzyć, tak mnie ona opanowała.

Julianna słuchała sparta na rękę.

— Polacy króla nie mają—odezwał się żywo Hawnul — mieć tylko będą młodą królowę, dziewczęzaledwie dorastające. Muszą dla niej szukać męża, a dla siebie króla.

I uniósł się nagle starosta.

— A! a! miłościwa pani! na tym tronie panaby naszego posadzić, a połączyć dwa państwa i całą tą potęgą na Krzyżaków uderzyć!

Julianna poruszyła się nieco, głową potrząsnęła, zadumała, uśmiech niedowierzania przesunął się po jej ustach.

— Człowiecze! — rzekła. — Co się to tobie śni? Alboż to może być? Oni jego za króla nie zechcą. Długie wieki z niemi wrogamiśmy byli. Ruś im także niechętna... To świat inny, a to inny... Modlim się inaczej.

Dla Jagielly żony na Rusi szukać potrzeba i panowania na Rusi. Tam nam chrzcić, zdobywać i granice posuwać.

Hawnul spokojnie dał jej mówić.

— Miłościwa pani — począł gdy zamilkła. — Na Rusi kniaziów wszystkich pokonać i znieść, aby sobie

państwa zdobyć szerokie, trudniej będzie, niż się z Polską pod krzyżem Chrystusowym pojednać. Tu dla Jagielly bez wojny, bez trudu, bez nieprzyjaciela tron gotowy, żona młoda, państwo mocne i wojsko dzielne do pokonania zakonu.

Wielka księżna nie odpowiadając długo w myślach się pogrążyła. Potrzebowała się oswoić z tą rzeczą tak nową, której nigdy dotąd nikt przypuszczać nie śmiał.

— Ale oni tam Semka prowadzą! — rzekła.

— Nie wszyscy — żywo odparł Hawnul. — Właśnie ci, co najwięcej mocy mają i rozumu, obawiają się go i nie życzą. Dla nich Litwa tak potrzebna, jak nam Polska. A! gdyby pan nasz dał tylko znak, rzekł słowo...

— Czyście z nim już o tem mówili? — spytała księżna.

— Niel — zawołał Hawnul — dotąd nie. Dziś dopiero pan Bóg mnie tą myślą natchnął a od niej jakbym wina się napił, głowa mi się zawróciła... Pokoju mi nie daje!

W. księżna ciekawie wpatrywała się w stojącego przed nią starostę, który postawę miał natchnioną i przejętą.

— Wyście dobrym i wiernym sługą naszym — odezwiała się z dobrocią — wiem, że kochasz syna mojego, dlatego nawet niemożliwe rzeczy byś rad spełnić. Polska i my, ogień i woda! jakże to połączyć w jedno.

— Miłościwa pani, przecież Litwinki były tam już na tronie? były Rusinki, czemużby pan nasz nie mógł być?

— A wiesz jak się im tam działo? — odparła Julianna.

— Inny jest los niewiasty a mężczyzny — rzekł Hawnul. — One tam szły słuchać, nasz pan pójdzie rozkazywać.

W tem księżna, jakby naumyślnie, coś zupełnie

obcego wrzuciła w rozmowę, mówiła o Tatarach i o wojnie z niemi. Hawnu! zamilkł.

Pierwszą myślą jego było przez matkę trafić z tem do Jagielly, znajdował tu opór, ale nim się nie zrażał.

Ufał w to, że Juljanna, choć w pierwszej chwili odtrąciła to co jej przynosił, musiała po namyśle uleść wielkiej pokusie, przyszłość świetną i piękną otwierającą dla jej syna.

Chciał już pożegnać księżnę, zostawując jej myśl rzuconą, aby czas miała się z nią oswoić, gdy go staruszka wstrzymała.

— Tak! tak! — wyjąknęła zadumana — toby była potęga wielka bardzo! Samym postrachem, nie dobywając oręża, zguiótliby tych nienawistnych mnichów... Ale jemu królować w tej Polsce zaburzonej, niespokojnej, gdzie bojarowie i panowie nieustannie przeciw swym królom głowy podnoszą!!

— Przeciwno buntującym się mieć będzie Litwę — odezwał się Hawnu!.

— Obcy ludzie, wiara, obyczaj, wszystko zachodnie, nie nasze — mówiła księżna — onby tam był nie swój, a nie swojego pana poddani nie kochają.

— Naszego pana musieliby umiłować, bo dobrym jest — mówił Hawnu!. — Przecie między Rusią a Polską tyle jest podobieństwa, co różnicy, mowa prawie jedna, tłumacza nie potrzeba. Rusi już zawojowali dosyć i trzymać będą.

To mówiąc Hawnu! zamilkł nagle, zdawało mu się bowiem, że za pierwszym zamachem, zbyt nalegać był nie powinien. Pokłonił się i pożegnał księżnę.

Jagiello dnia następnego uie powrócił, a starosta nie poszedł do księżnej matki. Z południa dworzannin przyszedł go do niej wezwać. Szedł Hawnu! natychmiast, a że do granicy dostał języka, od tego począł.

Stara księżna mówić mu długo nie dała o tem.

W twarzy jej malowało się jakieś rozmarzenie, oczy jaśniej świeciły...

— Snu mnie pozbawiłeś — odezwała się. — Nie-dorzeczną baśń splotłeś, a ta mi pokoju nie dała.

Spoglądała nań wyzywająco.

— Miłościwa pani — rzekł Hawnuł. — Gdybym ja to za baśń miał, nie ośmieliłbym się mówić miłości waszej o lada śnie moim. Ja wierzę w to mocno, że byle pan nasz chciał, baśń i marzenie mogą się sprawdzić na jawie.

Staruszka głową potrząsała.

— Swatowiby się za te dziewczosłoby piękny ręcznik złotem szyty należał — dodała.

— Swatby ręczników się wyrzekł i samby ostatnią koszulę oddał, byle wesela doczekał — odezwał się wesoło starosta.

Księżna poczęła poważnie.

— Wielkie to dzieło! Straszno do niego rękę przyłożyć nie wiedząc jak się skończy. Nam dla godości naszej nie można próbować, czegośmy niepewni czy dokonamy.

Z takiej wysokości spaść!!

Spojrzała na Hawnuła.

— Jaby też nie prowadził pana mojego, sam wprzód nie rozpatrzywszy drogi — rzekł starosta.

— Jak? co ty myślisz? — ciekawie pytała księżna.

Hawnuł podumał chwilę.

— Pojechałbym sam na zwiady do Krakowa, jako kupiec, jak Niemiec... Znalazłbym ludzi, co by mi pomogli. Musiałbym podróż tak odbyć, aby nikt o niej nie wiedział, ani się dorozumiał po co jadę...

Tu w Wilnie będą sądzili, żem do Rygi do brata się wybrał...

— Jak ty to wszystko już obmyślał! — dziwiąc się przerwała księżna i urwała prędko.

— A z Jagiełłą wprzód o tem nie mówiłbyś? — zapytała.

— Sam nie wiem. Uczyniłbym jak mi wasza miłość rozkaże — mówił ośmielając się Hawnul.

Nim odpowiedź nastąpiła, dano znać na nabożeństwo wieczorne w kaplicy, wstała księżna, a starosta ją pożegnał.

Nocą Jagiełło powrócił; o brzasku zbudzono Hawnulę wołając do pana dla spraw skarbowych.

Jagiełło obdarzający ciągle, szczodry bez miary, jak zwykle żądał od Hawnuła dla swych ulubieńców pieniędzy, futer, podarków. Oszczędny Niemiec opierał się jak mógł.

Spór zawsze prawie się tem kończył, iż starosta więcej niż chciał, dać musiał, i Jagiełło śmiał się z niego.

Nie mówili o niczem, bo w. książę unikał poważniejszej rozmowy...

Wiosna i zieleniejące lasy, ocieplone powietrze, śpiewające słowiki, świat do nowego rozbudzony życia, sprawiały zawsze na umyśle wrażliwym Jagiełły to wrażenie, iż się czuł odmłodzonym i szczęśliwym.

Przerywał nawet zwykle swe milczenie trwożliwe wesołym żartem, a w poufałym gronie śmiał się swobodnie. Obca dopiero ukazująca się twarz, zamkniętym go w sobie i poważnym czyniła. Hawnul nie wątpił, że stara księżna zwierzy się pewnie z tego, co jej przyniósł, nie mogąc wytrwać w milczeniu.

Stało się jak przewidywał.

Wieczorem przyszedłszy do Jagiełły po służbie, zastał go uśmiechniętym szydersko.

— Cóż to — począł, przyzwawszy Hawnulę bliżej, tak aby dwór słyszeć ich nie mógł — ty, Niemcze paskudny, chcesz mnie zrobić królem polskim??

— Tak jest — rzekł śmiało starosta — ja tego bardzo sobie życzę.

— Garścią łapiesz skowronki! — odparł śmiejąc się Jagiełło. — Powiedzieć to łatwo, a zrobić?

— Zrobić byłoby może trochę trudniej, ale gdybyś wasza miłość chciał tylko.

— Chciał? śmieszny człowiecze — przerwał Jagiełło — a któżby nie chciał potęgi, podwójnej korony, zwycięstwa nad wrogami, i pięknej żonki młodej!!

Podniósł rękę książę i śmiejąc się jeszcze, zlekka odepchnął starostę.

— Nie róbże mi oskomy daremnie!

Hawnul pokłonił się i chciał go w rękę pocałować.

— Puście mnie na zwiady! — zawołał — puście! Proszę! Sprawię się dobrze i przyniosę gościńca — koronę.

Jagiello nagle spowaźniał i posmutniał.

— Dowiedzieliby się ludzie i urągali potem z wielkiego księcia litewskiego. Głowę potrząsnął.

Semkowi mazowieckiemu wolno wyciągnąć rękę i nie nie dostać, ale synowi Olgierdowemu nie godzi się.

— Ale żywy duch o tem wiedzieć nie może — gorąco począł Hawnul — ani żem był posłany, ani z czem! kupcem pojedę i powrócę kupcem... To nie waszej miłości sprawa a moja.

Książę wciąż głowę potrząsał.

Wtem nadszedł młodszy brat Wigund i rozmowa natychmiast przerwana została. Jagiełło dał znać Hawnulowi, żeby tajemnicy nie zdradził, nawet przed ulubionym jego bratem. Odchodzić jednak nie dał staroście i gdy jedzenie przyniesiono zatrzymał go przy sobie. Mówiono o lowach... Wigund się przechwalał, Jagiełło trochę z nim drażnił.

Wstał potem prędko, wody się napiwszy i Hawnula do swej sypialni poprowadził.

— Milcz ty mi z tem, o czem mówiłeś matce — rzekł grożąc. — Zakląłem i ją, ażeby nie powtarzała tego nikomu, ale niewieście usta zamknąć trudniej niż mężczyźnie zemsty zabronić. Na prawdę, pojechałbyś ty na zwiady? aż tam? do samego Krakowa?

Wlepił oczy w niego.

Starosta odpowiedział stanowczo.

— Pojadę.

Przeszedł się po izbie Jagiello.

— Kto tobie to poddał? kto narail? — odezwał się niespokojnie — to zdrada może?

— Miłościwy panie — począł Hawnuł — zacie mnie, że nie kłamię. Jestem chrześcijanin, do Boga mego modłę się gorąco, i mogę wam poprzysiądz, że przy modlitwie słyszałem głos...

— Głos! głos słyszałeś! — krzyknął przestraszony w. książę cofając się.

— Nie głos ludzki, ale duszy mojej, mówiący mi wyraźnie. — Idź i czyn to.

Hawnuł śmiało w oczy patrząc Jagielle w piersi się uderzył.

Z twarzą zmienioną książę stał przed nim strwożony, oglądając się i szepcząc jakieś zabobonne zaklęcia.

Obawiał się czarów i wszelkich zjawisk nadzwyczajnych, sił niewidomych, w których istnienie wierzył mocno.

Zapewnienie Hawnuła, że czasu modlitwy głos jakiś w sobie słyszał, zmienilo zupełnie usposobienie księcia. Lękał się już przeciwie temu rozkazowi z góry, a nie ufał, czy on pochodził od jakiej siły czystej, czy od wrogiej potęgi...

Hawnuł zamilkł, mowy już o tem nie było dnia tego. Na dzień następny łowy były około Trok zapowiedziane, ale wielki książę wysłał brata, a sam pozostał w domu. Zrana kazano przyjść Hawnułowi znowu.

Po krótkim wstępie, Jagiello kazał sobie powtórzyć wczorajsze opowiadanie i zasępił się znowu. Wahał się jeszcze wysłać ma czy nie Hawnuła.

Znalazł nareście środek, który mu się wydał najbezpieczniejszym.

— Nie bronie ci jechać — rzekł — ale cię nie

posyłam. Jedź gdy chcesz... Ja o tem wiedzieć nie powinienem, o niczem!!

Zaczął zaraz rozpytywać o drogę, sposób dostania się do oddalonego Krakowa, o osoby, do których Hawnul przystęp się mieć spodziewał i dokończył powtórzeniem:

— Jedź, ale nie posłany przezemnie, a wracaj rychło, bo będę sądził, że ci tam głowę z karku zdjęli. U nich wojna, wszyscy tam podejrzani, gościńce, na które teraz żaden knpiec się nie waży.

Hawnul miał na wszystko nspokajające odpowiedzi. Stosunki jego handlowe, związki przez Franciszkanów z Polską zapewniały mu przejazd bezpieczny. Wielki książę już mnę się nie sprzeciwiał.

Podróż więc postanowioną została, z tym warnnikiem, iż Hawnul opowiadać miał, że się wybierał do Rygi.

Zyskawszy pozwolenie, starosta, w którym raz powzięta myśl gorzała, nie dając mu spoczynku, natychmiast zajął się jej wykonaniem.

Franciszkanie mieli mu w tem być pomocą. Brat Antoniusz musiał się znowu poświęcić i towarzyszyć staroście.

Najlepszy to był przewodnik, gdyż znał wszystkie konwenty swojego zakonu, a drogi pomiędzy niemi, niejeden raz pieszo przebywał. Mężtwo też miał tego rodzaju, co nie wyzywa na niebezpieczeństwa, ale je spokojem niewzruszonym rozbija.

Wybrać się w taką podróż, w tym czasie, bez żadnej siły na obronę od rabusiów i włóczęgów, było niepodobieństwem; a zbyt licznym orszakiem, dającym się bogactwa domyślać, nie godziło się drażnić i kusić łotrzyków. Hawnul więc musiał zebrać sobie towarzystwo, liczbą nieuderzające a mężne, rachując na to, że świadomość gościńców, od złego spotkania uchroni.

Orszak miał się składać przeważnie z Rusinów, wyprobowanej wierności i posłuszeństwa.



Gdy w parę dni potem wszystko było w gotowości, a Hawnul przyszedł pożegnać wielkiego księcia, Jagiello zaniemiał na chwilę. Żał mu było najwierniejszego ze sług swoich narażać na zgubę, ale starosta nalegał.

Rozstali się oba smutni.

W Wilnie dość długo nie dostrzeżono nawet, że starosta się oddalił. Orszak podróżny zawczasu wyprawiony, czekał na niego i brata Antoniusza w lesie. W dworcu Hawnula na pozór wszystko w dawnym zostało porządku, jak gdyby gospodarza nie brakło.

Przez pierwszych kilka dni unikano tak zręcznie wielkich gościńców, i osad znaczniejszych, popasając i noclegując po lasach, że z ludźmi się prawie nie spotykano. Ku granicom się zbliżając rozszluchać się było potrzeba i posłać na zwiady, któredy bezpieczniejszemu puścić się mogli.

Pomimo oporu Hawnula, brat Antoniusz oświadczył się z gotowością wyprzedzenia orszaku choćby sam, ale na usilne naleganie przyjął od starosty najsilniejszego z jego ludzi starego Smolenszczanina Petruka.

Tymczasem obozowano w głuchej i zapadłej puszczy, a Hawnul niecierpliwie wyglądał powrotu wysłanego, bo swatanie na tron polski Jagielty pokoju mu nie dawało.

Pilno mu było z tem uprzedzić innych i pozyskać sobie zwolenników.

Drugiego dnia powrócił brat Antoniusz z Petrukiem, wioząc z sobą jeszcze niepozornego biedniaka klechę, którego niegdyś w drodze spotkał, potem w Płocku — a uważał za stworzenie dobrodusznego, którem można się było wygodnie posłużyć.

Sama sukienka duchowna, dla starego zakonnika już go czyniła zaufania godnym. Nie zwierzył mu się jednakże spotkawszy z nim nad granicą, z kim jechał, mówił tylko o kupcu niemieckim.

Bobrek za lichą zapłatę ofiarował się prowadzić go do Krakowa, dokąd sam miał potrzebę.

Ze spotkania tego i pozyskania sobie świadomego kraju klechy, brat Antoniusz i Hawnul, szanujący wszystko co ze stanem duchownym było w styczności, oba się radowali.

Bobrek powiadał, że właśnie w tamte strony musiał jechać, ciesząc się, że mu podróż darmo przyjdzie na cudzym koszcie i coś jeszcze przynieść powinna w dodatku.

Od pierwszego wejrzenia, z węchem sobie właściwym, wietrzył już, że ten mniemany kupiec, przekradający się bez towarów do Krakowa coś innego nie handel mógł mieć na celu.

Przystąpił więc od razu bardzo do starego braciszka franciszkańskiego zakonu, okazując ubogim prostaczkiem, i brat Antoniusz wziął go chętnie..

Bobrek doskonale dróg świadomy, ofiarował się z pomocą, za której ręczył skuteczność. Świadomemu jemu drożynami mieli dostać się przez Mazowsze w Sieradzkę, a ztamtąd do Krakowa.

Hawnulowi przedstawiając się z tą samą pokorą, co bratu Antoniuszowi, łatwo go sobie pozyskał. Pomimo, że się starosta za prostego kupca podawał, dość było baczniejszego wejrzenia na niego i podróżne przybory, dostatek, poważną postać, aby utwierdzić w podejrzeniu, że wysłaniec ten był jakąś ważną osobistością, o której bliżej się czegoś dowiedzieć Bobrek spodziewał w podróży.

Hawnul był jednak ostrożnym, i ani nazwiska swego, ani położenia nie zdradził, mianując się kupcem z Rygi.

Natychmiast klecha począł z nim po niemiecku rozmawiać i o zakonie napomykając, zbadać się starał, jak dla niego jest usposobionym... Starosta ani z miłością ani ze wstrętem się nie wydał, co w oczach Bobrka już go podejrzanym czyniło. Obietnicę nagrody za przeprowadzenie potwierdził starosta, upe-

wniając, iż będzie sowita, jeżeli ich bezpiecznie do celu doprowadzi.

Dla Bobrka nie było to trudnem, gdyż niejednen raz przez te puszcze się przedzierał. Przewiodł ich naprzód ostrożnie po nad Wizną, którą właśnie zakon w zastaw zajmował, ciągnąc potem manowcami minio Brańska i Czerska, tak aby pominąć oba. Stały tu jeszcze bory wszędzie prawie nietknięte, przez które dla świadomych prowadziły drogi mało komu znane, na drzewach znaczono zaciosami różnemi.

Tak szczęśliwie dostali się aż pod Chęciny, zkąd musieli zwrócić pod Wiślicę, a nie śmiejąc nigdzie ani się zatrzymywać ni spoczywać długo, zdążyli nareszcie pod sam już Kraków, do Proszowic.

Tu Hawnul potrzebował wytchnąć nieco, obmyśleć co miał dalej przedsiębrać, a przewodnika już niepotrzebnego rad się był ztąd pozbyć. Ale Bobrka łatwiej było wziąć, niż się z nim rozstać.

W ciągu powolnej podróży poznał on lepiej Hawnulę i nie mu z głowy nie mogło wybić, iż mąż to być musiał jakiś wielkiego znaczenia, dostatku, rozumu, który prostym kupcem tylko się dla niepoznaki mianował.

Nie potrafił jednak, z różnych stron ostrożnie i z ręcznie zagadując, badając, podchwytyjąc, dojść co go prowadziło do Krakowa i to w towarzystwie starego zakonnika?

Hawnul umyślnie unikał wszelkiej wzmianki o Litwie o dworze tamtejszym. Milczenie jego wstrzeżność i oględność, utwierdziły tylko w przekonaniu, że to być musiał tajemny poseł jakiś. Zbijało go z tropu, że Niemcem był.

Gdy starosta, wynagrodziwszy szczodrze klechę w Proszowicach, odprawił go, Bobrek, sądząc że dowodem zaufania wzajemne pozyszcze dla siebie, odezwał się zeicha.

— Wdzięčen jestem miłości waszej, że mi pozwalasz ztąd pośpieszyć zaraz do Krakowa, gdyż

sprawę mam tam pilną, z którą prawdę rzekłszy, zostałem wysłany.

— Przez kogo! — zapytał z roztargnieniem Hawnul.

Bobrek zbył odpowiedź dwuznacznym ruchem jakimś jak gdyby mu nie wypadło, zdradzać tajemnicy i dodał.

— Posłano mnie ostrzedz Krakowian, aby się na baczności mieli, bo mazowiecki książę Semko ma się podobno kusić o to, aby miasto ubiedz, w stolicy się z wojskiem rozłożyć, i niedopuszczyć kogo innego do korony.

Hawnula wiadomość ta tak mocno obeszła, iż omal poruszeniem, jakie okazał, nie zdradził się, zaczynając rozpytywać niecierpliwie.

— Możesz to być?... pewnaż to jest!...

Nie są plotki próżne?

— Najpewniejsza w świecie rzecz, odparł Bobrek. Kilkuset kopijników uzbroili, ścigając co najlepszych, najmeźniejszych, a dowodzi niemi Bartosz z Odolanowa i ks. arcybiskup dopomaga. Nie wiadomo jeszcze, jakim sposobem zamierzają się dostać do miasta, ale gdy raz Kraków opanuje, pewnie go już z rąk nie wypuszczą.

Na twarzy Hawnula mimowolnie odmalował się przestrah wielki.

— Śpiesz więc i jedź, aby o tem oznajmić — rzekł do Bobrka, który stał pilno mu się w oczy wpatrując. — Nie sądziłem, byś tak ważną sprawę miał poleconą, bo z nią prędzej trzeba było podążać.

— Nic jeszcze straconego nie ma — przerwał Bobrek — Mazury i Wielkopoleanie dopiero przed samymi Zielonemi Świątkami mogą tu przybyć, a w Krakowie dosyć podszeptać co grozi, aby się wszystko w oka mgnienia uzbroiło. Semka i panowania Wielkopolan, jak ognia się tu lękają.

I Bobrek się uśmiechał.

Klecha, ponieważ tak dobrze płacącemu panu

i w Krakowie był gotów służyć, a szpiegować go razem, dodał nad odjezdnem, iż radby wiedział, gdzie go w mieście miał szukać. Baczny Hawnul jednak odpowiedział, że gospody pewnej niema i będzie się o nią musiał starać, a przez brata Antoniusza, który do swej braci się uda, języka o nim dostać będzie można.

Bobrek z Proszowic wóz sobie wieśniaczy najawszy, pośpieszył do Krakowa.

Tem niespodzianem wynurzeniem się na samem odjeździe, Bobrek trochę nastraszył starostę i dał mu do myślenia, gdy się okazało, że ów klecha chudziną biedny, bez chleba i roboty, tajemnym jakimś był posłańcem. Od kogo? nie mógł odgadnąć Hawnul.

Zabiegi więc o koronę były żywe i w pełnym ruchu; jedni ją pochwycić, drudzy niedopuszczyć do niej starali się: chcąc co zyskać, śpieszyć było potrzeba. Hawnul nie tał przed sobą, że zadanie trudnem było.

Wypocząwszy zaledwie w Proszowicach, wdziawszy szaty takie, aby oczu nie zwracały, starosta następного ranka podążył do Krakowa. Brat Antoniusz bardzo go z sobą do Franciszkanów pod zamek ciągnął, ale Hawnul wolał stanąć u dawniej z nim w stosunkach będących bogatych mieszczan Keczerów, z którymi niegdyś handlował. Zwierzyć się komuś, a najprędzej im musiał, z czem jechał, gdyż inaczej do znaczniejszych panów, stojących tu u steru, Dobiesława z Kurozwęk, Jaśka z Tęczyna i innych, dostaćby się nie mógł, a bez zalecenia im i wiaryby nie pozyskał.

Z małym pocztem swym szczęśliwie przebywszy bramy, w których listy swe kupieckie pod pieczęcią ukazał; jechał starosta wprost na rynek do kamienicy pana Stanisława Keczera. Osobiście go nie znał Hawnul i przed wrotami stanąwszy, a o gospodarza py-

tając, który na ratuszu był, czekać musiał, aż go ztamtąd sługa przyprowadził.

Wkrótce nadszedł pan Keczer, jak z postawy i stroju wnosić było łatwo, człowiek zamożny i poważny. Starosta wziął go poufnie na stronę.

— Z wielką ufnością przybywam do was — rzekł — bo nie życzyłbym, aby o mnie wszyscy wiedzieli. Wam więc tylko się zwierzam, iż jestem Hawnul, niegdyś Ryżanin, dziś starosta i wójt wileński, na Litwie. Możecie mnie przyjąć gospodą?

Wiedziano tu bardzo dobrze, jakie było znaczenie Hawnula na litewskim dworze; przesadzano może nawet wpływ jego i moc, rozpowiadając, że w Wilnie wszystko się działo przez niego, i że on nie prawą Jagiełły ręką, ale obiema był.

Keczer, słynącego z bogactw i znaczenia człowieka, pochwycił ochotnie bardzo...

— Dom mój na usługi wasze! bądźcie w nim jak u siebie. Pozdrawiam was.

To mówiąc wprowadził go do izby parady, usadowił na pierwszym miejscu, wino podać kazał, konie i ludzi zabrać, żonę i córkę mu przywiódł dla powitania, i troskliwie zajął się pomieszczeniem gościa.

Starosta prosił wszystkich usilnie, aby w nim nie widzieli kogo innego tylko kupca, który sukna miał na sprzedaż, imienia jego nie rozgłaszając.

Po śniadaniu, gdy kobiety odeszły, a Antoniusz od progu już do swojego klasztoru, stęskniony pośpieszył, siedli na poufną rozmowę. Począł starosta ubolewaniem, iż kraj tak wielki i piękny, spokoju nie miał, a Polska sobie króla dostać nie mogła.

— Tak — rzekł Keczer — prawdziwie to nieszczęśliwa dola nasza, iż Bóg własnym monarchom nie dał po mieczu potomstwa. Ztąd płynie wszystko. Ze śmiercią Kaźmirza skończyła się dla nas szczęśliwość wszelka. Bóg wie, kiedy spokój odzyskamy, i czy dostaniemy takiego, pana jakiegoby nam potrzeba.

— Po drodze wszędzie prawiono mi — odezwał się Hawnul — że książę mazowiecki Semko, jest tak jak wybranym na króla.

— Temu nie dawajcie wiary — odparł Keczer. — Wiemy dobrze, iż nasi panowie go nie chcą i nie dopuszczają do korony. My też jego i szlachty wielkopolskiej obawiamy się. Z nim by razem Wielkopole rozkazywać tu przyszli, miasta straciłyby swobody i popadły w nędzę. Niech Bóg uchwala.

— Więc jeśli nie on, to ktoś? — zagadnął Hawnul.

— Wielu jest za Wilhelmem Rakuskim, któremu Jadwiga była przeznaczona. Pan ma być obyczajów bardzo gładkich, serca dobrego, choć miękko wychowany. Przeciwno niemu to jest tylko, że Niemiec krwią i obyczajem, a w Polsce mieszkać i nie zechce i nie może; my zaś króla dla siebie potrzebujemy koniecznie.

Znajdują się i tacy, co możeby chcieli małoletnią królowę trzymać tu niezaślubioną nikomu jak najdłużej, aby sami za nią rządzili. Naostatek i Władysław Opolski jako opiekun i wielkorządca ma takich co z nim trzymają.

Keczer wstrząsł się cały.

— Bóg jeden nas z tej niepewności wyrwać może...

W tem Hawnul wstał...

— Miły panie — rzekł — dla was nie byłoby na świecie lepszego pana, a dla Polski króla, jak mój pan, litewski książę Jagiello.

Keczer stanął chwilę niemy, zdziwiony, nie mogąc zebrać myśli.

— Poganin! — zawołał, sądząc że starosta mówił to w żarcie.

— Matka chrześcijanka, Rusinka, nigdy się swej wiary nie zaparła — rzekł Hawnul. — On od młodu oswojony z nią, na pół już chrześcijaninem jest, a ochrzciłby się ochotnie.



Mało na tem, ale z nim cały kraj wielki nawróciłby się, wybyście mieli zasługę żeście mu chrzest przynieśli, a wam Litwa połączona dałaby potęgę wielką.

Wasza królewna stałaby się pogan apostołem!

Keczer słuchał coraz bardziej przejęty myślą tą, dla niego mowa, mówić nie mógł... potrzebował długiej rozwagi nim wyjąknął bojaźliwie.

— Nie nasza to sprawa o tem sądzić i stanowić, lecz gdyby to mogło się stać... Zaprawdę wielkieby to było dzieło. Cud!

W ręce uderzył. — Jakaby to potęga urosła!

— Tak, potęga wielka, którąby niepocziwych Krzyżaków trzymać można na wodzy i Ruś a sąsiednie kraje podbijać!

Długo w milczeniu patrzyli na siebie. Keczer coraz mocniej przejmował się tem i poruszał.

— Na żywego Boga — rzekł — gdyby się to ziścić mogło, co za dobrodziejstwo dla Polski.

Hawnul począł zwolna.

— Jagiellę, jak wiecie, znam od lat wielu, przy jego boku stoję nieodstępnie, patrzę na czynności. Dla panów waszych, dla was niema drugiego króla, któryby nad niego był lepszym.

Szczodry jest aż do zbytku, łaskawy, dobry, dla swoich powolny, pobożnym będzie, bo dziś już Boga prawdziwego ledwie przeczuwając, boi się go i czci...

— Poganin! — zamruczał z boleścią Keczer.

— Tylko z imienia — dodał starosta — i to właśnie dla waszej sławy dobre. Krzyżacy go chcą ochrzcić. Nie wielkąż to będzie zasługą, gdy wasza Polska, ogromny ten kraj, dotąd trwający w bałwochwalstwie, prawdziwemu Bogu odda!!!

Milczeli chwilę.

— Piękneby to było, gdyby nasi panowie tę myśl wielką i szczęśliwą chcieli wziąć do serca — rzekł Keczer.

— Nikogo nie mają przecież, jeżeli Mazura nie



chę, a Wilhelm mieszkać tu nie może — odezwał się Hawnul. — Powinni Jagiełłę wziąć, mieć będą swojego, własnego. Jeżeli Małopolska da mu koronę, będzie z nim panowała...

Nierychło postrzegł się Hawnul, że jak na pierwsze wystąpienie, może za gorąco się wziął do sprawy... Obawiał się pośpiechem popsuć.

Zwrócił więc zrećznie tok jej i rozpytywać zaczął o osoby w Krakowie i tej części Polski największe mające znaczenie.

Keczer, doskonale znający stosunki, wyliczał mu panów najmożliwszych, i takich co za sobą prowadzili największe zastępy rycerstwa. Starosta słuhał. Nie wznawiał już myśli swej, ani się z nią nabijał, aby odrazu nie zdradzić, że ona była celem jego podróży. Keczer i tak już mógł się tego domyslać.

Nie nacierali na siebie wzajemnie pozostając tak do wieczora na rozmowę na pozór obojętnym, a w istocie obu ich nauczającym. Keczer mało znał Litwę, Hawnul Polskę ze słuchów oddalonych tylko.

Nieznacznie Krakowianin przejął się myślą starosty, i nabrał przekonania, że należało choć spróbować się z niej zwierzyć któremu z panów: Dobiesławowi z Kurozwęk, lub Jaśkowi z Tęczyna. Pierwszy siłę miał po sobie, rozum drugi.

Nim Hawnul się odkrył z tem, iż życzyłby sobie myśli się zwierzyć któremu ze starszyny, sam Keczer wniósł, iż mu się to zdało dobrem.

Starosta nie napraszał się.

Możecie to uczynić od siebie — rzekł — ale wcale nie odemnie. To com mówił jest prostym wymysłem mojej głupiej głowy. Po drodze człowiek, nic do czynienia nie mając, marzył i plótł sobie... Niech Bóg uchwala, aby posadzić mnie miano, iż mi kto polecił... albo z tem słał!... Głowabym to mógł nałożyć.

Pomimo tych zapewnień, Keczer się uśmiechnął chytrze. Znajdował Hawnula prostodusznym i niedo-

syć przebiegłym. Miał słuszość. Pomimo najlepszych chęci, starosta na każdym zdradzał się kroku.

Kupiec patrzył mu w oczy.

— Ktoby tam miał was posądzać — odparł — lecz gdyby z panów który wziął sprawę do serca, i chciał was wezwać na rozmowę? Czyżbyście nie chcieli o tem pomówić i nauczyć co czynić?

Hawnul się zmieszał, czuł się pochwyconym, ręce rozpostarł, ramionami wstrząsnął, milczał.

— Cóż? — odezwał się namyśliwszy — ja im to samo tylko co wam powiedzieć mogę. Bardzobym nie rad, aby się to z ust do ust rozniosło, żem ja się nie do swej rzeczy wmieszał. Mniejsza, gdyby mnie posądzono, ale pana!!

Keczer go pochwycił za rękę.

— Nie obawiajcie się — rzekł żywo. — Ja od siebie tylko i z siebie mówić o tem będę, wy możecie dostarczyć informacyj. Zostańcie w cieniu i na boku.

Milczeniem przyjął Hawnul to zapewnie.

Oba wśród gorącej rozprawy, zapomnieli o jednem, to; że z panów których potrzebowali, żaden pod ten czas nie znajdował się w Krakowie; wszyscy znaczniejsi z pocztami świetnemi wybrali się byli do Nowego Sącza, na obiecaną im oczekiwać królowną.

Hawnul więc musiał pobyt swój w Krakowie przedłużyć.

---

## VI.

Na probostwie n św. Floryana, świeżo bardzo ozdobnie i chędogo z muru wzniesionem przez gospodarczego Bodzantę, który, choć arcybiskupstwo wziął, dawniejszej swej prebendy nie puszczał, przygotowywano się na jego przyjęcie. Przybycie do Krakowa było zapowiedziane.

Ksiądz wikaryusz Chotek, prawa ręka arcybiskupa, chodził zakłopotany, zajęty opatrując wszystkie kąty, a mimo obszerności zabudowań z probostwem pokączonych, znajdując, że miejsca było za mało na wygodne postawienie wszystkich koni i ludzi, którzy orszak Bodzanty składali.

Ruch na probostwie od dni kilku już był tak znaczny, iż odbywając się niemal u samych bram miejskich, uwagę mieszczan musiał zwrócić na siebie.

Badano ludzi z wiosek do probostwa należących, sprowadzonych dla stróży i posługi, co by to znać miało, ale ci prostaczkowie, mało co powiedzieć umieli.

Ks. Chotek zaś porywczy i niezmiernie opryskliwy, na zadawane mu pytania, niecierpliwie fukał.

— Cóż ma być? co? Arcybiskup przybywa na spotkanie królowej i królownej! Chciełścież, aby głowa kościoła, przyjechał samowtór lub samotrzeć? bez pocztu i ludzi?

Toć i służbę z sobą mieć musi, dwór i duchownych, a jak się przynależy, i ludzi zbrojnych dla bezpieczeństwa i dostojenstwa. Gdy mi tu wszystko to zajdzie, głowa pęka, gdzie pomieszcze.

Na to mu nie odpowiedziano, ale w bramie od św. Floryana, ks. Chotek dostrzegł jakąś nadzwyczajną pilność, której dawniej niebywało.

Nietylko Viertelnicy, ale zbrojni mieszczanie się tam ukazywali, chodzili, stawali w oknach, we wrotach, straż nieustannie się kręciła, z rąk berdyszów nie puszczał.

Nad strażą miejską podówczas starszym był niejaki Wróbel, imieniem Szymko, który też całą siłą zbrojną Krakowa, składającą się i z ludzi płatnych a czuwających ciągle i z czeladzi miejskiej, zwoływanej w potrzebie, dowodził. Każda baszta, i brama miała swoją broń, cekhaus i ludzi, na obronę jej stawić się obowiązanych, gdy hasło wydano.

Wróbel, bardzo znaczny zdala, bo przerastał głowę najslusniejszych, a brodę i wasy szczególnie miał jak miotły ogromne, krzykacz z głosem donośnym jak trąba, ruchliwy i przy ruchu ciągle się to chłodzący, to zagrzewający piwem, które dla niego cebrami noszono; w tych dniach powziął upodobanie osobliwe do bramy od św. Floryana i prawie z niej nie schodził. Głos jego czasem aż na probostwie słychać było.

Był to kat na ludzi podwładnych, a kto z nich w jego ręce się dostał, ledwie żyw wychodził. Często przypadał na niego dozór przy wyświecaniu z miasta, chłóście i targaniu końmi a biciu kołem, sam się o to napraszał, bo w tych krwawych zabawkach miał upodobanie.

Lękano się też go w mieście, a na sam głos pochwycony zdala, kostery chowali kubki i kości, niewiasty podejrzane cisnęły się do kątów, waśniący i bijący się wnet milkli i znikali.

Gdy trudnego coś a niebezpiecznego było do spełnienia, nie komu tylko jemu to poruczano. Zwracało więc uwagę świadomych, że Wróbel od kilku dni ciągle prawie u tej bramy siedział, nie schodząc z niej na chwilę.

Pospolity lud w mieście, który przyczyny pilności tej szczególnej odgadnąć nie umiał, mocno się dziwił. Niektórzy trwożyć się zaczęli, widząc, że około wrót przygotowania jakby do obrony od napaści czyniono, gdy nikt o żadnym niebezpieczeństwie nie słyszał.

Uważano i to, że stary Dobiesław z Kurozwęk, pan krakowski, kilka razy do ratusza konno dojeżdżał, z panami radnemi i wójtem się naradzał, a potem, jak na zwiady, aż pod bramę Floryańską się puszczał.

Naówczas Wróbel, najczęściej siedzący nad cebrem piwa, rzucał kubek i jak nawałnica, po wschodkach

spadał na dół, stawał wyprostowany przed starym panem, i dawał mu, z powinnem poszanowaniem, jakieś znaki porozumienia.

Kilka dni tak zeszło na probostwie w oczekiwaniu na przybycie arcybiskupa, a we wrotach przy straży pilnej dniem i nocą.

Tymczasem w Nowym Sączu zebrani panowie dowiedzieli się, że królowa z królowną naznaczony dzień przybyć nie będą mogły, dla wielkiego wód wylewu.

A tak, co miał wreszcie koniec być położony wszelkiej niepewności, i osierocone królestwo spodziewało się ujrzeć wkrótce na tronie córkę Ludwikową, znowu wszystko odłożonem być musiało, wszystko zachwiane zostało.

Panów i starszyznę rozpacz niemal ogarnęła z powodu zwłok tych nieskończonych. Niektórzy do Krakowa popowracali zniechęceni, inni pobiegli do Koszyc, kędy się królowa zatrzymała, i tam wymogli od niej stanowczą nareście obietnicę, iż Jadwiga królowna, nieodzownie na św. Marcin miała przybyć do Polski.

Powrócili z tem przyrzeczeniem, Dobiesław z Kurozwęk pierwszy, potem młody Spytek z Mielsztyna, Jaśko z Tarnowa, Wicek z Kępy, Sędziwój z Szubina, wszyscy co obawiając się Semka, królownę mieć chcieli, i ci co królownej żądali dla niego, bo każdy prawie co innego myślał.

Zwłok tyle i zawodów ze strony królowej Elżbiety, wielu już do rozpaczki niemal przyprawiało.

Spytek z Mielsztyna, gorliwy obrońca królowej i królownej, ledwie mógł narzekających uspokoić.

Z Koszyc właśnie powrócili posłowie, gdy w Krakowie się ten niepokój objawił.

Hawnul doczekawszy naostatek przybycia kasztelana i z nim przedniejszych panów krakowskich, miał nadzieję poselstwo swe tajemne rycbło sprawić, Kecerowi w początku nielatwo było do którego z nich

się docisnąć. Wszyscy strapieni nową zwłoką i zmuszeni czekać do jesieni, głowy i ochotę do sprawy publicznej tracili.

Przybył dla rozmowy z innemi, i stary Jaśko z Tęczyna, ten, który Semkowi koronę prawie z rąk wyrwał w Sieradziu.

Keczer trafił naprzód do niego.

Mąż wielkiej powagi, ale i dumy niemniejszej, Jaśko z Tęczyna mając sobie oznajmionym mieszcza-nina, nie posądzał nawet, aby o ważniejszych sprawach śmiał z nim mówić. Pieniężnego interesu, handlu jakiegoś, sporu mógł się domyślać.

Tymczasem rajca krakowski, dworzan i służbę liczną widząc dokoła, musiał prosić pana o rozmowę na osobności.

Podniósł brwi, zdziwiony pan z Tęczyna.

— Jakież ty tajemnice mi przynosić możesz! — ozwał się z uśmieszkiem.

Keczer był w czasie żartobliwy i wesół, skłonił się bardzo nisko.

Trafiło się ślepej kurze znaleźć ziarnko — rzekł — niech, miłość wasza da mi posłuchanie, a potem osądzicie, czy biedota mieszczanin prawo miał was na osobną prosić rozmowę.

— Dla samej ciekawości zaprawdę, gotowem słuchać — odparł kasztelan, ludzi odprawiając skinieniem. — Praw, proszę.

Keczer rozpoczął. Nie poszło mu wyluszczenie sprawy tak składnie jak innemu, coby słowa umiał ustawić, wygładzić i poprowadzić je jak żołnierzy do bitwy sworno, a z ładem. Jakaś się nieco, wygadał zańdto a nie powiedział dosyć, pozadzierzgiwał węzłów dużo, nie umiając ich rozplątać, lecz słuchający, rozumny pan, lepiej to zrozumiał, niżeli było powiedziane.

Keczer skończywszy, niepotrzebne jeszcze dodatki czepiał, bo mu się zdało, że go może nie zrozumiano,

gdy Jaśko z Tęczyna, namarszczony, po milczeniu poważnem, wykrzyknął.

— Gdyby się to stać mogło, mój Keczerze, coś tu mi przyniósł, dałbym cię ozłocić! Zmiłuj się, dajże mi człowieka tego, o którym powiadasz. Zbawcąby naszym był, gdyby...

Nie dokończył kasztelan, składając ręce.

— Myśl z nieba przyniesiona! — zamruczał — a nikomu z nas ona nie powstała w głowie, bo któżby mógł przypuszczać, że to możliwe!!

Keczer prędko się zastrzegł, że ten „człowiek“ jak go zwał kasztelan, wcale nie chciał być ani mianowanym, ani widzianym, ani znacznym.

— Niech będzie jako chce, ale mi go daj! — wołał Jaśko z Tęczyna. — Niechaj przyjdzie wieczorem. Zbiorę u mnie kilku, abym sam nie był, posłuchamy, rozważymy...

I powtórnie ręce zaciskając, dodał.

— Myśl to wielka, a gdyby w tem wola Boża była!

Wstał z krzesła żywo, Keczerowi ręce obie kładąc na ramiona... Oczy mu się paliły.

— Idźże proszę cię, wieczorem mi go daj!

Keczer już się ku drzwiom mając, zawrócił się, pokłonił i uśmiechnął.

— Miłościwy panie — rzekł — widzicie, że i mieszczanin krakowski może przynieść za nadrą coś takiego, co pańskiego ucha godne...

Jaśko z Tęczyna skłonił głowę.

Tegoż wieczora Hawnul szedł na dworzec pana z Tęczyna. Szromnie się odziewał zawsze, w Krakowie zaś umyślnie chadzał tak, aby niczyjego na siebie nie zwracał oka, lecz tego wieczora przystroił się czarno w jedwabie i aksamity, na szyję wdział łańcuch złoty i miecz przypasał, którego mu największy pan mógł pozazdrościć.

W tym stroju, postawą i twarzą na posła możnego pana wyglądał...

W izbie małej na dworcu kasztelana, nie było więcej nad cztery osoby, z gospodarzem licząc. Po-między niemi jeden duchowny, bardzo małego wzrostu, twarzy bladej, rozumnego wejrzenia. Był to słynny swojego czasu lekarz, uczeń szkoły w Mont-pellier, teraz biskup krakowski, Jan z Radlic dla wzrostu powszechnie Małym zwany, od duchowień-stwa, któremu go król Lois narzucił, niebardzo lu-biany, ceniony przez rozumnych ludzi.

Dobiesław z Kurozwęk sędziwy i Jan z Tarnowa, dopełniali szczupłego grona.

Keczer wprowadziwszy Hawnulą, sam się natych-miast cofnął.

Powierzchnowość starosty, oblicze jego rozumne i myślące, postawa pańska, uśmiech łagodny, dobrze dlań wszystkich usposobiły. Wiedziano i tu o nim, jako o powierniku i ulubieńcu Jagielly.

Powitany przez gospodarza, zaczął od tego Ha-wnul, iż wytłumaczył bytność swoją przypadkową, zastrzegł jak najuroczyściej, że żadnego zlecenia nie miał i mieć nie mógł, nie wiedząc jaki stan rzeczy tu zastanie... Myśl, którą podawał, była własnem jego natchnieniem.

— Miłościwi panowie najlepiej osądzić potraficie, czy możliwem jest, aby się dwa wielkie państwa, do-tąd nieprzyjaźne połączyły, przyczemby Chrystusowi i kościołowi tysiące dusz przybyło.

Biskup Radlica poruszył się, oczy podnosząc do góry...

— Ale jestże wielki książę wasz przygotowanym do przyjęcia naszej świętej wiary? — odezwał się pierwszy.

— Matka co go wychowała, jest chrześcijanką — odparł Hawnul — on w duszy chrześcijaninem już jest, a cnoty ma wielkie...

Wszyscy milczeli, Hawnul się ożywił.

— Urodziłem się chrześcijaninem — rzekł — wśród pogan wiarę tę wyznaję i krzewię, nie dziwna więc,



że mnie ta myśl unosi, iż Jagielle tron ofiarując i rękę waszej królowej, dalibyście kościołowi państwo całe, Ojcu Świętemu całe stadko owieczek nowych, a szatanowi i zakonowi niemieckiemu z paszczy byście je wydarli.

Wspomnienie o Krzyżakach, tych nieprzyjaciółach Polski, z którymi ojciec Kaźmirza bojować musiał, we wszystkich się piersiach odbiło.

Jaśko z Tarnowa zawołał.

— Złamanaby była na zawsze ich potęga, kto wie, odzyskalibyśmy może Pomorze.

Zarzucano pytaniami Hawnula, dowiadując się szczególnie o charakter Jagielly, z widocznym niepokojem o to, że nawykły do rządzenia krajem pogańskim, bez wszelkich ograniczeń prawa, szlachcie i panom mógłby ująć ich przywilejów i swobód.

— Pan to jest serca dobrego, sprawiedliwy, łagodny — odparł Hawnul. — Na tron go biorąc, wszakżebyście prawa swe zastrzegli, a on przysięgą je stwierdził.

Badano potem o Litwę i Krzyżaków.

— Mistrz Czolner — rzekł starosta — układy rozpoczął już o przymierze z Jagiellą, kładąc chrzest za warunek... Jeżeli ten go sobie pozyszcze, a Litwa się z zakonem połączy, dla Polski będzie to groźnem. Odwrócić może to niebezpieczeństwo tylko połączenie Litwy z Polską.

Nikt na to nie odpowiedział. Spojrzano po sobie. Zadawano znowu pytania różne, Hawnul na wszystkie odpowiedzi umiał, nalegając szczególnie na zasługę Polski względem kościoła, na chrzest pogan, i na siłę, jakąby zyskali w nich Polacy.

Tak do północy prawie trwały badania i ciche rozmowy, a gdy naostatek Hawnul żegnając się oświadczył, że musi powracać do Wilna, uproszono go jeszcze o jedną naradę.

Gdy wyszedł, wszyscy przytomni długo stali przynięceni myślą tą, która w chwili zwątpienia spadała

jakby z niebios przez opatrność zesłana. Nie śmieli wierzyć, aby nadzieja tak łudzająca, tak promienna, mogła się ziścić.

— Zaprawdę—zawołał Jaśko z Tęczyna—Wielkopolska nie śmiałaby nam już narzucać swojego Semka, ani królowa Rakuszanina.

Pozbyć się wroga, zyskać wiekuistego sprzymierzeńca, ochrzcić cały kraj, wyrwać Niemcom pastwę, na którą czyhają!!

Wszystko to wydawało się tak wielkiem, tak świetnem, a panowie krakowscy czuli się powołanymi do takiego dziejowego cudu, który świat miał zdumieć, że serca im wzbierały dumą.

Wszyscy widząc ważność niezmierną tej myśli, która zdradzona zawczasu mogła być podstępnie podkopaną, zobowiązali się uroczystem słowem do zachowania jej w tajemnicy.

Potrzebowali się naradzić nad tem, komu ją ze swoich powierzyć mieli i co przedsiębrać, aby doprowadzić do skutku rzecz tak trudną, której tylu nieprzyjaciół musiało stawiać na przeszkodzie.

Jaśko z Tarnowa wnosił, ażeby z Hawnulem wysłać kogoś, co by na miejscu sprawdził położenie, usposobienia wybadał, starał się widzieć Jagiełłę i wyrozumieć warunki.

Na to potrzeba było kogoś wybranego bacznie, a znalezienie człowieka, zachowanie tajemnicy, wszystko niezmierne nastreczało trudności.

Późno w noc rozeszli się wszyscy od kasztelana, pod brzemieniem zadania, które tak wiele obiecywało...

Nazajutrz rano stary pan z Tęczyna, po namyśle krótkim, uznał koniecznem przypuścić do tajemnicy młokosa, jak go między sobą starsi nazywali, który, pomimo wieku swojego, tak ważne zajmował stanowisko.

Cóż tu się mogło podówczas dokonać bez wiadomości i współudziału Spytka z Mielsztyna?

Osiemnastoletni chłopak ten, był nietylko ulubieńcem królowej, nietylko zwał się panem wojewodą krakowskim, i nosił piękne imię, władał ogromnemi majątnościami i należał do jednego z potężniejszych rodów w Małopolsce, był to rzeczywiście zdumiewających zdolności i na swój wiek dojrzałości, powagi, a razem energii i mężstwa człowiek... Można było w sędziwszem gronie uśmiechać się z tego tonu, jaki sobie nadawał chłopak, któremu zaledwie się na rumianej twarzyczce wąsik wysypywał, lecz gdy usta otworzył, a mówić począł, trzeba mu się było zdumiewać i poszanować go.

Dlatego Jaśko z Tęczyna nie mógł kryć przed nim ważnej sprawy, która bez jego przyczynienia się do skutkuby nie przyszła.

Dwór Spytką odpowiadał jego charakterowi i wiekowi. Był pański, książęcy prawie, do zbytku liczny, wystawny, świetny, a z fantazyą pańską dobrany.

Z całej niemal Europy pościągani otaczali go ludzie, wszelkich powołań, spełniający przy osobie jego najrozmaitsze obowiązki. Sekretarze, lektorowie, łowcy, sokołnicy, lutniści, śpiewacy, płatnerze, mistrze turniejowi, kuchmistrzowie, szatni, pościągani byli z Włoch, Francyi, Niemiec, Węgier, Holandyi i Anglii nawet.

Spytek miał na wszystko czas, i po młodemu wszystko go nęciło i zabawiało, każda nowość pociągała. Zabawy i rozrywki najrozmaitsze nie przeszkadzały mu naradzać się nad sprawami kraju, i równie gorąco je brać do serca, jak polowanie z sokoły i rycerskie gonitwy.

Podwórzec dworu przedstawiał obraz tak ożywiony i malowniczy, ze swemi końmi, wozami, namiotami, ludźmi w strojach najosobliwszych, z wrzawą i ruchem, które o żywym temperamencie pana domu świadczyły, że stary Jaśko z Tęczyna, zatrzymał się

chwilę, aby rzucić okiem na to osobliwe zbiorowisko ludzi.

Wszyscy oni zdawali się śpieszyć i gorączkowo spełniać swe obowiązki, aby młodemu a niecierpliwemu panu dogodzić.

Wesołość twarzy i głosów przekonywała, że ten pan, dla którego uwijano się tak żwawo, nie musiał być ani surowym, ni strasznym.

Ogromna sień we dworcu była pełną jak podwórce, ale tu, wśród dworzan i służby, znaczniejszą część ciżby stanowili klienci, przybywający ofiarować swe usługi, ludzie przynoszący podarki lub osobliwsze przedmioty na sprzedaż. Można pan płacił dobrze, miewał fantazyę, napraszano mu się więc ze psy, ptakami, końmi, bronią i t. p.

Ledwie się tu można było przecisnąć, a drzwi czeladź pilnować musiała, aby się nikt nie wdarł niepowołany.

Kasztelan a pan z Tęczyna nie potrzebował się ani prosić ni czekać, otworzono mu drzwi do wielkiej izby, w której znalazł kilku wybranych, poufalszych, oczekujących także na posłuchanie. Sala ta przestronna, cała w oponach po ścianach, w kobiercach, z ławami wysłanemi wygodnie, lśniła od przepychu.

Nie było w niej gospodarza, głos jego dochodził żywy, poruszony z drugiej obok komnaty, w której prowadzono rozmowę bardzo roznamiętnioną. Jaśko z Tęczyna rozpoznał w niej gruby, stłumiony głos Dobiesława z Kurozwęk.

Gdy drzwi otworzył znalazł ich tu dwu w istocie, w niewielkiej komnatce stojących przeciwko sobie; starego pana krakowskiego z obliczem zarumienionem, i młodego Spytka, w wytwornem stroju rannym, z oczyma iskrzącemi się życiem, który zdawał się gwałtownie o coś Dobiesława uaglić i napierać.

Ujrzawszy Jaśka z Tęczyna, zwrócił się młody pan z Mielsztyna i urywając rozmowę z poszanowa-

niem go przyjął. Twarz mu drgała jakimś poruszeniem niemal gniewnem.

Jeszcze nie usiadł pan Tęczyński, gdy Dobiesław z tą flegmą, jaką daje wiek zwrócił się ku niemu.

— Wiecie—rzekł—że wieści chodzą jakoby Semko Mazowiecki jechał z Arcybiskupem i Bartoszem z Odolanowa, w pięćset kopijników Kraków zajmować?

Kasztelan głową dość obojętnie potwierdził, że już miał o tem wiadomość.

— Wszakże wiem, żeście przeciwko temu stosowne przedsięwzięli środki — odezwał się spokojnie.

— Mnie to oburza!—wykrzyknął namiętnie młody Spytek. — Co za zuchwałstwo targnąć się chcieć na stolicę, koronę chcąc wziąć gwałtem, dlatego, że mu ją drobnej szlachty odartej gromadka ofiaruje.

Więc my już nie znaczymy nic? Wielkopolska ma nam prawa dyktować!

Ale mamy królowę, jeżeli króla nie mamy — dodał Spytek patrząc w oczy Jaśkowi z Tęczyna który milczał—a dla naszej pani pewnie Mazura za męża nie wybierzemy!!

Zwrócił się do Dobiesława.

— Panie kasztelanie, potrzeba środki takie przedsiębrać...

— Uspokójże się, gorąca krwi — przerwał powoli pan z Kurozwęk — od dawna środki są przedsięwzięte. Niema niebezpieczeństwa.

— Jakto niema—zawołał Spytek—my przeciwko pięciuset kopijnikom Bartosza z Odolanowa nie mamy wcale kogo postawić. Siła jaką rozporządzamy jest niewystarczającą... Ta czeladź mieszczańska, do szydła i hebla... to się nie na wiele zdało..

Dobiesław z pod wąsa się uśmiechał.

— Dostateczna będzie na odparcie siły, która, powiadam wam, gdy przed nią bramy zamkniemy nie waży się szturmować.

Semka prowadzi arcybiskup i nie dopuści do starcia.

— Ale ja!—gwałtownie wtrącił młody Spytek — ja nie wierzę waszym mieszczanom i ich straży... Mogą się dać podejść, przekupić, uchylać wrota, wpadnie ich tu garść i Kraków przepadł!

Jaśko z Tęczyna słuchał, młody pan oczyma go wyzywał, aby się odezwał i dał swe zdanie. Dobiesław także obracał się ku niemu. Miał się stać rozjemcą między kasztelanem a wojewodą.

— Niebardzo się ich lękam — rzekł powoli pan z Tęczyna—choć Bartosz z Odolanowa nie jest do lekceważenia. Nietylko rycerz odważny, ale człowiek zuchwały i przedsiębiorczy... Ufam jednak, że trwożliwego ducha arcybiskup obu ich powstrzyma i nie dopuści do jakiegoś szalonego kroku...

— Toż samo twierdzę — rzekł krótko Dobiesław, który wymownym nie był. — Czuwam i nie boję się.

— Arcybiskup dziś tu przybywa — przerwał Spytek — Semko ma hyć z nim, otwarcie czy skrycie... Ja pierwszy pojedę naprzeciw Pasterzowi, aby go powitać, ale zarazem oświadczyć, że my Semka znać nie chcemy!!

Jaśko z Tęczyna brodę pogładził.

— Żywość swą uśmierz nieco—rzekł—nie mamy potrzeby mówić o Semku, bo my dotąd możemy nie wiedzieć o jego staraniach i wymaganiach.

Sądzę nawet, że nieświadomość ta lepiej nam przystała.

Nie puścim nikogo, a Semka my nie znamy!!

— Mamy królowę! — powtórzył Spytek — mamy panią, a o panu pomyślemy wraz z nią, gdy naostatek ona tu przybędzie.

Jaśko z Tęczyna wstał i poszedł przymknąć drzwi na pół otwarte. Potem nie siadając już zbliżył się do Spytka, okiem pytając Dobiesława.

— Słyszeliście już co od niego?

— O czym? — żywo odezwał się niespokojny Spytek.

— O naradzie wczorajszego wieczora.

— Ale ja nie nie wiem — z wielką niecierpliwością rzekł gospodarz. — Pan Dobiesław nie mówił mi nic.

— Nie miałem czasu — odparł stary powolnie — zakrzyczeliście mnie tym Semkiem.

Spytek z natężoną ciekawością przybliżył się do Jaśka z Tęczyna.

— Dla naszej przyszłej królowej — rzekł cicho — męża nam rają.

Gospodarz się rozśmiał.

— Al już! — zawołał — to trochę zawcześnie. Gdybyśmy ją mieli!

Kasztelan zwolna, spokojnie, jak był zwykły, rozpoczął opowiadanie, którego młody pan słuchał z uwagą wielką. Twarzyczka jego chmurzyła się, posępniała, marszczyła, wyrażała zdziwienie, a gdy Jaśko dokończył, pomimo popędliwości swej, Spytek nie zabrał się na żadną odpowiedź. Myślał i widać było, że z tym wnioskiem tak nowym a niespodzianym oswoić mu się było trudno. Może on burzył jakieś osnute plany młodzieńcze. Naostatek dość nieśmiało rzekł Spytek.

— Nie wiem, co odpowiedzieć na to. Zdaje mi się wszakże, iż swaty są zawczesne. Nasza królowa przyszła jest za młodą jeszcze, a co gorsza my jej nie mamy... Nie godzi się odtrącać tak wielkiej myśli, lecz dziś, możemyż my cokolwiek przedsięwziąć na jej korzyść? Dziś wszystko na tem leży, by nam dano tę naszą królowę...

— To nie przeszkadza, byśmy się zabezpieczyli od Semka — odezwał się pan z Tęczyna — a najlepszą tarczą przeciw niemu będzie dla nas Jagiello.

— Nie przeczę — odparł młodzieniec — wy czyńcie, co wam rozum i doświadczenie dyktuje; co do mnie, ja naprzód chcę wyteńczyć wszystkie siły, aby pozy-

skać Jadwigę. Ona lepiej nas od Semka obroni, nad zastępy wojowników. A będziemy ją mieli w Krakowie, naówczas nam jej Wielkopole nie wydrą. Potrafimy bronić.

Zamilkli wszyscy na krótką chwilę, i Spytek się zadumał, lecz zaraz przerwał i otrząsł myśli natrętne, wracając do pierwszego przedmiotu i ku Dobiesławowi się pochylając.

— Kasztelanie, dziś przedewszystkiem Semko... Semko! Precz tego zuchwałego przywłaściciela odegnać potrzeba, którego nam narzuca Wielkopolska... te panosze odarte i scięcia. Ja się zbroję, odziewam, dwór mój cały sadzam na konie, i stoję w gotowości...

Dobiesław się uśmiechał.

— Nie sądzę, abyście byli potrzebni. Ja z moją załogą i mieszczańską starczę.

Spokój ten, jaki kasztelan okazywał, nie uśmierzył niecierpliwości młodego pana, który więcej się pana Semka lękał, niż myślał o Jagielle. Sprawa ta zdawała mu się tak jeszcze daleką, tak nie na czasie, iż zbywał ją prawie obojętnością.

Zawiódł się więc kasztelan stary, przybywając tu z nią, i rachując na poparcie młodego wojewody.

Dobiesław z Kurozwek wziął za kolpak i zabrał do odjazdu, a gospodarz niespokojny poszedł go odprowadzić, po drodze jeszcze zalecając pilność największą. Wróciwszy dopiero zwrócił się ku milczącemu gościowi swojemu.

Jaśko z Tęczyna wznowił rozmowę o Jagielle z wielkiem przejęciem nawracając Spytkę, który słuchał, nie zaprzeczał, a jednak goręcej się tem zajmować nie chciał.

— Panie mój—rzekł w końcu—jam młody, i może wiek mój winien, że w oddaloną przyszłość patrzeć nie umiem, a zajmuję się tem, co tuż jest przedemną. Wy, ojcowie, radźcie o przyszłości, naszą sprawą,



abyśmy jej sobie przez takiego Semka wydrzeć nie dali...

Na wspomnienie księcia Mazowieckiego, twarz mu krwią zapłynęła.

— Nie rozumiem, dlaczego wy kasztelanie mojego obnrzenia nie podzielacie, przeciw temu gwałtowi, jaki nam cbcą zadać, wy, coście przecie sami koronę mu z rąk wytrącili—począł znowu Spytek.

Semko, to panowanie nieokrzesanej drobnej szlachty wielkopolskiej, to tyrania nad nami. Ma w swych żyłach krew ojca, dziki będzie jak on.

— Lecz niema obawy, zaprawdę — odpowiedział Jaśko—ażeby go nam narzuceno...

— Czuwać musimy!—zawołał uparty Spytek.

Nie mogąc więcej wymódlz na nim, Jaśko z Tęczyna, zalecając tajemnicę, pożegnał rozgorączkowanego...

Zaledwie odjechał ode drzwi, gdy Spytek narzucawszy lekką suknię zwierchnią i wdziawszy czapczkę z piórem, z mieczykiem małym, siadł na konia, którego mu podano. Nikomu sobie towarzyszyć nie kazał i żywo puścił się na miasto.

Ulice pięknego tego dnia majowego roily się ludem, który i z okolic napływał i w samem mieście zdawał się ciepłem słonecznem z wnętrza domów wyciągnięty.

Grodzka i Floryańska szczególnie, rynek, Sukienice pełne były czeladzi, mieszczan, kupców, przekupniów, wozów i konnych.

Nie było to życie spokojne dni zwykłych, w których szczególnie o chleb powszedni zabiegają wszyscy i nim są zajęci; wśród tłumów widać było na pół uzbrojonych, niosących zbroje i miecze, śpieszących z niemi ku bramie Floryańskiej, lub biegnących do domostw.

Jednych, jak młodzież, zdało się to bawić, drugich

niepokoić. Starsi stawali i dopytywali troskliwie, co by to znaczyć miało.

Im bliżej ku wrotom, tem tłok był większy i ruch wyrazistszy, a wrzawa krzykliwsza. Zdawało się, że Wróbla wydającego rozkazy, i Viertelników niktających w ciemnych wnijściach, a nakazujących się potem w oknach i basztach.

Pomimo dnia, wrota były zamknięte. Straż gęsta przy nich stała.

Znano młodego wojewodę nadto dobrze, aby na widok jego, gdy w bramę samą wjechał i skinął, nie otwarła się ona natychmiast... Lecz zaledwie próg jej przebył, równie szybko zamknięto wrota z trzaskiem, tak, że koń Spytki, młody i żywy, poskoczył z nim przestraszony.

Spytek wprost pojechał na probostwo Św. Floryana.

Tu również jak w mieście było ludno, nadciągały bowiem właśnie wozy ładowane i dwór arcybiskupi.

Ks. Chotek, zajęty rozmieszczeniem, uwijał się, głosem donośnym wydając rozkazy. Wojewoda zatrzymał się chwilę przed bramą, przypatrując wozom i czeladzi arcybiskupiej, gdy ks. Chotek zobaczył go i pozdrowił.

— Gości się spodziewacie?—odezwał się do niego Spytek.

— Nie, panie wojewodo, gospodarza tylko—rzekł żywo wikary — ks. arcybiskup przybywa dziś wieczorem.

Gdy to mówił, młody pan już zsiadł z konia i pierwszemu lepszemu pacholęciu, jakie się nastreczyło, dając go trzymać, zbliżył się do ks. Chotka.

Odwiedziny te wojewody, w tej właśnie chwili, nie były bez znaczenia, a wikary choć wiele miał do czynienia, zmuszonym był je przyjąć.

— Dwa słowa, ks. kanoniku—odezwał się wojewoda, wstępując na ganek probostwa i czekając, gdzieby go wejść prosił wikary.

Ten pośpieszył drzwi otworzyć na prawo i ręką wskazał na wielką komnatę sklepioną, oknami wąskimi oświeconą, weszli do niej razem.

Wikary patrzył w oczy gościowi, oczekując rozwiązania zagadki tych odwiedzin. Spytek z całą żywością swych osiemnastu lat, począł natychmiast.

— Arcybiskup przybywa dziś, nieprawdaż?

— Tak jest panie wojewodo...

Gość tylko spojrzał na księdza.

— Nie sam pono?—spytał.

Ks. Chotek pochylony nieco odprostował się, pytanie mu się dziwnem wydało.

— Jak to, nie sam? W istocie z należytych orszakiem.

— W pięćset kopijników — rozśmiał się Spytek — jak na pasterza, to w istocie orszak okazały bardzo.

Wikary ramionami poruszył, odpowiedź była trudna, pomyślał.

— O liczbie ludzi nie wiem—rzekł—ale, że pod te czasy zbrojonych mieć musi, to nie dziwota.

Spytek szydersko usta ściągał.

— Mój ojciec—rzekł—ja tu umyślnie przybyłem was ostrzedz i arcy-pasterza, którego szanuję. Pod te czasy, gdy arcybiskup musi jeździć z ludźmi zbrojnymi, my też pilnować się i czuwać jesteśmy obowiązani, szczególnie nad grodami nam powierzonymi.

Ostrzeżcie jego miłość, iż tej siły zbrojnej, podobno znacznej, my nietylko do miasta nie wpuszczymy, ale jej pod bramami jego, jak groźby długo cierpieć nie będziemy.

Wikary milczał jeszcze, nieco strwożony tem co słyszał, gdy Spytek dodał:

— Otwarcie wam powiem mój ojciec. Chodzi tu pogłoska, pewno nie płonna, że w orszaku arcybiskupim ma się znajdować Bartosz z Odolanowa, a drudzy twierdzą, księżę Semko Mazowiecki.

Zywo przerwał ks. Chotek.

— Nie nie wiem! nie wiem, ale nie sędzę, ażeby książe Semko, jeśliby w istocie miał towarzyszyć arcybiskupowi, chciał się z tem taić.

Przecież to do tronu wybrany...

Wojewoda nie dał dokończyć wikaremu i parsknął śmiechem urągliwym.

— Semko Mazowiecki na tronie! zaprawdę nigdy on nie siedzie na nim... Ani on, ani Wielkopolanie tu rządzić nie będą nigdy!

Wikary stał zmięszany tem gwałtownem i zbyt otwartem wystąpieniem, gdy wojewoda obojętniej do rzucił.

— Przybyłem z przestrogą. Jesteśmy w gotowości do odparcia wszelkich zachcianek; niech więc nadaremnie nie próbują.

Okiem rzuciwszy po obszernej komnacie, której całą ozdobą był krzyż i parę małych obrazków na ścianach, wojewoda skłonił się nieco i zabrał do wyjścia. Ks. Chotek nie mogąc jeszcze przyjść do siebie, towarzyszył mu milezący.

W progu Spytek się obejrzał, jakby wyzywając do odpowiedzi, ale wikary, żywego, jak on temperamentu, lękał się wdać w rozprawę z wojewodą, któraby łatwo w spór przejść mogła, mruczał coś cicho, niewyraźnie.

Wojewoda wypadłszy w podwórze, począł się przypatrywać przybyłym wozom, na których łatwe były do rozpoznania namioty, zapaśne kopie i przybory wojenne; poruszył znacząco ramionami, siadł na swego konia, rzuciwszy chłopcu pieniądź srebrny, i nazad ku Floryańskiej udał się bramiem.

Ks. Chotek nie był wprawdzie zawiadomiony ani o Bartoszu z Odolanowa, ani o księciu Semku, wiedział tylko o poczie zbrojnym, domyślał się go z wozów przybyłych, ale coś podobnego przeczuwał. Ostrzeżenie Spytki utwierdziło w tem przekonaniu. Zachmurzył się przewidując, że słabość Bodzanty, da-

jącego łatwo sobą zawładnąć, gotuje mu nowe zakłócenia i trudności.

Tymczasem poprzedzające arcybiskupa podwody, konie, czeladzie ciągle przybywały. Liczba ich, do pomieszczenia trudna, coraz bardziej zasępiła czoło wikarego.

— Bylebyśmy nie odpokutowali za to! — mówił w duchu. — Króla koronować i namaszczać, rzecz to arcybiskupia, ale go ludziom narzucać..

Spojrzenie ku Floryańskiej branie przekonać mogło ks. Chotka, że w istocie o wciśnięciu się do miasta, inaczej jak siłą, ani myśleć nie było można. Mury i baszty pełne były ludzi zbrojnych, a ku wieczorowi liczba ich się jeszcze podwoiła.

Zmierzchać zaczynało, gdy goniec konny nadbiegł, oznajmując przybycie Bodzanty. Uderzono we dzwony u św. Floryana, i na znak ten jedne po drugich wszystkie w mieście odzywać się zaczęły.

Arcybiskup jechał na wozie odkrytym, wysłanym sukniem szkarłatnem, przez krucyfery poprzedzany, otoczony dworem mnogim konnych... W prawo i w lewo tłoczył się lud z przedmieść ciekawy, a Bodzanta podniesioną ręką go błogosławił.

W orszaku jego, ks. Chotek, który w komży ze święconą wodą na spotkanie Pasterza wyszedł przed probostwo, dostrzegł zaraz dwóch rycerzy w całych zbrojach, z zapuszczonemi przyłbicami. Oba oni nie jechali przodem, ale wśród innych, przeto otoczeni tak, jakby nie bardzo chcieli być widzianymi.

Za arcybiskupem i za nimi, las cały kopij widać było.

Na pierwszy rzut oka poznał ks. Chotek prawdę słów wojewody; orszak arcybiskupi był za silny na obronę osoby jego, żołnierz ten inne musiał mieć przeznaczenie. Nie zaciągając nawet w podwórce probostwa, pułk kopijników wprost się posunął krokiem powolnym ku bramie Floryańskiej, tak, jakby miał zamiar wniknąć do miasta.

Lecz dowodzący, pomiędzy którymi byli i dwaj z zasłoniętymi twarzami rycerze, spostrzegłi zawczasu, że brama była zawartą i strzeżoną.

Zatrzymali się więc, krótki czas trwało jakieś wahanie, potem kilkudziesięciu kopijników posunęli się naprzód, wprost na wrota.

Na murach stali milczący ludzie, po nad ramionami których, gdzieniegdzie sterczały berdysze. Kopijnicy podnieśli głowy. Kilku z nich podjechało do samych wrót i uderzyło w nie z lekka kopiami. Wrota zatętniały głucho.

Ponieważ oddział nie ściągnął się cały jeszcze, a coraz nowe mu przybywały posiłki, wkrótce płac cały przed bramą, dokoła jej pod murami zappełnił się tym ludem zbrojnym.

Z nad bramy nie odzywano się, a i kopijnicy, którzy z koni zsiadać poczęli, między sobą tylko się nawoływali.

Czas jakiś trwało obustronne wyczekiwanie.

Wtem mała furta otworzyła się żywo, trzech ludzi w strojach mieszczańskich wyszło z niej, i obejrzawszy się zmierzało ku probostwu.

Niełatwo było przecisnąć się między ludźmi i końmi, lecz może w nadziei, że coś dobrego z sobą niosą, pnszczono ich dalej.

Arcybiskup, pomodliwszy się w kościele, właśnie powracał na probostwo, gdy mu ks. Chotek dał znać o posłach z miasta.

Gdyby nie wiadzano o zamiarach z jakim arcybiskup przybywał, i kogo z sobą prowadził, twarz biednego kapłana, trwożliwie złożone ręce jego, wejście nieśmiałe i niespokojne byłyby go zdradziły.

Na czele poselstwa stał radny miasta, który od pocałowania ręki arcypasterza rozpoczął i westchnął ciężko.

— Przychodzimy powitać waszą pasterską miłość, pokłonić się jej i prosić o błogosławieństwo.

Tu otarł pot orator i zadławił się.

— Mamy też zlecenie od pana krakowskiego — dodał — tyczące się orszaku zbrojnego miłości waszej.

— Właśnie — odezwał się głosem trochę niepewnym Bodzanta — nie mam go tu gdzie pomieścić. Spodziewałem się, że mi ludzi moich na gospody do miasta wpuszcicie.

Mówiący zamilkł trochę.

— Rozkazanie jest dla wszystkich — rzekł po namyśle — w ogóle zbrojnych do miasta nie wpuszczać. Nie możemy uczynić tego...

Mówił jeszcze, zakłopotany wielce orator miejski, nie śmiejąc ostrzej i stanowczo przeciwko duchownemu wystąpić, gdy szmer dał się słyszeć w dziedzińcu, potem w sieni, i malutka z twarzą cierpiącą postać biskupa krakowskiego Jana z Radlic ukazała w progu.

Natychmiast czując, że to go może od ciężkiego uwolnić obowiązku, poseł miejski cofać się zaczął do progu.

Wstał ks. Bodzanta i serdecznym uściskiem przyjął biskupa, którego około siebie posadził.

Rozmowa zaczęła się cicha, tak cicha, że jej posłowie nawet, stojący opodał nieco, słyszeć nie mogli. Bodzanta wydawał się strwożonym i niespokojnym.

— Ludzi moich nie chcą wpuszczać do miasta — rzekł.

— Tak, i przybycie ich zrobiło tu niepokój wielki — odpowiedział Radlica. — Nie będę wam tań tego. Siłę nawet całą zbrojną miejską zwołano na obronę.

Bodzanta poruszył się niespokojnie.

— Powszechnie utrzymują — dodał biskup — że prowadzicie z sobą Semka Mazowieckiego.

Twarz arcybiskupa oblała się rumieńcem, załamał ręce, nie umiał nic odpowiedzieć.

— Jeśli tak jest, a nawet gdyby to tylko było posadzenie fałszywe, miasto pozostanie zamkniętem, gotowe jest bronić się i siłą odpierać.

Arcybiskup milczał wpatrując się w Radlicę.

— Ma więc tu ten wybrany od narodu nieprzyjaciół tak zawziętych?—zapytał cicho.

— Niestety—mówił dalej biskup spokojnie—ma ich dosyć. Prawie wszyscy Krakowianie słyszeć o nim nie chcą, a najsilniejsi z nich Dobiesław z Kurozwęk i młody wojewoda są najzawziętszemi.

Nie knście się o rzecz niemożliwą—dodał Radlica.

— Zawczasu więc tu—począł arcybiskup smutnie, wieść tę przyniesiono, puszczone.

— Od dni kilkunastu bramy są strzeżone—odparł biskup.

Zaczęli szeptać pocichu.

Gdy się to działo na probostwie, z szeregów kopijników dwaj przyłbicami zakryci rycerze wystąpili, zsiadli z koni i żywym krokiem biegli tu także. W ganku jeden z nich rzucił pytanie, czy sam był arcybiskup, i po otrzymaniu odpowiedzi, weszli na przeciw do izby niezajętej.

Kilku księży znajdujących się tu, natychmiast zobaczywszy ich, ustąpiło.

Pierwszy, który hełm zdjął i rzucił go na stół ze szczękiem wielkim, był książę Semko. Twarz jego pod przyłbicą rozgrzana, okryta potem, była straszna wyrazem gniewu do najwyższego stopnia podnieconego.

Drżał cały, słowa nie mogąc wyrzec. Tak samo dwie rękawice żelazne ściągnął i cisnął precz...

Z pod drugiego hełmu ukazała się męzka, spokojniejsza twarz Bartosza z Odolanowa, który czoło miał zmarszczone, lecz panem był siebie.

— Zatem zdradzono nas! — krzyknął książę — wszystko stracone, a ja znowu na urągowisko ich będę wystawiony! Lecz, na Boga, nie o koronę idzie, o cześć.

Głos mu drgał przerywany.

Pięciuset takich ludzi, jakich my z sobą mamy, starczy na zdobycie bramy... Siłą ją weźmiemy...



— Niepodobieństwo—rzekł zimno i powolnie Bartosz. — Naprzód potrzeba wyczerpać wszelkie środki.

— Żadnych niepozostało.

— Czekam na wiadomość z miasta—dodał starosta—nie straciłem nadziei.

Semko rzucił się rozpaczliwie na ławę.

— Wszystkie te skryte i tajemne roboty, zyskiwania ludzi, rachuby na nicopatrzących, nie zdały się na nic. Miecza dobyć i mieczem trzeba zdobyć, czego inaczej mieć nie można.

— Na to czas przyjdzie — odparł Bartosz — lecz Kraków, gdybyśmy go dziś w ten sposób posiadli, jutroby nam był wydarty, a sprawie miłości waszej, stałaby się krzywda.

— Sprawie mojej już się nic gorszego stać nie może nadto co jest—wybuchnął Semko.—Mam ją za straconą...

— A ja wierzę w nią i trzymam za wygraną, nawet gdybyśmy Krakowa nie mieli w ręku.

Książę przerwał gwałtownie przekleństwem jakimś bezmyślnem. Patrzył nań Bartosz jak gdyby czekał uspokojenia, lecz to nie przychodziło.

Czas upływał, mrok wieczora coraz gęstszy zapadał. Z podwórców dochodziły wykrzyki żołnierzy i szmery... Siedzieli w ponurem milczeniu, gdy książdz Chotek drzwi uchyliwszy, wezwał ich do arcybiskupa.

---

VII.

Bobrek przybywszy do Krakowa na zwykłą gospodę, która wszystkim jemu podobnym wysłańcom krzyżackim służyła, nie próżnował ani godziny.

Natychmiast przestrogę o nadciąganiu Semka przesłał panu krakowskiemu, który, zkądinąd już będąc zawiadomionym, miał się na baczności.

Obowiązek więc swój spełnił, ale było w nim coś natrny kreta, który, nawet bez potrzeby musi się kopać pod ziemią, coś knuć i komuś szkodzić. Starał się więc korzystać ze swojego pobytu w Krakowie, dla wywiedzenia się o położeniu, o usposobieniach, o tem jak tu stała sprawa Semka, i co myślano z trzynastoletnią królową a przyszłą królową. Wieści chodziły, że matka jej Elżbieta, na usilne nalegania panów małopolskich, godziła się na to, aby im dać swobodę, nie wiązać Wilhelmem Rakuzkim, i zostawić wybór męża i panującego.

Dla panów zakonu teutońskiego było rzeczą największej wagi, kto mógł być tym przyszłym mężem młodziuchnej królowej.

Pomimo zabiegów i starań, aby się czegoś dowiedzieć pewnego w tej mierze, Bobrek nic nie pochwycił, bo albo jeszcze stałe nie było nic postanowionego, albo się z tem tajono.

Można się było domyśleć, że panowie małopolscy, w których ręku miała pozostać królowa, chcieli zwlekać z wydaniem za mąż, aby jak najdłużej w miejscu jej rządzić.

Bobrkowi szło o to, aby zawiózł Krzyżakom pewność, iż w żadnym razie Semko tym wybranym nie będzie, a w Krakowie zapewniono go najmocniej, iż głównie Spytek z Mielsztyna, z nim Jaśko z Tęczyna i inni byli jego nieprzebragani przeciwnikami.

Dowiedział się też wypadkiem, że przybywający Semko, oprócz nadziei opanowania Krakowa, miał i drugą, że od tutejszych żydów potrafi dostać pieniędzy.

Abram i Lewek dwaj najmajętniejsi ówcześni Izraelici, którzy oprócz tego co sami mieli, władali tem co w rękach ich współwyznawców było, zobowiązali się zawczasu dostarczyć księciu mazowieckiemu sumę, jakiej potrzebował.

Bohrek dowiedziawszy się o tem, nie tracąc czasu w Towarzystwie Bieniasza, udał się do Lewka, który sprawę tę miał w ręku. We dwu razem usiłowali przekonać bogatego kapitalistę, że gorzej swych grzywien umieścić nie mógł jak na Mazurach; bo Semko, według ich powieści, żadnej nadziei nie miał dostania się do tronu, a i Mazowsze samo zagrożonem było, zajęchanem być mogło, brat zaś Janusz zupełnie od wszelkiego współnictwa z bratem się cofał.

Lewek, człek małomówny, a przenikający rzeczy, w początkach podejrzewał łaskawych doradców, iż cel jakiś uboczny mieć mogli, okazując taką troskliwość o jego pieniądze.

Odpowiedział nieco szydersko, zapierając się wręcz tego, żeby myślał o pożyczaniu grosza księciu mazowieckiemu, wreście uśmiechając się dodał, że nikomu to przecie nie mogło szkodzić, gdyby on własne pieniądze utracił?

Zbył ich tem żyd, grzecznie się natrętom opędziwszy, lecz poszedł na zwiady, przekonał się, że Semka sprawa źle stała, i wiedział już jak ma postąpić.

Gdy nazajutrz rano wezwano go na probostwo św. Floryana potajemnie dla układów o pieniądze, Lewko przyodziawszy się tak, aby niekoniecznie w nim poznać było można żyda, stawiał się księcia.

Bartosz był nieodstępny tutaj i przy układach także miał pomagać.

Sam Semko czuł się do nich niezręcznym, powie-

rzywszy staremu i doświadczonemu wojewodzie Abramowi.

Wchodząc poznał Lewko po twarzach, że tu najlepiej stać musiała sprawa. Wszystkie oblicza chmurne były i zasępione.

Na zapytanie wojewody o przyrzeczone pieniądze, Lewek odpowiedział naprzód ciężkiem westchnieniem.

— O pieniądź gotowy — rzekł — nigdy nie było trudniej. Wiadomo, że my ani roli, ani kopalni nie mamy. Grosz nam przychodzi z handlu, a handel z powodu niepokojów w kraju, wcale nie idzie. I pieniądź więc nie przyplywa. Chcąc go dostać, ciężkim warunkom poddać się potrzeba.

Socha więc żądał tych warunków, na co Lewek, cokolwiek się zawahawszy odpowiedział, że głównym było, aby książę Kraków zajął. Naówczas pieniądze by się znaleźć mogły pewnie, ale bez tego, trudno aby mu usłużyli.

Niespodziewane wymaganie wszystkich wprowadziło w chwilowe osłupienie. Potrzebowali właśnie pieniędzy, aby z ich pomocą starać się dostać do Krakowa, a tu dawano za warunek, aby wprzódy miasto zdobyto.

Socha i gorący Bartosz napróżno starali się izraelitę przekonać o niedorzeczności tego żądania. Lewek najspokojniej ale niewzruszenie stał przy nim, oświadczając w końcu pokornie, iż książę mógł u kogo innego szukać pieniędzy, jeżeli chciał, a u żydów inaczej jak po wjeździe do Krakowa, dostać ich niepodobna będzie.

Po półgodzinnym próżnym sporze, Lewek pokłoniwszy się oddalił.

Dognał go w ganku Bartosz usiłując obietnicami różnemi skusić, ale znalazł niezachwianym.

Właśnie gdy się to odbywało, z drugiej strony, rozmaitemi drogami starano się trafić do miasta, i wyjednać otwarcie bram, a przekonywano się, że żadna

siła w świecie nie potrafi wymódl tego na mieszczanach.

Od wczorajszego wieczora Kraków był jakby podżegniony jakimś duchem wojennym, który wszystkich umysły opanował.

Głoszono, że Semko był nieprzyjacielem swobód miejskich, że był najstraszniejszym mieszczaństwa wrogiem.

Zapał ogarniał wszystkich, gotowano się jak przeciw napaści tatarskiej bronić przeciw niemu i arcybiskupowi.

Rozgorączkowanie dochodziło do dawno niewidzianego stopnia, co żyło nawlekało zbroje, opatrywało się w miecze, berdysze, siekiery, oszczepy...

Niepotrzeba było ani naglić, ni napędzać. Czeladź porzucała warsztaty, kupeczyki uciekali ze sklepów, co żyło uzbrajało się i gromadziło na murach i basztach. Ochota bojowania była niesłychana.

Wprawdzie zaciągi te nie miały ani zbyt rycerskiej postawy, ani wprawy, ani umiejętności wojowania, lecz w obronie miasta, wedle słów Wróbla, każdy dobrym był, kto mógł tłuc silnie.

— Byle pięści!! — mówił stary piwem popijając.

Tych zaś pięści garnęło się więcej może niż na razie było potrzeba, a widok potężnych kopijników leżących obozem u Floryańskiej bramy, wcale nie ustraszał. Prawda, że grube mury, potężne rondelle i wieżyce od nich dzieliły.

Czeladź miejska tymczasem, przy cieple majowem, zażywała przyjemności koczowania po ulicach, siedzenia pod murami i wywoływania a odgrażania się głośnego przeciw rycerstwu, co zawsze dla gawiedzi jest miłą rozrywką.

Młodzież zamiast skórzanych fartuchów powdzwawszy stare blachy, pookrywawszy głowy żelaznemi garnuszkami, w ręce ujawszy młoty i obuchy, cieszyła się swem bohaterstwem.

Wróbel i inni dowódcy, nie mogąc liczyć na

wprawę i doskonałość żołnierza swego, dumni byli jego liczbą. Z ks. arcybiskupem przybyło co najwięcej pięciuset żelaznych mężów, miasto przeciw nim mogło postawić kilka tysięcy.

Przez cały ten dzień, przy ogromnym szczęku, brzęku, szafunku głosów, i poruszaniu się nieustannie, sposobiono się do obrony. Inne wrota miejskie, na wszelki wypadek miały straże i gromadki obrońców, ale główne siły skupiały się przy bramie Fłoryańskiej.

Nie ludząc się tym wielkim zapalem żołnierza ochotnika, Dobiesław z Kurozwęk czuł, że gdyby się stan ten miał przeciągnąć i zapal musiał ostygnąć i zbiegowisko powoliby się rozsypało. Trzeba więc było przyspieszyć koniec jakiś, wystąpieniem stanowczem.

Na probostwie spierano się jeszcze w niepewności co poczynać miano, gdy na Ratuszu już Rada się zebrała i z południa uchwalono wysłać do Bartosza z Odolanowa, bo książę był za nim ukryty i jego się zapierano, z rycerskim wypowiedzeniem albo raczej wyzwaniem. Krok to był śmiały lecz konieczny.

Dobrano ludzi, uzbrojono ich pięknie, i posły te, z pewną okazałością, uroczyście udały się na probostwo. Mieli oni polecenie nie z arcybiskupem mówić, ale z dowódcą kopijników.

Samo już przybycie tych od mieszczan wyprawionych, rycerskiej postawy ludzi, zaniepokoiło księcia i Bartosza... Gdy spytali o dowódcę, chwila wahania nastąpiła, kogo im postawić. Sam Bartosz się ofiarował, książę w sąsiedniej izbie z za drzwi miał się przysłuchiwać rozprawie.

Wybrany przez Dobiesława z Kurozwęk, towarzyszący czerwonemu, wąsatemu i potężnemu wzrostem Wróblowi, niejaki Jonasz Mroczek, słynny był z wyparzonej gęby i łatwego słowa. Przygotował się on dobrze do spełnienia tego co mu zlecono, a piękna

rycerska i pańska postawa Bartosza, nie odjęła mu odwagi.

Pokłoniwszy się nieco, zabrał głos natychmiast.

— Miasto stoliczne wyprawiło nas tu, z pozdrowieniem i oświadczeniem zarazem, iż nagromadzenie takiej siły zbrojnej u bram swych widzi dla siebie niebezpiecznem, a dla handlu i spraw swych szkodliwem. Uprasza więc ono dowódcę, aby odstąpił od bram i od Krakowa się oddalił.

Spojrzał Mroczek na Bartosza, który wąsa pocierał.

— A cóż będzie jeżeli my, niemający żadnych nieprzyjacielskich zamiarów, waszmościów groźbie nie ulegniemy? — zapytał pan z Odolanowa.

Niedługo myślał Mroczek.

— Mamy zlecenie naówczas mir wam wypowiedzieć — rzekł sucho i stanowczo. — W stanie tym niecznośnym oblężenia trwać nie możemy, będziemy więc sobie radzić jak się nam zda... Groźba za groźbę, my się też do oręża weźmiemy.

— Jakto? — wykrzyknął Bartosz — moglibyście na spokojnych ludzi napaść i...

— Z niewoli uwolnić się wszelki środek dobry — rzekł Mroczek. — Nasza rzecz co poczniemy, a z tem się naprzód chwalić nie będziemy. Co mi zlecono to oświadczam wam, jeżeli nie ustąpicie natychmiast, mir wypowiedziany... Miejcie się więc na baczności.

Mroczek dokończywszy tego przemówienia, nie znajdując potrzebnem tłumaczyć się więcej, skłonił się nieco, Wróbel też, i uni za nimi, i gdy Bartosz stał jeszcze zaniemiały z podziwienia nad tem zuchwałością, oni mierzonym krokiem, nie myśląc już więcej rozprawiać, wyszli z izby, w takim samym porządku jak przyciągnęli, wracając do bramy, która się szybko otworzyła i zamknęła za nimi.

Książę, który za drzwiami z gniewu trząsł się słuchając, wybiegł do pierwszej izby wściekły.

Bartosz ramionami zlekka poruszał.

— Niema tu co stać — rzekł — trzeba co rychlej ciągnąć dalej, mamy co innego do czynienia.

— Jakto? uledez groźbie, uciekać! — przerwał Semko.

— Pokażemy gdzieindziej, że się nie lękamy boju, lecz tu, nie opłaciłoby się już wojowanie. Są na baczności, siły nagromadzili — mówił Bartosz.

— Lecz odstąpić na ich rozkaz, natychmiast! srom! hańba! — wołał Semko — tego nie dopuszczę...

— Postojemy więc do jutra rana — odparł Bartosz — jeżeli miłość wasza tego żądaś, lecz pójdę i wydam rozkazy, aby zbroi nikt się nie ważył zrzucać przez noc, i koni rozsiodływać... Mir wypowiedziany... Gawieź ta sposobną chwilę upatrzwszy, może nam spaść na karki, otoczyć, a stracić z najlepszego żołnierza, choćby niewielu, szkoda niepowetowana, potrzebni są nam na Kujawy...

Semka myśl sromotnego cofania się przywodziła do rozpacz. Bartosz spokojniej się zapatrywał na to...

Wyszedł natychmiast przywołując sotników i oznajmując im, że mir wypowiedziany, a czujność przez noc ma być jak największa.

Nazajutrz do dnia wyruszyć miano.

Arcybiskup i Bartosz nie byli bez stosunków z miastem. Pojedynczym ludziom, zwłaszcza duchownym, na probostwo przychodzić nie można było wzbronić. Miano tu więc wiadomości dokładne o tem co się działo w mieście, i kto był przyczyną tego zuchwałego wystąpienia. Duchowni panowie, trwożliwego ducha, nie owieszkali Bodzanty nastraszyć, przynosząc mu wiadomość, iż w mieście postanowiono napaść nocą na kopijników i wyrzezać ich bez miłosierdzia.

Słowo jakieś w ulicy na wiatr rzucone, doszedłszy do uszu kanonika Alberta, urosło na probostwie w trwogę i groźbę.

Wyprawiono powtórnie kopijnikom rozkazy, ażeby nie śmieli odpoczywać i rozdziewać się.



Widok sąsiednich murów, mógł poniekąd utwierdzać w przekonaniu, iż wycieczkę z miasta zamierzano, gdyż roił się tam lud, tłoczył, ścisnął, wywoływał i zdawał przygotować do wystąpienia... Ludzie z ciężkimi kuszami na ramionach, przechadzali się po nad bramą; głos Wróbla brzmiał jak trąba.

Bartosz nie miałby obawy najmniejszej w polu, lecz tu w ciasnem miejscu zamknięty pod murami, nie mogąc się rozwinać, nie wiedząc ani godziny, ani strony z której napastowanym być mógł, musiał się mieć na baczności. Znał on swych ludzi, zużeni byli podróżą, chciwi spoczynku, jadła i napitku, beczki z piwem wypróżniały się a w głowach szumiało.

Pod wieczór więc strażę potrzeba było ustawić, i niepuszczać oka z bramy... Niepokój ten możeby był ustał później nieco, gdyby w mieście się ludzie uspokoili, tu zaś przeciwnie z nocą ruch się zwiększał... Z gwaru wnosić było można, że po za wrotami w ulicy Floryańskiej znaczne siły stały nagromadzone... Światło od pochodni po murach migotało, głosy się wyrывały ciągle, brzęk nie ustawał.

Bartosz nie zdjął zbroi z siebie, postanowiwszy czekać tak do dnia, a książę rzucił się na ławę, wsparłszy na rękę, i niewiele też zażył spoczynku.

Lada wykrzyk od bram, poruszenie jakieś, niespokój między końmi i ludźmi, wszystkich zmuszał porywać się na nogi. Bartosz wybiegał na ganek.

Wszystkie wiadomości z miasta przynoszone, zgodne w tem były, że najwięcej do oporu ze strony Krakowian, podbudził ich Spytek z Mielsztyna.

Chociaż Dobiesław równie był czynnym, jemu przypisywano największą zaciętość przeciwko Semkowi, gdyż on się z nią najmniej tał.

Książę też poprzysiągł zemstę.

Tej nocy jeszcze zerwał się i pobiegł do Bartosza, dopytując go, czyli po drodze dóbr i dworów Spytko nie było, lub choćby nałożyć drogi przyszło, czyby zwrócić nie można pochodu przez nie, aby je zniszczyć.

Malował się w tem ów ojcowski gwałtowny a popędliwy charakter księcia, który w pierwszej guiewu chwili, gotów się był ważyć na wszystko, a urazy przebaczyć nie umiał.

Bartosz takiemu jątzeniu nieprzyjaciela był przeciwnym, ale Semko nie dał się powściągnąć.

— Nie zechcecie wy ze mną, pójdę sam. Zemstę mieć muszę i będę.

Nie mógł zataić Bartosz, że prawie na drodze leżał Książ wielki, jenna ze znaczniejszych rezydencyj pana na Mielsztynie, a książę poprzysiągł natychmiast, że go w perzynę obróci.

Próżnem było odwodzić od tego, choć Bartosz przekonywał, że pilniejszem mieli opanować Kalisz i Brześć Kujawski, zając Kujawy i Łęczyckie, gdzie już na nich czekali przyjaciele.

Według Semka, jedno drugiemu nie przeszkadzało, chciał ciągnąć na Książ, aby go zniszczyć i spalić.

Śmiał się mówiąc o tem, tak myśl pomsty upajała go rozkoszą jakąś.

Noc majowa niedługa, dla tych, co ją bezsennie, we zbrojach, przy koniach, czuwając spędzić musieli, wydała się wiekuistą. Kilka razy popłoch rzucono, i ludzie co ledwie znużeni przysiedli, porywali się nagle, a gdy trwoga okazała się prózną, znowu ją lada szmer podejrzany wznawiał.

Z ukazaniem się brzasku na niebie, wszystko zaczęło się sposobić do drogi, wydane już były rozkazy.

Czekać jednak musiano białego dnia, gdyż arcybiskup nie chciał tu sam pozostać, a bez mszy wyruszyć nie mógł. Tabory wojska, namioty, oręż musiano na wozy znowu mieścić w części, i na długą podróż się sposobić.

Bodzanta jechał uciśniony na duszy, smutny, upokorzony, może wyrzucając sobie, iż dał się ująć dla Semka, którego przyszłość teraz wydawała się bardzo niepewną.

Sam on zdawał się wątpić o niej, chociaż gorączkowo dobijać się jej bądź co bądź, postanowił.

Jeden Bartosz wcale nie tracił nadziei i mężstwa, widział wszystko jasnem i wróżył zwycięstwo.

Zdobycia Kujaw był pewnym, zatem miało iść Łęczyckie a potem Wielkopolska się też musiała poddać... Domaratowe stronnictwo osłabione, nie zdawało się strasznem, choć arcybiskup wróżył, że ono teraz tajemnie przez Krakowian do nowego życia powołanem zostanie...

Słońce wschodziło na pięknem niebie wiosennego poranka, gdy z bólem w sercach, z gniewem w piersi, ruszyli ci, co tu z najlepszymi przybyli nadziejami, Semko z przyłbicą spuszczoną, sromem na czole, Bartosz z twarzą odkrytą, arcybiskup, na swym wozie blady, z różańcem w ręku...

Kilku duchownych odprowadzali go do bramy, ledwie ich widział załzawionemi oczyma.

Jechał otoczony tą siłą zbrojną, czując się jeńcem i trapiąc w duszy.

Ażeby widokiem odciągającego wojska się napaść, tłum ogromny zebrał się, mimo rannej godziny, na murach, w bramie, w przedmieściu.

Wesołe okrzyki, w których uchodzącym brzmiało dotkliwe szyderstwo, wyrywały się kiedy niekiedy z tej ciszy... Cieszono i klaskano.

Wielki ciężar spadał z ramion tym, co się gotowali do obrony miasta, bo siła, którą mieli teraz przed sobą, wcale była nie do pogardzenia. Z wejścia na tych dobranych ludzi, łatwo w nich poznawano sam wybór i kwiat wojska mazowieckiego i wielkopolskiego.

Pięciuset takich kopijników, na owe czasy, stanowili już znaczną siłę.

Oglądając się na mury. Bartosz byłby może dostrzegł i poznał, pomiędzy ciekawemi i Dobiesława z Kurozwęk i młodego wojewodę. Oba oni tam byli, a Spytek uśmiechał się zwycięsko...

Czy Semko poznał swojego wroga, trudno zgadnąć, lecz powtarzał ciągle idącemu przy sobie Bartoszewi.

— Na Książ!... na Książ...

Powolnie odbyło się to przeciąganie kopijników pod murami i idących za nimi wozów podwód, a potem wlokących się ciurów i całej tej obozowej hałastry, której nigdy żadnemu oddziałowi nie braknie.

Ostatki ciągnęły drogą jeszcze, gdy zwolna wrota się otworzyły i tłum za nimi stojący wysypał z okrzykiem zwyciężkim.

W istocie zwycięstwo to było bezkrwawe, łatwo odniesione, które w niepospolitą pychę wbiło mieszczan krakowskich, tak, że długo o nim zapomnieć nie mogli i chlubili się jako dziełem wielkiem.

Szczęściu jednak więcej byli winni niż własnym zabiegom i ofiarami wielkimi nie okupili go.

Przywrócenie tylko powszedniego porządku kosztowało nieco czasu, bo czeladź duchem wojennym zarzazana, niełatwo się dała napędzić do cichej pracy. Wielu też bohaterom tych dni, którzy mieli zwierzchność powierzoną nad młodszymi, głowy się pozawracaly.

Oprócz innych we Floryańskiej bramie widzieć było można, w kąciku przyczajonego Bobrka, który też życzył sobie być świadkiem naocznym tego odegnania Semka od wrot stolicy.

Złośliwe stworzenie, każdy widok cudzego upadku radował i nasyczał.

Mówił sobie, choć niesłusznie, iż i on się przyczynił do tego zwycięstwa nad księciem mazowieckim.

Nie miał tu już nic do czynienia, oprócz szpiegowania Hawnula, który pozostał dla niego zagadką. Potrzebując powrócić nazad ku Toruniowi, miał jaką nadzieję, że potrafi znowu nastreczyć się staroście i na koscie jego podróż odbywać. Wiedział, że Hawnul się u Kecerów znajdował, lecz chciał odegrać rolę prostaczka dobrodusznego i poszedł się wy-

wiadywać niby o niego u brata Antoniusza, do klasztoru Franciszkanów pod zamek.

Nie miał tu najmuiejszej trudności w znalezieniu starego zakonnika, który zawsze czemś zajęty, w kościele robił porządek, i wyszedł do niego z miotłą w rękę. Najcięższe i najwstrętliwsze, dla drugich roboty jemu były najmilsze.

Czy w ciągu razem odbywanej drogi, brat Antoniusz poznał lepiej klechę, i domyślił się w nim jaszczurczej natury, trudno było się domyśleć, bo go powitał zwykłym swym uśmiechem łagodnym.

Klecha patrzył na miotłę w rękach starca z podziwieniem i wciąż jakąś — nieszczerą, lecz dobrze odegraną.

Po pozdrowieniu, Bobrek się uśmiechnął przypochlebiając.

— Mnie już czas powracać do Wielkopolski — rzekł — nie wiem, co się dzieje z kupcem naszym, gdyby i jemu o te czasy przypadał powrót, mógłbym mu posłużyć może.

Brat Antoniusz nie zaraz odpowiedział, osadzał mocniej miotłę, którą w rękach trzymał.

— Nie nie wiem — odparł — prawdopodobnie ja tu pozostanę.

— A gdzieżby się dowiedzieć o niego? — zapytał Bobrek.

Po namyśle, zakonnik wskazał mu dom Keczera.

Króciuchno tu zabawiwszy, klecha zwrócił się ku rynkowi. Hawnul był tu jeszcze. Przyjął go chłodno, z chmurnem dość czołem, oświadczając, że o wyjeździe, z powodu spraw handlowych, dość zawikłanych, nie jeszcze stanowczo nie wie, a czekać na siebie nie radzi.

Usiłował mu się przymilić klecha, lecz Hawnul był w usposobieniu jakimś nie zbyt łagodnym i do rozmowy nie okazywał ochoty. Pozyskać sobie nie mogąc niczem, klecha pożegnał go tem, że jeśli by nie odjechał przyjdzie się dowiedzieć jeszcze.

Tymczasem sznurkował po mieście. Jako klecha i zawsze niby do stanu duchownego się przygotowyjący, miał on stosunki rozliczne z miejscowymi kapłanami. Udało mu się nie raz od nich zdobyć ważną jakąś wiadomość, lecz nigdy tak szczęśliwie, jak teraz mu się nie powiodło.

Biskup krakowski Radlica, który się znajdował u Jaśka z Tęczyna, pamiętnego wieczora, gdy do niego Hawnula wezwano, tak był przejęty wielkością myśli tu przyniesionej, iż zapomniawszy o obowiązku zachowania tajemnicy, zdradził się z nią przed jedynym przyjacielem osiemdziesięcioletnim kanonikiem Robiczkiem.

Człowiek to był świątobliwości wielkiej, całkiem oderwany od świata, pędzący życie w praktykach religijnych, cały w Bogu lecz wiekiem i samem tem usposobieniem zdzieciniąły.

Podzielił się z nim biskup wiadomością tą aby się staruszkowi dusza rozradowała. Ze złożonemi rękami, z uniesieniem przyjął cudowną nowinę ks. Robiczek, ale mu ona piersi wezbrane szczęściem rozsa-  
dzała.

Miliony dusz zyskane Chrystusowi!

— Gdyby to mogły oglądać jeszcze oczy moje a potem zamknąć się na wieki! — tak wołał starowina, a gdy drżący od radości, przejęty cały wrócił do swej celki, i zastał w niej chłopaka co mu posługiwał, pocałował go w czoło i rzekł na ucho.

— Ciesz się!!!

Nie zrozumiał tego chłopak, ale dobrodzieja w rękę pocałował, a ten na kolana padłszy naprzód to szczęście swe wylał na modlitwie wdzięczną Bogu dnszą.

Zdawało mu się, że to już było rzeczywistością, że musiało się dokonać w prędkce, że w tem widział palec Opatrzności nad Polską.

Wstrzymywał się potem, jak mógł staruszek z rozpowiadaniem o tem co Polskę czekało, że ona apo-

stołem Chrystusowym stać się miała, lecz gdy jednego ranka przywłókł się do niego Bobrek, całując go po rękach, a udając dobrodusznego biedaczka, aby coś od niego wyłudzić, — pocziwy starowina zawiązawszy z nim rozmowę o Wielkiej Polsce, o Mazurach, o Krzyżakach o Litwie, gdy o tej wspomniał uniósł się i zawołał.

— Bóg wielki! nieszczęścia nasze na to nam posłużą, i na to je Bóg zesłał opatrzny, abyśmy pogan tych my jemu przywiedli do wielkiej Piotrowej owczarni.

Wyrwało się to mimowoli z ust staruszkowi, wpadło do ucha Bobrkowi, który pobladł i tak zrećźnie się wziął do badania Robiczka, iż ten mu w końcu wszystko wyśpiewał, jako to rzecz była pewna i niezawodna, bo ztamtąd nawet już posły przybyły.

Domyśleć się, kto był tym posłem, Bobrek mógł łatwo. Zrozumiał wszystko, lecz tak był odurzony zrazu niespodzianą zdobyczą, wielkością połowu — potem go jakaś trwoga przejęła o zakon, iż nawet radości, jakiej się staruszek spodziewał, okazać nie umiał.

Zamruczał coś niedowierzająco, ks. Robiczek go upewnił, że to rzecz co się spełnić musiała i tak się rozeszli.

Spokojnego charakteru, umiejący panować nad sobą klecha, gdy wyszedł z celi staruszka, uczuł się jakby pijanym, uszom swym nie wierzył jeszcze. Największe nieszczęście, jakie mogło kiedy grozić zakonowi, było w istocie bliskiem spełnienia?

On jeden wiedział o tem, obowiązkiem jego było biedz na złamanie karku, aby wołać ratunku i bić na trwogę. Nie miał chwili do stracenia. Zdawało mu się najprostszą rzeczą, dla zapobieżenia temu, pochwycić Hawnula na drodze, bodaj go zabić, aby układy się zerwały.

Przerażony, sam nie wiedząc jak przebiegł ulice i znalazł się w domu Bieniasza, w którym gdy padł



na ławę, a gospodarz go pytać zaczął, co mu się stało, jak oszalały rwał się za włosy, mówić nie nie mogąc. Zazaądał tylko swojego węzelka, aby tegoż dnia jeszcze jechać ztąd.

Niemiec gospodarz widział z obejścia się z sobą gościa, iż coś nadzwyczaj ważnego zająć musiało, gdyż rano był zupełnie spokojny i wcale o wyjeździe nie myślał, lecz dowiedzieć się od niego nie nie mógł.

Bobrek sam chciał być w posiadaniu wielkiej tajemnicy, aby ją pierwszy przywiózł zakonowi.

Nalegał, prosił, błagał, aby mu wyjazd ułatwiono i śpieszył tak, że pod noc wybrał się z miasta, mimo grożącej burzy.

Hawnul miał się jeszcze w Krakowie zatrzymać, mogło się więc udać klesze wyprzedzić go, dostać się do Torunia i urządzić gdzieś zasadzkę coby porwała posła.

Wedle ówczesnego bardzo pospolitego obyczaju badania na mękach, przez ogień i wodę, wyciągania stawów itp. prawdy się z niego dowiedzieć mogli Krzyżacy. Zgładzić go zresztą potrzeba było.

Najgłówniejszym dla Bobrka stawał się pośpiech. Ubiedz musiał Hawnula. W powrocie nie jedną, ale kilka na niego zasadzek można było postawić tak, aby w którą z nich wpaść musiał koniecznie.

Koń, którego mu dostarczono w Krakowie, wprowadzie drogo kosztował kłechę, lecz to, co wiozł, mogło go opłacić. Miał jeszcze z sobą tyle grosza, że mógł go ważyć i wierzchowego, gdyby padł, innym zastąpić.

Z temi myślami, w gorączce biegł kłecha znajomymi sobie drogami, bezpieczeństwo swe nawet poświęcając dla pośpiechu.

Hawnul tymczasem zmuszonym był pozostać w Krakowie. Po długich naradach wypadło z nich wysłać z nim duchownego, któryby się chciał poświęcić



trudnemu, ale najwyższej wagi zadaniu, zbadania w miejscu Jagielly i spraw litewskich w ogóle.

Wybór trudny paść miał na Dobrogosta z Nowego Dworu, lecz i sprowadzić go i skłonić do tego było potrzeba. Starano się to z największym dokonać pośpiechem, gdyż Hawnuł naglił, a mimo to, czasu upłynęło dosyć, nim trzymana w największej tajemnicy wyprawa ta dokonać się mogła.

Szczęściem Hawnuł miał zręczność z pomocą zakonników św. Franciszka posłać wiadomość o sobie uspokajającą, sam zaś czekał, widząc, że sprawa obiecywała, iż starania jego dla niej nie będą nadaremne.

Nim mógł z Krakowa wyruszyć, przyszła tu wieść o zniszczeniu i łupieży Księża wielkiego, przez zemstę nad Spytkiem.

Ciągnący napowrót Semko nie pominął go i dokonał co postanowił. Było to, jakby pierwsze wypowiedzenie wojny Małopolanom i groźba, której nikt się nie ułękł.

Spytek z pańską obojętnością odebrał wiadomość o spaleniu swojego dworu, rozpędzeniu ludzi, pożarze miasta i wsi okolicznych.

Duma nie pozwalała mu okazać nawet, że strata poniesiona wielką była i dotkliwą.

Ubolewali nad nim, oburzeni przyjaciele, Spytek pogodną twarzą i milczeniem zbywał kłeskę.

Dałeko ważniejszem, według niego, było, iż Semko szedł na Kujawy z siłą dosyć znaczną i mógł je opanować, a miał z sobą tego Bartosza, który był dńszę wszystkich o koronę zamachów i arcybiskupa, który mógł powagą wszystko uświęcić i skrzepić.

Hasłem odtąd stało się dla panów krakowskich, obalenie księcia mazowieckiego, siłą, czy jakimkolwiekbądź środkiem.

Im więcej okazywał energii, tem dla nich był straszniejszym.

W milczeniu wszyscy do tego podali sobie ręce.

Hawnul zmuszony czekać bezczynnie, wystawionym był na prawdziwe męczarnie. Do Krakowa dochodziły wieści najrozmaitsze, które wstrząsały nim i odbierały nadzieję. Cel podróży zdawał się chybiony, czas stracony, a gniew Jagiełły nieuchronnym, poniekąd zasłużonym, bo Hawnul winnym był powzięcia myśli zuchwalej, namowy do niej, i nczynionego kroku.

Biedny starosta pędził dni prawdziwie męczeńskie, bo nawykły do pracy, trapił się próżnowaniem, na które był skazany.

Keczer, gospodarz był w mieście zajęty, znajomości nie życzył sobie zawierać Hawnul, szedł na miasto zrana, wstępował do Franciszkanów na mszę i nabożeństwo, na cichą krótką rozmowę z bratem Antoniuszem, krążył potem po mieście i najczęściej spotykał się tam z jakąś niemiłą wiadomością.

Zewsząd przychodziły nowiny o powodzeniach nadzwyczajnych księcia mazowieckiego. Rósł w oczach ten wybrany król przyszły.

Brześć kujawski i Kruszwica już były w jego rękach, całe Kujawy zajął we władanie.

Poddawali mu zamki trzymający je, sami lub przez swoich. Abraham Socha z ludźmi książęcemi jedne po drugich zajmował.

Posłyszawszy o tem starosta, niemal zrozpaczony, pobiegł do Jaśka z Tęczyna, zdawało mu się, że tu już nic do czynienia nie ma, że wszystko stracone.

Kasztelan przyjął go z tą powagą, i krwią zimną, która go nie opuszczała. Te same wieści niepokojące doszły już były do niego i innych panów krakowskich, których Hawnul znalazł w znacznej liczbie w dworze pana na Tęczynie. Dobiesław, Spytek z Mielsztyna, Jaśko z Tarnowa, biskup Radlica zebrani byli w wielkiej izbie, o czem dowiedziawszy się starosta, chciał iść nazad, gdy go młody Tęczyński zatrzymał, a po chwili wprowadził do komnaty, w której wszyscy zgromadzeni byli.

W chwili tej wielka izba gościnna kasztelana przedstawiała obraz istnie wspaniały i uderzający.

Ci po większej części sędziwi i poważni panowie, naradzający się nad losami kraju, z czołami posepnie, siedzieli i stali, jakby senat starego Rzymu w godzinie niebezpieczeństwa, nie zdradzając sobą ani obawy, ani niepokoju, ni najmniejszej niepewności jutra. Wszystkich oblicza, nie wyjmując młodzieńczego Spytka, tchnęły mężstwem i żelazną wytrwałością.

Nie czuć było żadnego zamieszania i tego niebezpiecznego podrażnienia, które w chwilach stanowczych odejmuje panowanie nad sobą i wypadkami.

Jak sam gospodarz, tak wszyscy zdawali się zbrojni, przygotowani, niemal chłodni, choć im klęskę po klęsce przynoszono.

Kasztelan wystąpił parę kroków przeciwko Hawnulowi, na którego licu widoczna była trwoga i strapienie.

— Miłościwy panie—odezwał się zbliżając ku niemu starosta — darujcie mi, że przychodzę niepokoić was. Czuję się tu niepotrzebnym! Nie mam już ani na co czekać, ni się czego spodziewać!

Mówią, że Wielkopolska jest w rękach Semka, zajął Kujawy, zabrał Łęczyckie pono, zamki mu się poddają, nikt oporu nie stawia, wszystko stracone!

Gdy to mówił Hawnul, inni panowie, którzy już go znali z widzenia, i byli wtajemniczeni otaczać go poczęli i przysłuchiwać się.

Jaśko z Tęczyna nie przerywał mowy i nie dawał znaku po sobie, ażeby ona wrażenie czyniła na nim. Słuchał cierpliwie.

Gdy Hawnul ciężkiem westchnieniem skończywszy, spojrzał na otaczających i spostrzegł twarze nieporuszone, chłodne, majestatycznie poważne i spokojne, nie mogąc tego inaczej wytłomaczyć sobie, sądził, że są zrezygnowani na wszystko, że istotnie ratunku już niema.

Jaśko z Tęczyna, jak zwyczaj miał, pogładził

brodę i nie śpieszył z odpowiedzią — na ostatek począł zwolna.

— Straconem nic nie jest — rzekł — na zajęcie Kujaw, niestety, byliśmy przygotowani, jesteśmy na daleko więcej, chociażby Semko zajął całą Wielkopolskę, a arcybiskup go królem ogłosił — nic to nie znaczy?

— Jako? — podchwycił Hawnul — lecz jeśli go ogłosi królem?

— My go nim nie uznamy — rzekł kasztelan zwolna. — Stolica jest tu, korona w rękach królowej; prawo za nami!

Niepierwszy to raz Kraków będzie stanowił o całej monarchii i od jego posiadania zawisać będą jej losy.

Dobiesław z Kurozwęk przerwał krótko i niewyraźnie.

— W Wielkiej Polsce nie koniec, dopiero teraz się o nią walka rozpocznie. Zobaczymy, jak się dokona.

Hawnul spozierał po tych twarzach, widział je wszystkie równie wypogodzone. Trochę męztwa w niego wstąpiło.

Spytek dodał przybliżając się do Hawnula.

— Widzicie, że my powodzenia Semka wcale do serca nie bierzemy. Dajemy mu przed czasem siły wyczerpać, rzucić się i wyteżać; wszystkiemu temu w czas się koniec położy.

Zdumiony słuchał starosta.

— Byle zapóźno nie było — rzekł — zajęcie Kujaw da mu nowe siły.

— Bądźcie spokojni — rzekł — Domaratowi sprzymierzeńcy i on sam, chwilowo bezczynni ockną się. Rozkazy są wydane. Nie mamy trwogi.

Zamilkł Hawnul, a kasztelan kończył zwolna.

— Nie zapadła żadna zmiana w postanowieniach naszych, aniśmy stracili nadziei doprowadzenia sprawy do dobrego końca. Wkrótce będziemy mogli dać wam towarzysza podróży... Spodziewamy się Dobrogości, który pojedzie z wami.

Więcej jeszcze niż słowa, podzalał na Hawnula

widok tych ludzi powagą wielką odzianych, tak patrzących w przyszłość okiem niezmaconem iż, obudziłyby wiarę w każdym, nawet mniej do wierzenia usposobionym, jak on.

— Wszystko co mówicie prawdą jest — dodał, młody Spytek prawie wesoło. — Semko mój Książ bezbronny złupił i spalił, wziął Brześć kujawski, opanował Kruszwicę, zajmuje Kujawy. Słyszemy, że ma zwołać znowu do Sieradzia ludzi sobie przyjaznych. Zapewne go tam królem okrzykną, ale to nie obroni od spustoszenia Mazowsza i losu jakiego doznał Biały...

Jaśko z Tarnowa zwrócił się do starosty.

— Jagiełło był także z Mazowieckimi w sporze o granicę i wojował z nimi. Dlaczegożby teraz także nie miał korzystać i wtargnąć do dzielnicy Semka?

Hawnul nie wiedział co odpowiedzieć, lecz rada złą nie była, gdyby obawa napaści krzyżaków nie utrudziła wykonania.

— Gdy margrabia brandenburgski najedzie Mazowsze, a Domarat będzie grody napowrót odbierał; czemubyście wy nie mieli wtargnąć? — rzekł Jaśko z Tęczyna. — Trzeba złamać tego napastnika, który gwałtem chce zdobyć koronę, a ta mu nie należy.

— Nigdy on nie będzie królem u nas — rzekł pan z Tarnowa — nigdy! pamiętajcie to sobie.

— Nigdy! — powtórzył Spytek.

— Nigdy! — poczęli wtórować inni cichemi głosy.

To — nigdy — jak wyrok nieodwołalny zabrzmiało surowo, strasznie — i po niem nastąpiło milczenie długie. Hawnul uczuł się pewniejszym przyszłości.

— Powracać mi pilno i nagle potrzeba — odezwał się cicho — miłosierdzia waszego proszę, nie trzymajcie mnie tu dłużej.

Kasztelan zbliżył się do niego.

— Cierpliwości, parę dni, a wszystko się skończy po myśli, idźcie w pokój, a nie wątpcie, że to coś-my postanowili stać się musi.

Hawnul powiódł oczyma po siedzących, którzy głowy zlekka skłonili, i wyszedł z dworca kasztelana.

„Nigdy!“ brzmiało mu w uszach jeszcze, a obraz tych ludzi co je wyrzekli zimno, stanowczo i z mocnem postanowieniem obronienia słowa swego, stał przed jego oczyma. Coś mówiło mu, że ten areopag cichy i na zewnątrz nie dający znaku życia, omylić siebie i jego nie może.

---

## VIII.

Jeszcze był Hawnul z Krakowa nie wyruszył, gdy Kecer jednego ranka szepnął mu, że dnia wczorajszego przybył do miasta poseł Semka mazowieckiego do panów krakowskich, a mówiąc to dziwnie trząsł głową, dźwigał ramionami i uśmiechał się w sposób osobliwy.

Chociaż męztwa mu po ostatniej bytności u Jaśka z Tęczyna przybyło wiele, starosta zbyt wielką przywiązywał wagę do sprawy swojego pana, ażeby go przybycie to wysłańca z Wielkopolski poruszyć nie miało.

Nie tyle może co jego, innych też, szczególnieś mieszczan krakowskich, obeszła wiadomość o pośle księcia mazowieckiego.

Od czasu, jak miasto mogło się pochlubić, iż od wrót swych, śmiałem wystąpieniem odparło Mazura, czyn ten heroiczny, co chwila przypominany, podnoszony, wbił w pychę Krakowian, a zarazem wyrobił w nich nadzwyczajną niechęć i nieprzyjaźń dla Semka.

Nazywano go wrogiem, odgrążano się nań. Obawiały się inne miasta panowania jego, lecz Kraków czuł, że byłby wystawiony na zemstę, i dopuścić nie mógł do panowania. Wszystko co ztamtąd szło — niepokoiło.

Gdy się dowiedziano, że pan stolnik kujawski Lasota ze Stawiszyna do Krakowa przybył w poselstwie, poruszyło się wszystko ogromnie.

Stolnik zajął był gospodę w rynku u mieszczanina Stano, a jak się tylko dowiedziano o tem, natychmiast dom poczęły otaczać gromadki nie tylko ciekawe, ale nieosobliwie usposobione dla Kujawiaka.

Wiedział jednak kogo tu posyłał Bartosz z Odolanowa, bo ten i ludzi dobierał i wszystkim rozrządzał, a Semko do oreża się rwał tylko.

Lasotę ze Stawiszyna posłać było można, nie tylko do zburzonego przeciw księciu Krakowa, ale na dno piekła, pewnieby się ani uląkł ani zawahał. A we wszelki ukrop palce maczać, było dlań najulubieńszem.

Mężczyzna lat średnich, miał jeszcze cały ogień młodości, męztwo szalone, pewność siebie niczem niezachwiana, tego ducha potężnego, który poszanowanie nakazuje, a słabych przejmuje trwogą.

Człowiek był zresztą prosty, rozumu chłopskiego, otwarty, serca dobrego, ale groźbą niedający nic wymódz na sobie. Znane jego męztwo pokierowało wyborem Bartosza.

Słusznego wzrostu, gibki, zręczny, silny, Lasota miał twarz wesołą ludzi, co się nigdy niczego nie boją. Nikt mu ducha nie potrafił odjąć, swaru nie rozpoczynał, ale gdy mu się on narzucił nie ustąpił nikomu.

Niezbyt majątny Lasota, nie występował okazale, służbę miał niewielką, przepychu około siebie nie cierpiał, lecz nosił się, jeździł i okazywał zawsze przystojnie i schludnie.

Zaledwie przybył do miasta, wiedzano już, bo się z tem nie tał, że do panów miał zlecenie od arcybiskupa.

Mianował się bowiem przez niego, a nie przez Semka wysłanym.

Jaśko z Tęczyna i Spytek mieli tak dobre wiado-



mości o tem, co się działo w Kujawach i Wielkopolsce, że o nadciągającym pośle i o tem z czem jechał zawczasu byli ostrzeżeni.

Nic było dla nich niespodzianką przybycie Lasoty.

Nazajutrz po przybyciu, dano znać stolnikowi kujawskiemu, iż jeżeli ma co do oznajmienia od Boddzanty, może rano z tem do pana wojewody Spytki z Mielsztyna się udać, dokąd i inni przybędą.

Posłowi tego Semka, który Książ spalil, cbciano pokazać może, iż pan na Mielsztynie przez to nie zubożał. Na spodziewane przyjęcie stolnika wydane być musiały rozkazy, gdyż zawsze okazały dwór wojewody, dnia tego wystąpił w godowych szatach z nadzwyczajnym przepychem.

Lasota z Stawiszyna, jeżeli bywał kiedy na dworze książęcym w Płocku, który za bardzo wspaniały uchodził, mógł się tu przekonać, że Spytek z Mielsztyna nie tylko księciu mazowieckiemu nie ustępował bogactwem dworu, ale go o wiele przewyższał.

Dnia tego całe podwórcę zajmowali liczni dworzanie i czeladź wojewody, postrojeni, butni, czując, że ich na okaz postawiono. Począwszy od węgierskiego stroju do francuskiego, żadnego tu nie brakło, od sędziwego marszałka dworu, do paziów i trefnisiów, nikogo z tych co do pańskiego należeli domu.

W wielkiej gościnnej komnacie, zgromadzeni już byli Jaśko z Tęczyna, Dobiesław z Kurozwęk, Jaśko z Tarnowa, biskup Radlica, kilku prałatów, podostażkiem Leliwitów i Toporczyków... Oprócz młodego pana domu, wszystko prawie starszyzna wiekiem równie jak dostojnością. Grono poważne naokół po ławach rozsiadłe.

Komu innemu może, byłoby to zgromadzenie odjęło męztwo, ale Lasota należał do tych, którzy rosną na duchu, gdy potrzeba.

Wszedł więc w skromnem swem ubraniu staroświeckiem, obejrzał się dokoła, na powitanie gospodarza



pokłonem odpowiedział, i wcale niezmiészany, postąpiwszy kroków kilka, kołpak na stole położył.

— Zaszczycił mnie arcypasterz — rzekł — wysyłając do miłości waszych z poselstwem.

Odpowiedziano uroczystem milczeniem.

Lasota głowę nieco podniósł, zwolna potoczył okiem po przytomnych, którzy siedzieli poważnie, ze wzrokiem ku niemu skierowanym.

— Wzywa on, miłości waszych, na zjazd do Sieradzia, na św. Wit, aby o sprawach utrapionej korony tej się naradzić, a raz im stanowczy położyć koniec. Czas wielki, bo niepokój nam siła krwi kosztuje...

Pasterz nasz, jak ma z urzędu prawo, uprzejmie wzywa wszystkich ludzi dobrej woli.

Stolnik spodziewał się może, iż oświadczenie to wywoła sprzeciwienie się jakieś, namiętne wystąpienie, wyrzuty, sposobił się do odpierania, zatrzymał nieco, czekał.

Wszyscy siedzieli nic okazując, aby ich to bynajmniej obeszło. Lasota wcale nie wiedział, co się gotuje, przyzwolenie czy opór...

Nie odpowiadał nikt długo. Starsi panowie spoglądali na Jaśka z Tęczyna, a ten szeroką dłonią brodę gładził.

Po długim przestanku, stolnik nie wiedząc jak zakończyć, powtórzył.

— Arcybiskup wzywa na dzień św. Wita.

Naówczas kasztelan, poruszył się nieco.

— My tego zjazdu żadnej potrzeby nie widzimy. Radzić niema nad czem. Oczekujemy królownej, która nam jest przyobiecana, ta przybędzie i wszystkiemu koniec. Bez niej zaś nic uczynić nie możemy, próżne rady, zjazdu daremne...

— Królownej niema się co spodziewać — rzekł Lasota. — Jawna rzecz, że królowa dać jej nie chce, zwłócząc od miesiąca do miesiąca. Tymczasem kraj bezpański...

— Przysięgliśmy — odparł krótko Dobiesław z Ku-  
rozwek, — przysięg łamać nie mamy we zwyczaju.  
Czekamy na królowę.

I dodał w końcu głos podniósłszy.

— Na żadne zjazdy jechać nie myślimy...

Lasota spojrział po siedzących, czy miał tą rzeźką  
odповідź uważać za wyraz ogólnego przekonania.

Nie mówiąc nic, siedzący głowami mu zawtórowali.  
Stolnik stał trochę milczący.

— Zda mi się, że choćby i radzić nie było co,  
zawsze wezwanie arcybiskupa poszanowaćby należało  
rzekł sucho.

— Arcypasterza szanujemy w kościele — odezwał  
się Jan z Tarnowa. — Kapitułę zwoływać może, a no  
my do niej nie należymy...

Wystąpienie było trochę ostre i Jaśko z Tęczyna  
wejrzeniem zaraz uśmierzył siedzącego przy sobie Le-  
liwite.

Stolnik wąsa poprawiał.

— Posłem jestem, co mi dano, przynoszę — rzekł.  
— Wolno jednak może powiedzieć, że gdy zjazd doj-  
dzie, bo z pewnością przybędzie wielu, gdy postanowi  
co, naówczas ci co nań nie zjadą winni będą sami,  
gdy się przeciw ich myśli stanie.

— A cóż się stać może? — rzekł dumnie Jaśko  
z Tęczyna. — Wielkopolscy panosze i władzyki okrzy-  
kną sobie Semka może, jako już było? a my, jakieś-  
my go nie znali, tak znać nie będziemy...

Uśmiechali się niektórzy, stolnik kujawski odparty,  
nie stracił wcale śmiałości, z jaką przyszedł.

— Jeszcze mi raz wypada powtórzyć, że posłem  
jestem, co wasza miłość postanowicie, nie moja rzecz,  
lecz nie należałoby wziąć do namysłu?...

— Do św. Wita czasu dosyć — odezwał się Spy-  
tko z Mielsztyna. — Sprawiliście poselstwo, reszta...

— Nie moja rzecz, tak — przerwał Lasota. —  
Wiem ci to, proszę tylko o odpowiedź jaką mam za-  
nieść jego przewielebności.

Obejrzeni się po sobie siedzący, a że się rozumieli dobrze i ustnie porozumiewać nie potrzebowali, zgodnie na Jaśka z Tęczyna zdali odpowiedź.

Kasztelan zwrócił się do posła.

— Pokłon od nas zanieście pasterzowi — rzekł — i powiedźcie, że na zjazd stawić się nie możemy. Próżne to są narady, na których nie zyszczemy nic. Nie jedziemy.

— Nie jedziemy! — powtórzyli wszyscy zgodnie.

Lasota stał jeszcze... Nastąpiło milczenie, powołnym ruchem ręki sięgnął po swój kołpak na stole; w tem na znak dany przez wojewodę, służba w barwie jego, z cudzoziemska obcisło ubrana, z włosami trefionemi na ramionach, w kaftanach z rękawami długimi, wniosła dzbany i kubki pozłociste.

Sam Spytek wziął jeden z nich i podał go z uprzejmością gościowi, który popatrzał nań, skłonił się i nie przyjął.

Na twarz wojewody krwawy rumieniec wystąpił, było to obrażającym dla niego. Lasota nie tłumacząc się i nie zważając na gniew Spytkę, w koło się pokłoniwszy, z dumą i obojętną krwią zimną, zwrócił się do wyjścia.

Widział dobrze, że tu już dłuższe rozprawy nie doprowadzą do niczego, musiał godność swą poselską wynieść stąd bez szwanku. Cisza panowała w izbie, gdy wychodził, gospodarz kubek postawiwszy, po krótkim namyśle przeprowadził go do progę. Tu stolnik zwracając się ku niemu pokłonił się raz jeszcze i kołpak natychmiast na głowę wdziawszy, już się nie oglądając, nie patrząc na dwór wojewódzki, ustawiony na drodze, pojechał do gospody.

Po wyjściu jego, czas jakiś panowało milczenie.

— Bodzantę jak niewolnika trzymają — odezwał się po przestanku długim Jaśko z Tęczyna. — Biedny ksiądz uczyni co mu każą. Wątpliwości nie ma, że Semka obwoła.

— Może go i ukoronować i namaścić, wybuchnął Spytek, przeto on nam królem nie będzie.

— Tego nie uczyni — odezwał się Jaśko zwracając się do biskupa Radlicy. — Wasza miłość pošlijcie do niego z dobrą radą, niech się nie waży... Koronę może dać a infułę stracić.

— Korony przecie niema, bo ta w Budzie — rzekł ktoś z boku.

— Złotnicy w Płocku ukuć mu gotowi nową — odezwał się inny.

— Ks. arcybiskup — przerwał mały Radlica — nie zdaje mi się, aby na ten krok ważył. Mogą wymódlz na nim, ażeby ogłosił go królem, gdy wielkopolskie kożuszki okrzykną, ale korony mu nie włoży... Powolnym jest i słabym, lecz przez to samo do ostateczności tej doprowadzić się nieda.

— Warto duchownego posłać z przestrogą — powtórzył pan z Tęczyna. — Niech się na zemstę królowej nie naraża. W ostatnim razie, Węgrowie przyjść mogą, a ci dóbr arcybiskupich nie poszanują.

Rozmowa stała się powszechną.

Pomimo tej groźby, którą Lasota przyniósł z sobą i widocznego już zamiaru przyjaciół księcia Mazowieckiego, chcących go królem ogłosić, nimby przybyła królowna, panowie krakowscy zbytniego frasunku nie okazywali.

Poszeptano między sobą poufnie, i zgromadzenie rozpraszać się zaczęło z takim spokojem z jakim tu przybyło.

Stolnik kujawski też wracał do gospody, kręcąc węża i nie okazując, ażeby to, co go tu spotkało, było dlań niespodzianką. Mógł się domyslać zawczasu odpowiedzi, znając usposobienie Krakowian.

Nie pozostawało mu nic już do czynienia, oprócz osobnego widzenia się i pomówienia z biskupem Radlicą.

Żlecił mu ks. Bodzanta, aby ująć się go starał i wpływu jego użył na panów krakowskich. Wpływ

ten wszakże był tak mały, iż wcale nań rachować się nie godziło. Skromny, nauce oddany, rodem się nieodznacający, niezamożny Radlica, więcej tu miał nieprzyjaciół, niż zwolenników.

Duchowieństwo i panowie patrzyli nań, jak na narzuconego im siłą przez nieboszczyka króla, człowieka nowego, niegodnego stanowiska jakie zajmował. Zwykle stolica ta biskupia dostawała się komuś z możnych, lub krwią z nimi spowinowaconych.

Słynny lekarz, znakomity uczony, jak mały był wzrostem, tak mniejszym się jeszcze ludziom wydawał na krakowskiej stolicy. Nie miał prawie przyjaciół, a wrogo nań patrzyło nietylko duchowieństwo podwładne, ale ta starszyzna, wśród której z urzędu zasiadał.

Prawdziwy męczennik, wziął brzemię na ramiona, *onus pro peccatis*, i nosił je z pokorą, a stałością ducha, jaką mu dawała pobożność i wielkie w nauce zamilowanie.

Zostając pasterzem, nie wyrzekł się on ani ksiąg, ani powołania, które ukochał. Widywano go szukającego rany, przyprowadzającego leki ręką własną. Człowiek był zacny, cichy, łagodny, wielkiego ducha, lecz wszystkie cnoty jego i przymioty nie mogły przeblągać zazdrosnych i niechętnych.

Z pogardą odzywano się o tym Małym, któremu szyderską nazwę nadano od wzrostu, i pozostał małym dla tych, którzy wielkości jego nie umieli ocenić.

Na dworcu biskupim ks. Radlica, znaczniejszą część większych komnat zostawując pustkami, mieścił się w mniejszych izdebkach, pełnych ksiąg, flaszek, słoików, osobliwości wszelkich, i przejętych wonią medykamentów, którym naówczas wielką moc przypisywano. Całe półki zajmowały tu, jak w aptece, kosztowne balsamy, elixiry, maście, driakwie przywożone z dalekich krajów.

Obok tej farmacyi swej, biskup miał komnatę, w której grubym murze zagłęzione okno z ławami

i pulpitem, najmilszem dlań było siedzeniem, gdy mógł sam pozostać.

Tu światło mając do czytania dobre, zagłębiał się w dziełach Alberta wielkiego i starych ojców nauki, których rękopisma nabywał. I dostojęństwo, które piastował, tem jednym mu zawdzięczało za wszystko co dla niego ponosił, iż dawało możność kupowania ksiąg, których inaczej nabywaćby nie mógł.

W otwartem oknie tem, przy którym w podwórzu, na krzewach pod niem, ptactwo świergotało, pochyłonego nad ogromnym foliantem, zastał tegoż dnia nad wieczór przybywający Lasota.

Jak każdego z gości, biskup przyjął go uprzejmie bardzo, wyszedł do niego ze swej ulubionej kryjówki, posadził przy sobie i zapytał o zdrowie arcybiskupa.

Sam się natychmiast zadawszy to pytanie rozśmiał smutnie.

— Widzicie, *medicus* u mnie z pod biskupiej suknii zawsze patrzy.

— Jego miłość — rzekł Lasota — dzięki Bogu ma się dobrze, ale trosk ma wiele.

— Komuż na nich zbywa! — westchnął biskup — ludzka to rzecz, ludźmi jesteśmy.

— Ks. Bodzanta zlecił mi pozdrowić pasterza — mówił dalej Lasota — i prosić go, abyś z urzędu swego i przez wpływ przyczynił się u panów mało-polskich.

Biskup nie dał mu dokończyć, mierząc go ciekawem, zdziwionem wejrzeniem.

— Mój wpływ! — rzekł — dziecko moje, któż tego nie wie, iż ja tu żadnego nic mam! Nie żalę się na to, ani narzekam, lecz nie godzi się do tego odwoływać co nie istnieje.

— Jednakże... — przerwał Lasota.

— Niema żadnego na to sposobu — mówił biskup. — Ja nie mogę nic, chyba przy łasce Bożej choremu czasem pomódz, a biedaka zdrowego słowem pańskim zagrzać.

— Gdybyś wasza pasterska miłość przemówić chciał do nich.

— Toby był groch na ścianę, dziecko moje—rzekł biskup łagodnie.—Powiedźcie ojcu naszemu Bodzancie, że panów tutejszych pozyskać dla tego, kogo ono prowadzi, żadna siła ludzka nie potrafi: są to mężowie żelazni i woli niezłomnej.

Westchnął biskup.

— Radziłbym raczej, aby pasterz powagi swej nie narażał, podejmując co się dokonać nie da. Powiedźcie mu poufnie, że Semko nigdy tu królem nie będzie. Lękają się w nim surowego i mało oglądanego człowieka, boją wpływu wielkopolan, na tron go nie puszczają.

— A jeśli Bodzanta ogłosi królem? — spytał Lasota.

— Zważać na to nie będą — odparł biskup. — Dlatego życzę, niech sobie dla niego nie poświęca.

Nie chrześcijańska to rzecz zemsta, lecz jej wielu z serc wyrzucić nie może.

Semko wydał Krakowianom wojnę pałac Książ; tego mu nie przebaczą, lecz gdyby nie postąpił sobie nawet tak mściwie, nie przyjęliby go nigdy.

Lasota milczał słuchając.

— A jednak—rzekł—siła wielka prowadzi księcia Mazowieckiego i bądź co bądź, królem go mieć chce.

Biskup spuścił oczy.

— Nic wam dopomódz nie mogę—dodał.—Nikommu źle nie życzę, Bogu wszystko oddaję, ale sam siły nie mam.

Zawieźcie to wyznanie słabości mojej, której się wyznać nie wstydzę, ojcu naszemu.

Zachmurzyło się czoło posłowi—siedział chwilę milczący, wstał powoli i całując rękę biskupa, pożegnał go.

Wszystko co tu spotkało nieszczęśliwego posła, może przewidywanem być mogło, nie spodziewał się on powodzenia. Inaczej jednak wyobrażał je sobie.

Sądził, że stoczy walkę burzliwą, że spierać się z nim będą lub grozić. Na to był przygotowany, na ten chłód niemal pogardliwy, jakiego doznał, na dumną obojętność jaką go odprawiono, nie rachował.

Bolało go upokorzenie.

Tem dumniej musiał wychodząc od wojewody i opuszczając dworzec biskupi podnieść czoło, aby ludzie nie widzieli gniewu, który w piersi jego kotłował.

— Cóż dalej!—mówił sam do siebie.—Do księdza Chotka na probostwo!! aby i tam jeszcze zjeść jaki przysmak, jakim mnie wszędzie częstują.

Ruszył wprost za Floryańską bramę. Ks. Chotek się go spodziewał, a na wstępie zarzucił pytaniami o biednego swojego arcybiskupa.

— Zaprawdę, biedny jest—rzekł Lasota—bo mu się nie wiedzie w niczem. Spodziewajmy się jednak, że lepiej będzie, gdy króla dostaniemy.

Wikaryusz ręką machnął w powietrzu.

— Daleko do tego!—zawołał.

— Nam się widzi blisko — rzekł dodając sobie męstwa, którego nie miał Lasota.—Ogłosimy królem Semka, arcybiskup go nim uzna, a panowie krakowscy niech czynią co chcą, uznać będą musieli.

— Znacie ich?—zapytał ks. Chotek.

Na to pytanie dłużnym został odpowiedzi stolnik.

— Nie, nie znacie — dodał żywy ks. wikary. — Mierzycie tutejszych ludzi wielkopolską piędzą; to cał inny ród, obyczaje, serca i głowy. U was liczba rządzi, mrowisko, a u nas jak u pszczoł królowe, panowie. Waszych tysięcy głów nie starczy, na tutejszą jedną głowę...

Mówił żywo bardzo, a Lasota słuchał, jakby nieprzekonany i niepokonany.

— I liczba też coś znaczy—odezwał się—zobaczmy kto wygra.

— Z góry wam powiadam, że nie wy! — zawołał gwałtownie wikary—ks. arcybiskupa radbym wstrzy-



mał, ubłagał, aby się nie posuwał za daleko, i króla nie ogłaszał.

— Nie nie pomożel—zimno rzekł Lasota.

Ks. Chotek lękając się powiedzieć za wiele, zamilkł całkiem.

Z jakimi nazajutrz myślami odjeżdżał stolnik kujawski, popróbowałwszy na różne strony, czy mu się nie uda namówić, aby szlachta na zjazd przybyła, można było wnosić z tego, że na ludzi nie patrzył i zapytany nie chciał odpowiadać.

Lecz Kraków i przedniejsi panowie, nie byli dla niego wszystkiem. Zdawało mu się, że mniejszą szlachtę, uboższą, owych panoszków i władyków, których znał w Wielkopolsce, jako żywioł ruchawy i czynny, potrafi zyskać podbudzając ich przeciwko panowaniu wielkich rodów i bogatej starszyny.

Puścił się więc pan stolnik szukać tych małych dworzków i mniejszych ludzi, lecz z wielkiem podziwieniem swem, znaleźć ich tu nie mógł. Małopolska a szczególnie te okolice, które przebywał wcale inaczej wyglądały. Pańskie majątności zajmowały obszary ogromne, ubożsi posiadacze do wielkich rodzin należeli i z niemi trzymali, właściciele drobnych kawałków ziemi, szlachty lub pół szlachty, których tyle znajdowało się w Mazowszu i w Wielkiej Polsce, tu prawie nie było.

Nie było więc kogo jednać.

Przyjechawszy do wsi, zaczynał od tego Lasota, że pytał czyja była; okazywało się najczęściej, że albo klasztorna, kościelna, lub Leliwy jakiego, Topora, Sreniawity, Różyca.

A z temi nie było co mówić. Głowy tych rodów siedziały w Krakowie.

Przewędrowawszy kawał krakowskiego nadaremnie, stolnik kujawski dopiero poznał dowodnie, jak wielka była różnica tych ziem od Wielkopolski, i zwątpił, aby ztąd na zjazd, on i jego pomocnicy mogli kogo sprowadzić.

Nie chcąc się jednak przyznać do chybionego celu podróży, jak był przyrzekł, udał się zdać z niej sprawę do Płocka.

Dawno już tu nie bywał Lasota, mało go pamiętał, lecz dostawszy się do miasta, spostrzegł, że musiano na bliskie, a szczęśliwe ukończenie sprawy rachować, bo wszystko było w ruchu i niezmiernej krzątaninie.

Płock jeżeli nie na stolicę, to na obóz wyglądał. Rycerstwo przybywało, ludzi spędzano i uzbrajano, broń zakupioną z Pomorza i od Krzyżaków przywożono ciągle. Była ona lichą, wprowadzie a drogo kosztowała, ale się bez niej obejść nie mogli.

Nietylko na zamku, ale po za jego murami, w mieście i na przedmieściach, sotnicy, dowódcy, parobków i młodzież dobierali do oddziałów i liczyli. Konie pędzono stadami, a i żywność ściągano z wiosek, bo jej dla tego wojska wiele było potrzeba.

Stary wojewoda Socha, chorąży równie posiwały pod hełmem, inni starzy dowódcy, młodych wdrażali do wojennej sprawy.

Im bliżej zamku, tem ruch stawał się większy i żywszy. W podwórcach, które nigdy za dawnych czasów zbytku nie widziały, stali teraz postrojeni rycerze, dwór poprzybierany kosztownie, tłumy czeladzi na nowo ściągniętej, niezbyt zręcznej, ale już postrzyżonej, pomytej i poodziewanej.

Przyszły król musiał się okazać, jak przystało na możnego pana.

Nie było to w obyczaju książąt mazowieckich, u których patryarchalna panowała prostota, lecz w chwili tej koniecznością się stało występować tak, aby w ludziach wzbudzić poszanowanie.

Nalegał na to Bartosz z Odolanowa, który wszystkim władał.

Semko już zaszedłszy tak daleko, cofać się nie mógł.

Młody pan nie był rad ani z siebie, ani z wypad-

ków, ani z obrotu sprawy, lecz raz dawszy się wciągnąć, musiał iść do końca.

Bartosz i inni panowie, starali się go przekonać, iż cel niezawodnie osiągniętym zostanie. Semko czasem dawał temu wiarę, niekiedy przeczucia miał złe i dręczył się niemi.

Janusz po przestrobach bezskutecznych nie dawał znaku życia. On do niczego mięszać się nie chciał.

Książę od pierwszego wystąpienia, rzucony w ten wir i zamieszanie, niewiele miał czasu do rozmyślenia. Wypadki powiązane z sobą, jak łańcuch nierozzerwany się plotły. One go wyrwały z Płocka, i nazad tu pędziły; naprzemiany wprawiały w gniew okrutny, jak pod Krakowem i Książem, to w dumę i nadzieję, jak w tej chwili po owładnięciu Kuja-wami.

Bartosz umiał wszystko, nawet to, co najmniej pomyślnem było, wystawić w świetle najlepszem. Miał moc zaszczipiania swojego męstwa i zapалу w drugich.

Stolnik kujawski zajechawszy na zamek, tłok tu zastał tak wielki, iż ledwie z ludźmi swemi wcisnąć się potrafił, a jemu samemu do księcia było trudno się dobić.

Szlachty pełne były izby, stoly dla niej nieustannie musiano zastawiać. Właśnie dnia tego wielka się rada odbywała. Bartosz przybywał od arcybiskupa Bodzanty z zapewnieniem, iż nie będzie się wahał, po okrzyknięciu Semka, koronować go.

Nie zważał i lekceważył to, że korony owe stare z Rzymu niegdyś przywiczone, w Gnieźnie się znajdowały, i że je chyba nowemi trzeba było zastąpić.

O przybyciu Lasoty, wprzód nim go do księcia dopuszczono, dowiedział się Bartosz z Odolanowa i wybiegł przeciwko niemu. Spojrzeli na siebie, starosta odprowadził go na stronę, gdzie w wielkiej

sieni rozmówić się mogli, nie zwracając na siebie oczów.

— Coście sprawili? — zapytał żywo Bartosz, mierząc go bystem wejrzeniem.

— Na konium się strząśł, głębie sobie wystrzępiłem, słońce mnie napięкло, pył mnie nadusił — rzekł stołnik — a no, więcej podobno nic.

Bartosz słuchał nie przerywając.

— W Krakowie o zjeździe ani chcą słuchać, nie wiedzieć, wszyscy odradzają ogłoszenie króla, lękają się, a Małopoleanie znać go nie będą.

Namordowałem się dużo bez skutku: biskup Radlica, duchowieństwo, wszyscy nam źle wróżą.

— A ty myślisz, stołniku, że ja, gdyś w poselstwie jechał do nich, spodziewałem się, że nam przywieziesz co lepszego? — odparł Bartosz. — Wiedziałem, że się nas boją i nie chcą. Trzeba iść przebojem.

— Z Małopolski żywa dusza nie przyciągnie na zjazd — dodał Lasota.

— Kto wie! — rzekł Odolanowski pan. — Ktoś się tam znajdzie przecie, o to się postaramy.

— Cóż księciu powiem?

— Żeś poselstwo sprawił i że Krakowianie milczkiem je przyjęli — rzekł Bartosz.

Gdy we dwu potem do wielkiej izby weszli, gwar w niej panował i ścisk taki, że u drzwi musieli się wstrzymać, nim się ciżba przerzedziła. Stoły stały nakryte, a pomimo okien pootwieranych, nieznośna woń jadła, napojów i tylu zgromadzonych ludzi, powietrze czyniło ciężkiem. Gorąco też było dla wielkiego ścisku. Szlachta siedziała, stała, chodziła, podnosiła kubki, ciągle wnosząc zdrowie księcia i odkazując się przeciw nieprzyjaciółom jego.

Wśród ciżby tej, książę Henryk dziwacznie przystrojony, snuł się od jednej do drugiej gromadki podsłuchując, wyśmiewając gości, drwiąc z nich, zabawiając się z niemi i kubki wypróżniając. Pozwa-

łał sobie wiele, ale jako młokosowi i bratu książęćemu uchodziło wszystko.

Semko, który w poważniejszym gronie siedział na wysokiem krześle, w postawie dumnej, w bok się wzięwszy, spoglądał czasami na brata z gniewem w oku, lecz nie próbował go odciągać ani naganiać, bo wiedział, że temby do nowych pobudził wybryków.

Semko nie był tym młodym chłopakiem, jakim go widzieliśmy przed kilką miesiącami, wahającym się jeszcze, czy ma się poddać marzeniom, czy przykładem ojca i brata precz je odtrącić.

Z twarzy widać było npojenie rodzaj szału i rozpromienienie nadziejami. Przybyło mu wiary w siebie.

Nie mówiono tu o niczem innem, tylko o dalszych podbojach i zabieraniu zamków w Wielkopolsce, o ujmowaniu sobie dowódców, tak jak Jakusza Kuligę w Krnszwicy ujęto, o przyszłym zjeździe w Sieradziu, i co po nim czynić należało, aby Małopolan zmusić do poddania się.

Kalisz i Łęczyca były według Bartosza najpilniejsze, i te naprzód opanować musiano.

Na pomoc brata Janusza nie rachował nie Semko, lecz Konrada księcia Oleśnickiego spodziewał się ująć sobie książę, a Bartosz gotów był nawet Odołanów mu dać za kopijników kilkuset do prowadzenia dalszej wojny.

Jedni utrzymywali, że Domaratowi już się nie będą śmieli porwać, drudzy przewidywali nparte trzymanie się ich, a nawet przywołanie Zygmunta w pomoc.

Wśród żywej tej rozmowy książę postrzegł zdala stojącego z Bartoszem Lasotę i zwrócił się ku niemu, znak dając, aby się przybliżył.

Szedł z nim i Bartosz czujny, aby stolnik ze zbytnią się nie zdradził goryczą.

Wyprzedził nawet odezwanie się jego, chcąc mu wskazać, w jaki sposób mówić należało.

— Stolnik wraca—rzekł—sprawiwszy dobrze poselstwo. Panom krakowskim nie chce się do Sieradzia, ale bodaj będą musieli.

— Cóż mówią? — przerwał pochylając się książę.

— Ba, żebyż oni mówić chcieli—odezwał się Lasota—ale oni mileżeć wolą, a może i nie wiedzieli co powiedzieć...

Semko czekał na jaśniejsze tłumaczenie, gdy Bartosz wtrącił.

— Dosyć na tem, że się im oznajmiło, niech czynią jak im lepiej, my się na nich oglądać nie będziemy.

Niezupelnie odpowiedzią tą zaspokojony, książę wstał z siedzenia, i skinąwszy na stolnika, wprowadził go do bocznej komnaty.

Bartosz byłby poszedł za nim chętnie, lecz wstrzymał go stary Socha, który o załodze jaką trzeba było wzmocnić Krnszwicę, chciał się z nim naradzić.

Lasota mając już wskazówkę daną, wiedział co ma mówić, a co zataić.

— Panowie krakowscy źli są i niechętni—rzekł—ale to najlepszy dowód, że się słabymi czują. Wszyscy tam potrwożeni zjazdem w Sieradziu, więc tem mocniej trzeba się nam gotować. Widzą, że nledz będą musieli.

Książę, którego Bartosz w złudzeniach ntrzymywał, skłonnym był wszystko widzieć teraz składajacem się po myśli. Nie zachmurzył się wcale.

— Widziałeś tego wroga mojego, Spytką?—zapytał.

— Jakby naumyślnie, u niego poselstwo mi sprawiać przyszło — rzekł Lasota.

— Złościł się! narzekał!—podchwycił Semko.

— Nie—rzekł Lasota—przeciwnie, chciał po pańsku lekce sobie ważyć. Mowy o tem nie było.

Książę się rozśmiał.

— O! dojadłem temu młokosowi!—zawołał—i nie prędko strąć wydycha.

Lasota począł potem w ogóle mówić o swej podróży, nastając na to, że się Semka lękano, co było znakiem, iż siłę w nim czuli.

Pochlebiało to księciu, który po niedługiej rozmowie, powrócił razem z posłem do izby. Wszczęły się znów przerwane rozprawy i dotrwały do późna.

Semko w końcu znużony, a zniecierpliwiony dokazywaniem Henryka, który jadalni do nocy nie opuszczał, wysnął się do sypialnej komnaty i rygle za sobą zamknął.

Potrzebował spoczynku i obrachowania się z samym sobą.

Przez cały ten czas prawie nie dano mu rozmyśleć się i rozważyć własnych czynności... Miał ciągle przy sobie kogoś, który mu ostygnąć nie dozwalał.

Odetchnął wolniej znalazłszy się w samotności, chłodzie i ciszy. Padł na siedzenie u stołu, nie wołając o światło, nie oznajmując służbie. W ustach i w głowie brzmiały jeszcze wykrzyki, któremi go cały dzień karmiono, proroctwa jakimi mu się przypochlebiano.

W ciągu dnia wszystko to podnosiło go i rozgoryczkowały, teraz nastąpiło nieuchronne znużenie i cisnące się wątpliwości. Przypominał słowa i przestrogi Jannsa.

Smutno mu na duszy było...

W tem zwolna nchyliła się zasłona we drzwiach, sądził, że Ułina przychodziła go nawiedzić, ale w miejscu jej ukazała się Błachowa.

Szła powoli, z rękami na piersiach założonemi i głową zwieszoną smutnie.

Semko przywykły był temi czasy widywać ją prawie zawsze smutną, lecz tego dnia wydała mu się jeszcze bardziej w myślach pogrążoną i strapioną.

Stała przed nim patrząc długo i nie odzywając się, jakby nad zmęczonem dzieckiem się litowała.

— Co tobie Błachowa?—odezwał się książę.

— Mnie? Cóż ma być?—zwolna zamruczała stara

wzdychając. — Mnie? albo to o moją dolę chodzi teraz? Ja się troskam i płaczę nad waszą.

— Jest czego płakać—zawołał szydersko.

Złymnęła się stara.

— Ale bo ciebie tem królestwem zaślepili — rzekła—a co u ciebie się dzieje! czy ty wiesz?

Pomilczała i niedoczekawszy się odpowiedzi ciągnęła dalej.

— Ta gawiedź wszystko wypila, wyjadła, rozniosła... Niema nigdzie nic, ani w śpichrzach, ni w gumnach, ni w spiżarniach... Zapytaj co się w skarbcu zostało! Jak wymiółł. Nigdzie grosza, nigdzie ziarna, nawet srebrne naczynia w zastawie u żydów.

Konie, wozy, żelaztwo, rozechwytuja rozbójnicy.

Semko się rozgniewał trochę i zwrócił żywo do niej.

— Cóżes ty chciała, aby ludzie darmo służyli? aby przyszły bez wojowania Kujawy i zamki? Wojsko kosztuje... przyjaciół ujmować trzeba.

Blachowa głową potrząsała.

— A jak z tego posiewu nie będzie ziarna? — odezwała się—co naówczas?

— To być nie może!—gorąco zaprzeczył Semko.— Nie nie wiesz... nie rozumiesz nic... Tylko co nie widać, jak mnie królem ogłoszą.

Spojrzała nań długo stara.

— Wszak już raz tak było?—odparła—daj Bóg, by znowu gęby im kto nie zamknął, gdy będą mieli okrzyknąć...

— Naówczas inni ludzie byli tam — zawołał Semko.

— A teraz gdzie się oni podzieli?—zapytała Blachowa.

Ksiązę rozmowę tą był rozjątrzony, strzepnął rękami i nagle spytał.

— Ułina gdzie?

— Siedzi w oknie podparta na rękę — poczęła



stara tęsknie — albo i z tej co się to zrobiło! Mily Boże!

Cieszyła się, radowała, padła teraz na nią tęsknica czarna i przyniotła. Dziecka nie poznać, oczy jej zapadły, liczko do reszty wybielało, słowa z niej nie dobyć, a zechce zaśpiewać, to się rozplacze.

Ona, ona też — dodała Blachowa po małym przestanku — czuje coś złego!

Jakby wiedząc, że o nią pytano, powolnym krokiem, niosąc kaganek zapalony w ręku, wsunęła się Ułina do izby. Szła powoli, zadumana, zmieniona, z włosami rozplecionymi, z wiannszkiem zsuniętym na czoło, odziana bez starania, opuszczona i zbolęła.

Księżę i matka patrzyli na nią.

Nie mówiła nic, kaganek postawiła na stole, potoczyła wzrokiem dokoła, machinalnie poprawiła przywiedły wianek, założyła ręce na piersiach i zdawała się czekać, aby matka nazad ją zabrała z sobą.

Semko pilnie się jej przypatrywał.

— O! — rzekł cicho — biada mi z wami, dopóki się wszystko nie skończy, oczy sobie wypłaczecie. I w porę, właśnie gdybyście się radować powinny.

Ułina ramionami ruszyła.

— Niech, niechby się to skończyło — rzekła smutnie — lepszy najgorszy los, niż ciągła bojaźń pioruna, który ma uderzyć, a nie bije!

— Z jasnego nieba? — zawołał, wesołość chcąc udać księżę.

Obie niewiasty milczały, popatrzyły na siebie tylko, Semka niecierpliwiły te obawy i skargi.

— Jakbyście się zmówiły — rzekł — aby mi psuć serce i odejmować odwagę. Wiecie, że wszystko mi się powodzi, że rychło musi się dokonać, co postanowiono.

— A co potem dla nas będzie lepszego! — odezwiała się Ułina. — Do księcia teraz dostąpić trudno, cóż to będzie do króla.

Semko wstał żywo, zbliżył się do Uliny, pogłaskał ją po główce i przysunawszy się szepnął.

— Nie bądź zazdrosna, wszystko sięłoży jak najlepiej, a Ulina jak była tak zostanie przy mnie z Błachową.

Dziewczę głowę podniosło.

— Albo mi to Ulina w myśli? — odparło obrażone. — My możemy nazad do chaty pójść i tam żyć a płakać, a co będzie z tobą?

Niedowiarstwem tem zniecierpliwiony Semko, odwrócił się gniewny.

Cisza była w komnacie. Ulina oparłszy się ręką o stół, nie ruszała się z miejsca, stara Błachowa powoli poszła ku pościeli i poczęła ją bezmyślnie przygotowywać na noc. Semko dumiał... Kaganek niejasny słabem światelkiem blado sypialnię rozjaśniał... Smutek zawisł nad wszystkimi...

Książę uczuł go też w sercu. Miałoż to spokojne życie jego się skończyć, a wichry i burze roznieść tę domową ciszę. Jak błyskawica mignęło przecucie najazdu, wojny, wygnania, niewoli... lecz natychmiast otrząsł się z tych myśli czarnych, podniósł głowę i śmiejąc się rzekł Ulinie.

— Gdy królem zostanę wydam cię za księcia!

Dziewczyna spojrzała nań oczyma wielkimi, rozszzerzonymi, strząsnęła się, jakby dreszcz ją przeszedł i nie mówiąc nic, nie oglądając się, wyszła z izby krokiem powolnym.

Matka niespokojna podążyła za nią.

---

### III.

Na kilka dni przed Świętym Witem, Bobrek znajdował się jeszcze w Toruniu, w domu matki.

Przybył tu niespodzianie, chory, z febrą, która go niemiłosiernie trzęsła, wylękły, zmieniony i zbiedzony, tak że stara, której się już zdawało, że dla syna niewdzięcznego w sercu niema nic oprócz żalu srogięgo, zobaczywszy go, ulitowała się i zapomniawszy ile cierpiała od dziecka tego, przyjęła je jak marnotrawnego syna.

Zwłókł się milczący do łóżka, dając czynić z sobą co matka rozkazała, poddał się leczeniu, które wprowadzona stara baba rozpoczęła od zamawiania choroby i parę dni leżał w gorączce mało okazując przytomności.

Zamawianie czy ziola, które pil posłuszny, cudownie poskutkowały. Przyczyniła się do tego i troskliwość matki, która od łóżka jego nie odstępowała. Dopóki chory był, nie mówił prawie nic i stara cieszyła się, iż może syna odzyskać, tak się jej okazywał powolnym.

Razem ze zdrowiem jednak dawna natura i obyczaj powróciły. Otworzywszy oczy i przypomniawszy sobie gdzie był, zapytał naprzód o dzień tygodnia i miesiąca.

Dowiedziawszy się o nich, zerwał się niecierpliwie i począł mrużyć niezrozumiałe przekleństwa. Chciał spróbować wstać, lecz dnia tego jeszcze na nogach utrzymać się nie mógł.

Matka w rozpacz niemałą, starała się przekonać go, iż długi czas jeszcze nie będzie się mógł ruszyć z jej domu. Bobrek nie chciał tego słuchać.

Dawne zuchwalstwo mu powracało.

— Dla głupiej febry przebytej, jabym tu miał sie-

dzieć? — zawołał — kiedy pilne sprawy każą iść gdzieindziej??

Zaczął się domagać jadła, napoju, potem obwinał się i głowę zatopiwszy w poduszki, zasnął. Drugiego dnia nim matka wstała był już na nogach, odział się, a choć blady, żółty i osłabiony, npierał się jechać. Matka prosiła, by został, na próżno.

— Wy nic nie wiecie — rzekł do niej — mnie już jedno nieszczęście spotkało, jeżeli panom drugi raz źle nśluzę, wszystkie moje zasługi przepadły.

Począł chodzić po izbie, mówiąc jakby sam do siebie.

— Kilka nocy w lesie, na deszczu i rosie, w błocie stojąc, śpiąc w błocie, dla tego łotra co się nam wysliznął z garści, żelaznyby człowiek nie wytrzymał. Dwóch nas odchorował! Zebyśmy go byli wzięli! Ale nie... Przesunął się nam pod nosem... Darmo ludzie stali, a kto będzie winien? Bobrek...

Matka słysząc nrywane słowa, zapytała go o te nocne czaty, chcąc się dowiedzieć coś więcej, potrząsnął głową nie mówić nie chcąc.

— Tyle tego — rzekł — że mnie teraz jechać znów trzeba.

Potwierdziło się to co mówił, gdyż tego samego dnia przybył z zamku kompan komtura na zwiady do domu matki. Dowiedziawszy się o chorym, poszedł z nim do izby osobnej i siedział na rozmowie długo. Gdy wyszedł, Bobrek zapowiedział ostro i stanowczo matce, że nazajutrz do dnia jechać mnsi.

Wiedziała biedna stara, że mocy nad nim niema i zatrzymać go nie potrafi, starała się tylko wyprawić tak na drogę, aby mu nie zbywało na niczem.

Nie okazując najmniejszej wdzięczności, klecha przyjmował to jak należne sobie, na matkę nie spojrział, a tak był już podróżą swą zajęty, że nie słyszał co mówiła do niego i widzieć się jej nie zdawał.

Pocieszało ją to nieco, że Bobrek już dnia tego

i silniejszym był, i zdrowie odzyskiwał cudownie. Wielka potęga woli działała w nim.

W przekonaniu, iż napój go pokrzepić powinien, poprzedzającego wyjazd wieczora domagał się wina gotowanego z korzeniami, wypił go dużo i zasnął tak twardo, że matka miała nadzieję, iż zaśpi ranek, a podróż odłoży.

Zbudził się jednak do dnia, i jak postanowił, wnet do podróży przygotował.

Zimno bardzo podziękował matce za gospodę, siadł na konia i na zamek naprzód pojechał.

Komtur przyjął go surowo.

— Jedź natychmiast, abyś w Sieradziu był i wszystko widział na oczy, co się tam dzieć będzie. Masz na dworze księcia znajomych.

— Zlecicie mi co?

— Uszy i oczy nastawić — odparł stary Krzyżak.

Klecha chciał mu się tłumaczyć z tego co miał na sercu i rozpoczął uniewinnianie swe, gdy komtur przerwał mn.

— Dość tego, łaska Boża, że nasi ludzie jeszcze nie wpadli w ręce nieprzyjaciela. Do zasadzek wysłacie się nie zdali, niewiele do czego innego, a no, starajcie się sławę swoją naprawić.

Odprawiony tak Bobrek ruszył natychmiast z Torunia, z gniewem w sercu przeciwko światu całemu, nie wyjmując i Krzyżaków, którym służył tak gorliwie. Pocieszało go, że chociaż czyniono mu wyrzuty, przecież się nim posługiwać musiano, nie mając kim zastąpić.

Tym razem nawet, komtur dla bezpieczeństwa dał mu człowieka, który osłabionemu chorobą miał być pomocą. Mało co spoczywając, nie żalując ani koni ni sługi, Bobrek śpieszył tak, że w wigilję świętego Wita w Sieradziu stanął.

O gospodzie myśleć tu co nie było, tak wszystkie domostwa włłkopolscy panosze zajmowali. Wielka ich część leżała obozem naprzeciw zamku. Książę

Semko ze dworem swym, na pół siłą wprowadził się do niego i rozgościł.

Bobrek konia i służbę rzuciwszy na łaskę Bożą, powłókł się do zamku, o kanclerza pytać, gdyż spodziewał się, że z księciem jako kapelan przybyć musi.

Lecz dopytać o kogokolwiekbądź, łatwo nie było w tym tłoku ludzi i niezmiernem poruszeniu, jakie się tu czuć dawało.

Na pierwszy rzut oka poznał Bobrek, iż sama nie-mała drobna wielkopolska szlachta i Mazury składali tłum, wśród którego krakowskich panów i Małopolan wcale widać nie było. Na zamku trafił mu się chłopak od posług ks. kanclerza, który na ten raz bardzo mu się przydał. Pachole było głupawe, ciekawe i gadatliwe.

— Prowadź mnie do pana swego — rzekł klecha.

— Nie wiem gdzie go szukać — odparł chłopiec — poszedł do areybiskupa, do Dominikanów a Bóg wie kiedy wróci.

— Areybiskup w klasztorze?

— A jakże, i nie sam — dodał chłopak. — Przywiózł z sobą dwu jeszcze, bo tu powiadają, trzech ich musi być...

Uśmiechnęło się pachole.

— Będziemy mieli koronację.

— A korona? — wtrącił żartobliwie klecha.

— Żyd ją przywiózł — szepnęło chłopie cicho, palec do ust przykładając. — Żyd złotnik z nią tu siedzi na zamku.

— Gdzie?

Chłopak wskazał ręką na mury.

— Ciekawaby rzecz zobaczyć! — zamruczał Bobrek. Na to pacholę głową pokięciło tylko.

— Dziś jeszcze o tem mówić nie wolno.

Oczekując na kanclerza, klecha nie miał nic lepszego do robienia, jak sznurkować po kątach. Chło-

pak mu izbę pokazał, w której żyd z koroną się miał znajdować.

Śmiało jak gdyby do tego był uprawnionym wtargnął do sklepionej o jednym oknie komory Bobrek. W kącie jej na ławie, w ciemnym płaszczu, siedział mężczyzna blady, z długą brodą w czapeczce na głowie, którą na widok klechy nieco uchylił i natychmiast nakrył znowu. Lękliwem okiem spoglądał na przybyłego.

Klecha ciekawym był sprawdzić powieść o koronie; nie widział innego środka nad próbę rozpoczęcia rozmowy, w ten sposób, aby zdawać się mogło żydowi, iż on o wszystkim jest zawiadomiony.

— Wy tu sami myślicie nocować? — zapytał — mając przy sobie takie drogocenne rzeczy.

Żyd drgnął, pomyślał.

— No? a gdzie bezpieczniej być ma jak na zamku?

— Oddalibyście lepiej podskarbiemu — dodał Bobrek.

Zamiast odpowiedzi siedzący na ławie głową potrząsnął znacząco.

— Boicie się o zapłatę? — uśmiechając się rzekł klecha, zwolna zaczynając przechadzać po izbie.

Niechętny do rozmowy, głową tylko dał znak potwierdzający. W twarzy jego niepokój malował się wielki.

— A wy kto? — zapytał.

— Do dworu należę i do ks. kauclerza — rzekł Bobrek.

Po chwili milczenia żyd pocichu się odezwał.

— Jak myślicie? będzie ona potrzebna?

Spojrzał nań bystro klecha, nieprzygotowanym będąc na to pytanie, ramiona mu drgnęły.

Ci co ją gotować kazali, musieli być pewni, że się przyda.

Parę razy przeszedł się jeszcze Bobrek po izbie. Oko jego dostrzegło pudła ciemnego, które żyd pod płaszczem ukrywał starannie.

Nie było więc wątpliwości, iż koronę nawet przygotowano. Sprowadzenie dwóch biskupów miało także znaczenie to, iż się do koronacyi przysposabiano.

Dla wysłańca Krzyżaków, były to wiadomości niepomysłne, ale ważne. Nie miałże się tu znaleźć nikt coby zapobiegł ogłoszeniu Semka?? Panowie krakowscy tak sobie to lekceważyli??

W tych myślach zatopiony Bobrek się wysunął z izby w korytarz i otwierając drzwi omało nie potrącił żywo przechodzącego człowieka, który się obejrzał. Poznał w nim jednego z wikaryuszów kościoła na Wawelu, znajomego z Krakowa, którego zwano ks. Płazą. Ten równie podobno był zdziwiony, widząc tu Bobrka niespodzianie, jak on, że go tu spotkał.

— Co wy tu porabiacie? — zapytał.

— Ja? alboż to trudno odgadnąć — odparł pokornie Bobrek. — Biedny kłecha szuka chleba i roboty, więc gdzie dno ludzi ciśnie się, próbuje czy go do czego nie użyją, a ks. wikaryusz?

Nie odpowiadając na pytanie ks. Płaza stanął za myśłony.

— Co tu słyhać? — rzekł — ja tylko co przybyłem?

Bobrek rad był się do kogoś przyczepić, zbliżył się więc do wikarego, gotów go objaśnić i razem wybadać.

— Alboż nie wiecie na co się zanosi? — odparł.

— Zebrali się królem Semka Mazowieckiego ogłosić.

— Sami! Wielkopoleanie dla siebie? — odparł wikary. — To nie może być!

— Na pewno się to ma stać — podchwycił Bobrek — bo nawet koronę przygotowali...

— Być nie mógł

— Wiem to dowodnie. Arcybiskup dwóch biskupów nawet wezwał, bo ich potrzebuje do assystencyi — mówił kłecha.



— A gdzież arcybiskup — przerwał wikary żywo — ja go właśnie szukam.

— Nie na zamku, ale u Dominikanów gospodą stanął — rzekł Bobrek. — Chcecie to was tam zaprowadzę. Potrzebujecie się z nim widzieć?

Ks. Płaza głową tylko potwierdził i szybko iść począł, kłechę prowadząc za sobą. Widać było w nim zakłopotanie wielkie.

— Głowy potracili! — począł mówić na wpół do siebie, wpół do kłechy, który go nie odstępował. Przez samo poszanowanie dla swojego księcia, nie powinni go na pośmiewisko wystawiać! Nie dziwię się szlachcie wielkopolskiej, ale ks. Bodzancie...

Bobrek słuchał pilno i cheiwie.

— Dobrzeby było, żeby go kto przestrzegł — dodał cicho.

— Jeżeli to pomoże! — odparł ks. Płaza, przyspieszając kroku.

Łatwo już było zmiarkować klesze, iż ks. wikaryusz musiał być posłanym z Krakowa w tym celu, aby arcybiskupa, jeżeli się da powstrzymać od narażenia się na prześladowanie, na skargi, które przeciw niemu, pójść mogły do Rzymu. Inaczej bytności jego tutaj wytłumaczyć sobie było trudno.

Doszli tak do klasztoru ks. Dominikanów, równie zapełnionego gośćmi, jak zamek. Szła starszyzna witać Gnieźnieńskiego pasterza, około którego gromadziło się duchowieństwo, z miasta i okolicy. Mazury swojego Biskupa płockiego szukali. Był tu już Bartosz z Odolanowa i wiele rycerstwa, przyprowadzonego przez niego. Chciano arcybiskupowi okazać, jak licznych miał Semko zwolenników.

Arcybiskup przyjmował gości w refektarzu, wraz z dwoma biskupami zasiadając. Cisnęli się wszyscy do niego, całując po rękach i prosząc o błogosławieństwo. Bodzanta pomimo tej czci, jaką go otaczało, twarz miał smutną i zakłopotaną. Oglądał się niepokojnie.

Ks. Płaza klechę zostawiwszy w korytarzu, sam wśliznął się do refektarza, lecz wprędce się przekonał, że tu z arcybiskupem na osobności, jak sobie życzył, rozmówić się niepodobna będzie.

Musiał czekać. Ze dworu ks. Bodzanty nie znał nikogo, oprócz jego kapelana, ale i tego tu wyszukać łatwo nie było. Zwrócił się więc na korytarze, pytał i bładził póki kapelana tego nie wynalazł.

— Mój ojcie, — szepnął mu, jestem posłany umyślnie z Krakowa, dla widzenia się z ks. Arcybiskupem. Rzecz niemałej wagi, dzisiaj koniecznie na osobności z nim mówić muszę... Proszę was, abyście jego miłości o mnie donieśli.

Kazano się ks. Płazie w celi, która była przeznaczoną dla ks. Bodzanty, zatrzymać, lecz dobra godzina upłynęła niżeli się go tu doczekał.

Arcybiskup wszedł, znużony niezmiernie rzucając oczyma dokoła, a ujrawszy ks. Płazę, obrócił się zaraz ku niemu.

Byli sami, bo kapelan wyszedł, aby drzwi zamknąć i nie dopuszczać nikogo. Po ucałowaniu ręki, wikary zbliżył się do siedzącego arcybiskupa, który pot z użnójonego czoła ocierał i wzdychał.

— Jestem wysłany z Krakowa—rzekł Płaza.

— Od kogo?

— Bez mała od wszystkich, co tam rej wodzą — odparł ks. Płaza — ks. Radlica razem z panem krakowskim, z wojewodą i innemi przysłali mnie do was...

Arcybiskup spojrzał strwożony.

— Nikt z nich nie będzie?—spytał.

— Nikt — odparł ks. Płaza. — Wiedzą dobrze, iż Wielkopolanie królem chcą obwołać Semka, a na to się oni nigdy nie zgodzą. Wiadomo i to, że wasza miłość jesteś w ich ręku i że możesz zmuszonym być ogłosić kogo oni okrzykną.

Z boleścią Bodzantą, oglądając się trwożliwie, ręce podniósł ku niebu.

— Tak jest, niestety! — zawołał stłumionym głosem.—Nie mogę się opierać, zajądą mi Łowicz, zniszczą dobra, samo Gniezno niepewne...

Co ja mam czynić? co czynić?

— Ojcie a pasterzu — przerwał Płaza — ale toż samo grozi wam od Margrabiego brandeburskiego, od Małopolan, którzy górę wezmą nieochybnie... byle siły zebrali...

— Rozum każe bliskiego naprzód unikać niebezpieczeństwa—odezwał się rozpaczliwie arcybiskup.— Co czynić? Widzicie sami! Jestem przymuszony! Nóż mam na gardle!

Ks. Płaza westchnął.

— Rozumieją to dobrze w Krakowie, sędzę, że w miłość oprzeć się nie możecie — począł — lecz na miłościwego Boga, za daleko się nie posuwajcie.

Bodzanta załamał ręce. .

— Ale jak i gdzie, możliwy kres i miara? Niedosyć, że go będę musiał ogłosić, bo to się i bezemnie stanie, że go okrzykną, lecz chcą, bym koronował!

Płaza pokłękł przed arcybiskupem.

— Na Boga, zaklinam was, tego nie czyńcie — zawołał.—Znajdzie się tysiąc środków do odroczenia koronacyi. Korona królewska w Budzie.

Koronę inną zrobiono i przywieziono tu, dwóch biskupów przywołano, wszystkie przygotowania poczynione.

— Lecz korona niebłogosławiona w Rzymie, nie przysłana przez Papieża, nie jest koroną — zawołał ks. Płaza.—Nikt dotąd nigdy bez zezwolenia Stolicy apostołskiej, nie włożył jej na skronie!

Możecie i powinniście odroczyć ten obrzęd, a zyskawszy na czasie, ocalicie samego księcia od wstydu, i siebie od prześladowania. Nigdy Małopolanie go nie uznają. Składają się przysięgą uczynioną królowej... czekają na córkę jej Jadwigę.

— Może być małżeństwem połączoną z ks. Sem-

kiem, gdy królowa w Koszycach Wilhelma się rakuzkiego wyrzekła...

— Semka panowie krakowscy nigdy na tronie nie ścierpią!—zawolał ks. Płaza.

Biskup rękami twarz zakrył sobie, drżał cały. Szanując wzruszenie jego, ks. wikary milczał czas jakiś.

— Miłość wasza—dodał—znajdziecie jakikolwiek—bądź powód do odroczenia. Z tem mnie posłano, błagam o to, aby smutnych następstw i straszego rozdwójenia na kraj nasz nie sprowadził niebaczny krok Wielkopolan.

— Jawna jest rzecz, że albo oni przewodzić chcą i prawa dyktować, lub zamierzają się oddzielić od Krakowa i reszty ziem polskich...

Znowuby więc monarchia ta, tyłą krwią i trudu zlepią i połączona, rozsypała się i poszła na łup wrogom...

Bodzanta słuchając łzy ocierał.

— Bracie mój—rzekł—wszystko to, niejeden raz ja mówiłem sobie, w godzinach utrapień moich, lecz jak się oprzeć przemocy? Oni mścić się będą.

— Gdyby się nawet ośmielili—rzekł ks. Płaza—nie potrwa to długo...

— Straszne brzemię na ramionach moich — zajęczał arcybiskup. — Biskup Ścibor Płocki nie oprze się, owszem mnie jeszcze przynaglać będzie; Mikołaj z tem tu przybył, aby być Semkowi posłusznym, ja jeden! jeden...

Ks. Płaza słuchał bacznie.

— Do obrzędu koronacyi wiele braknie, a gdyby cokolwiekbądź wedle zwyczajów kościoła i kraju nie dostawało, byłaby nieważną. Tem się miłość wasza obronicie...

Ogłoszenie króla, gdybyście byli do niego zmuszeni, bez namaszczenia nie ważyć nie będzie...

Musicie, ojcze i pasterzu, oprzeć się koronacyi. Od Łokietka już koronowali się wszyscy w Krako-

wie. Nie dopuszczono drugiej koronacyi Loisowi w Gnieźnie, w Sieradziu co ona znaczyć będzie?

Arcybiskup nderzony był ostatnim argumentem.

— Więc chyba odłożyć ją do Gniezna?—wyjąknął wahając się.

— Odłożyć w jakikolwiekby sposób, zyskać na czasie — wołał ks. Płaza.

Zadumał się ks. Bodzanta. Utrapienemu arcypasterzowi ta zwłoka była pożądaną. Gniezno mogło do niej być dobrym pozorem.

— Tak—rzekł—uprę się przy Gnieźnie, lecz jeśli zażądają natychmiast go tam prowadzić?

— Gniezno nie jest bezpieczne — odparł ks. Płaza. Domarat i siły margrafa poruszają się. Oni nie wazą się do Gniezna, wy obstawajcie przy nim. Jeżeli nie Kraków, to Gniezno.

Bodzanta, pomimo zachmurzonego czoła, odetchnął wolniej.

— Zdaje mi się — dodał ks. Płaza — iż zawczasu tego warunku objawiać nie potrzeba, dość będzie wystąpić z nim w ostatniej godzinie.

Ukoronowanie musi się odbywać w stolicy, jeżeli nie w królewskiej, to choć arcybiskupiej, u grobu św. męczennika Wojciecha.

Przekonany zdawał się ks. Bodzanta, milczał, westchnął raz i drugi.

Rozmowa byłaby się przeciągnęła jeszcze, gdyby kapelan nie ozuajmił przybycia kujawskich kasztelana i stolnika, którzy z innemi powitać Pasterza śpieszyli...

Cofnął się więc ks. Płaza przykląkwszy do pocałowania ręki, a arcybiskup pochylił się mu do ucha i szepnął.

— Bądź spokojny, a daj im świadectwo, żem zmuszony! Nie władam sobą. Bezpieczeństwa kościoła i mienia duchowieństwa mojego bronić muszę.

Wikary wychodząc we drzwiach się rozminął z nadciągającemi Kujawiakami. W korytarzu przy-

czajony czekał na niego Bobrek, rad mu z oczów wypatrzyć, co z sobą przynosił. Niełatwem to było, gdyż ks. Płaza, mimo energicznego charakteru, dosyć był w sobie zamknięty.

Gdy z klasztoru wyszli, klecha zagaił ubolewaniem nad uciskiem, w jakim arcybiskup zostawał, lecz wikary zamrnczał coś niewyraźnie i nie odpowiedziałwszy, udał się do Fary, gdzie spodziewał się znaleźć na probostwie pomieszczenie.

Na zamku przez całą prawie krótką tę noc czerwcową, światła nie wygaszały, sposobiono się na dzień jutrzejszy, a księżę do późna u siebie starszyzną przyjmował, dla której stoły zastawione były.

Na dzień następny wszystko zawczasu zostało obrachowane. Z goryczą przekonali się przyjaciele księcia Mazowieckiego, że Krakowianie, nawet dla zaprotestowania przybyć nie raczyli, i jak poprzednio, spierać się o wybór nie myśleli, chociaż łatwo go mogli przewidzieć.

Był to rodzaj wzgardy i lekceważenia, który szlachtę wielkopolską, w jej miłości własnej ranił boleśnie.

Czuli wszyscy, iż wybór przez to, pod zupełną niebytność tych, którzy znaczną część kraju przedstawiali, tracił na wadze i znaczeniu, gniewał się i odgrażał Semko, nadrabiał ufnością w swe siły Bartosz, lecz w duchu pojmowali to, że ciężkie na barki wzięli zadanie. Cofać się już nie mogli. Semko mniej niż inni skłonny był do tego, dla sromu samego, choć widział jasno, że przyjaciele, czyniąc go narzędziem swoich namiętności, nad niebezpieczny skraj go zaprowadzili.

Jak dzień poruszać się wszystko zaczęło... W kościele dominikańskim po rannem nabożeństwie przygotowywano wszystko na przyjęcie księcia uroczyste. Obok tronu arcybiskupiego ustawiono drugi dla niego, poźlocisty i okazały...

Wedle myśli Bartosza, Semko nie miał go zająć

przybywszy do kościoła, lecz dopiero po okrzyknięciu jako wybranego króla, podnieść miano uroczyście na ten tron dla niego zgotowany.

Szlachta, której pilno było zająć miejsca najbliższe biskupów, zawczasu kościół napelniać zaczęła...

Bartosz z Odolanowa i co było ze starszyny a urzędników, przyszedł też dla nakazania i utrzymania porządku... Wszystkim pilno było, i na wszystkich twarzach, niecierpliwość się malowała.

Książę w orszaku okazałym, we zbroi, w płaszczu szkarlatnym, przybył konno, a dla natłoku wprowadzono go przez zakrystyę.

Na widok swojego wybrańca, szlachta niecierpliwa już była gotowa, okrzykiem go powitać, lecz kierujący nią Bartosz, dal znak i szmerem tylko znaczącym pozdrowiono wchodzącego.

Arcybiskup z towarzyszami czekał na to, by mu znać dano. Błady i drżący wszedł otoczony duchowieństwem i modlitwą do Ducha świętego obrady zagail...

Zaledwie się ona skończyła, gdy... zasiadłszy na tronie Bodzanta głos zabrał, ale z początku mówił tak cicho, drżący i niepewien, że nikt go, oprócz najbliższych stojących nie słyszał.

Uroczysta, grobowa niemal cisza, panowała w kościele... Arcybiskup mówił o nieszczęśliwym położeniu kraju, który się domagał pana i rządu, wspomniał o poprzednim zjeździe, o zwłokach, które królowa napróżno ich uwodziła i wezwał zgromadzonych do obmyślenia dla ojczyzny ratunku.

Po nim w rubaszny a rzezki sposób odezwał się Bartosz z Odolanowa, przypominając uchwałę zjazdu, i naglącą potrzebę wybrania głowy. Zalecał Piastów krew, potem wyraźnie Semka, książęcia Mazowieckiego i Kujawskiego...

Szmer i okrzyki mowę mu już przerywały, znajdowano jednak właściwym przedłużyć narady pozor-



nie, niby do uchwalonego i umówionego proklamowania króla przyszło...

Mówiło kulku, nikt nie przeczył, żaden głos ani zwłoki, ani nowej narady, ani nieobecności Małopolan nie wspomniał.. Spozierano po sobie. Hasło było dane, aby dopiero na znak Bartosza huknął tłum cały, jako jeden mąż, Semka królem ogłaszając...

Ten i ów wtrącił coś: skarżyli się na bezkrólewie, bezrząd i wojnę domową...

Bodzanta siedział bledniejąc w miarę, jak się stanowcza zbliżała chwila... Bliżej niego stojący duchowni widzieli, jak mu się ręce trzęsły i wargi drżały... Oczyma o litość błagającemi bojaźliwie oglądał się do koła...

Na ostatek po przecignięciu pozornych onych obrad, gdy wszyscy na jedno zgodni byli. Bartosz podniósł głos zapytując tłumu, kogoby królem mieć chciał...

Zatrząsł się kościół od wybuchu zgodnych głosów.

— Semko królem naszym! Semko!

Wykrzykiwano jeszcze, gdy z pierwszych rzędów kilkunastu się wyrwało przygotowanych biegnąc do księcia... Wstrzymali się jednak, gdy arcybiskup powstał...

On jeszcze raz słabym głosem, zapytał zebranych o wolę narodu, i okrzyk powtórzył się po raz drugi, z nową siłą.

Naówczas Bodzanta podniósł rękę do góry, nakazując milczenie, i wśród chwilowego uciszenia—ogłosił.

— Książęcia Ziemowita Mazowieckiego i Kujawskiego królem Polski...

Okrzyki radosne, szalono wtórowały mu, kapłani szli ku wielkiemu ołtarzowi, aby rozpocząć pieśń dziękczynną, gdy przygotowana szlachta rzuciła się ku Semkowi, na swoim miejscu stojącemu jeszcze, i pochwyciwszy go na ręce, wzniosła nad głowy... z wołaniem—Niech żyje król nasz Semko!—Nieśli go



tak do przygotowanego tronu, i uroczyście posadzili na nim...

Biskupi z Bodzantą śpiewali już pieśń dziękczynienia..

Stało się tedy—król został uroczyście ogłoszonym przez arcybiskupa, okrzykniętym, na tron wzniesionym...

Okolo tronu stanęli wszyscy znakomitsi panowie mazowieccy, kujawscy i wielkopolscy, tworząc mn orszak wspaniały... Chorągry mazowiecki rozwinął nad głową księcia chorągiew o dwóch orłach i dwu pn-haczach...

Na twarzy Semka widać było dumę zwycięzcy i radość doścignionego celu — wielką siłę a razem i troskę wielką, choć pokrytą pozorem wesela...

Dla niego nie był to koniec starań o koronę, lecz dopiero krok pierwszy do jej zdobycia, a razem wypowiedzenia wojny tym wszystkim, którzy odwracali się od niego...

W tłumie radość była nie do opisania — bo dla szlachty znaczyło to zwycięztwo odniesione nad wroół-zawodniczą Małopolską; zwycięztwo gromady nad wy-branćami, ubogich koźuchów władycznych i panoszo-wych, nad złotogłowy pańskimi.

Pomimo iż wszystko skończonem się zdawało, nie odchodził nikt, tłum się nie rozpraszał.

Arcybiskup z dwoma towarzyszami i klerem, po odśpiewaniu hymnu wszedł do zakrystyi...

Bartosz z Odolanowa czekał tu już na niego... Pocałował go w rękę cały przejęty i nniesiony...

— Ojcie nasz dąbrotliwy — zawołał — dokonajmy rozpoczętego dzieła... Na co zwlekać... Koronę mamy przygotowaną, obrzęd włożenia jej na skronie wybranego, natychmiast się odbyć może... Prosimy cię, błagamy!

Arcybiskup stał blady...

— Dziecko moje — odezwał się — to jest niepo-dobieństwem... Koronacya ma swe prawa i formy

przepisane, my do spełnienia ich nie jesteśmy przygotowani. Niepodobieństwo!

Spojrzał na asystujących sobie biskupów, którzy, sprzeciwiać się nie śmiejąc, milczeli. Znać było jednak po nich, że niekoniecznie w zupełności zdanie arcybiskupa podzielali...

— Niepodobieństwo! — szepnął ks. Bodzanta.

Bartosz stał chwilę w niepewności wielkiej...

— Zatem jutro! — przebaknął z pewnem rozdrażnieniem w głosie...

— Jutro! ale to ani czas, ani miejsce — dodał wahając się Bodzanta. — Koronacya w Sieradzu nie miałaby znaczenia... Musi się ona odbyć, jeżeli nie w Krakowie, to w Poznaniu, lub w Gnieźnie.

Bartosz poruszył się tak gwałtownie, że zbroja na nim szczęknęła.

W Poznaniu! w Gnieźnie! powtórzył rozpaczliwym głosem... Zwłokaby była niesłychana. Ojciec, to także niepodobieństwo...

Stali wszyscy milczący. Ścibor biskup płocki, po cichu coś Bodzancie szeptać zaczął, lecz arcybiskup zdawał się nie słuchać i nie słyszeć.

Drżał i powtarzał — Niepodobna! nie żądajcie niemożliwych rzeczy...

Cóżby znaczył ten pośpiech? jak gdybyśmy nie byli pewni swego? obawiali się? Koronacya nie może się tak odbyć... W Gnieźnie...

Jak skamieniały stał Bartosz z Odolanowa. Był on prawie pewien, że skłoniwszy arcybiskupa do ogłoszenia króla, z koronacją najmniejszej nie będzie mieć trudności. Namyślał się co miał począć.

— Nad tem się naradzić potrzeba — zawołał w końcu — odroczym zgromadzenie do jutra.

Arcybiskup się nie sprzeciwiał. Obejrzał się tylko dając znak oczekującym klerykom, ażeby z niego zdjęli obrzędowe szaty... i wzdychając do modlitwy uklęknął.

Starosta, który łatwo mężstwa nie tracił, po ma-

łej chwili z pogodnem prawie czołem wyszedł do kościoła i poszeptawszy eoś z księciem, siedzącym jeszcze na tronie, odezwał się do szlachty zwracając, iż zgromadzenie do jutra odraża...

Z nowem wołaniem, czapki podrzucając wesoło, tłum zwolna z kościoła począł odpływać. Niektórzy szli pierwsi panu się swojemu pokłonić do kolan i życzyć szczęśliwego panowania.

Semko skłaniał się ku nim i dziękował, uśmiechał uprzejmie, lecz brwi miał namarszczone groźnie i troskę na czole...

Ruszyli się wreszcie otaczający księcia i on sam nazad przez zakrystyę, gdzie u hocznych drzwi kościoła stał pysznie przystrojony, pod złotem szytą deką, wierzchowiec nowo ogłoszonego króla...

W zakrystyi Bodzanta i biskupi pierwsi złożyli powinszowania, ale książę nie zatrzymał się tu długo, z powagą, milczący wyszedł w podwórze, dosiadł konia, i do koła otoczony wiernemi swemi, wśród okrzyków, które na widok jego wznosiły się, pociągnął ku zamkowi.

Przez całą tę drogę zasianą ludźmi, powtarzało się — Żywie! niech żywie! — i towarzyszyło mu aż w progi zamkowe.

Semko nie mówił nic do swych towarzyszków. Wszystko to wydawało mu się, jakby snem jakimś dziwnym, niemal strasznym. Radość tłumił zrodzony z nią razem niepokój.

Bartosz choć tryumfował i wiedział, że wszystko to jego dziełem było, jechał także posepny. Opór Bodzanty zepsuł mu wszystko. Odłożenie koronacyi samo obwołanie zachwiać mogło. Należało ubłagać, przekonać, zmusić bodaj arcybiskupa, ażeby natychmiast do niej przystąpił. Dopiero wpadłszy na zamek, gdy mu znowu kłaniali się jako panu swemu, ci co go tu przeprowadzili, Semko usta otworzył.

— Mówiliście z Bodzantą?—zapytał z pewną nieśmiałością Bartosza.

— Krótko bardzo, gdyż czasu na to nie było — odparł pan Odolanowski — ale natychmiast jadę do niego.

Semko znużony wszedł do drugiej komnaty. Sam chciał być chwilę z sobą. Siadł na ławie. Trwoga jakaś ogarniała go mimowoli.

Przez okna otwarte dochodziły zdala wesole, szalone, powtarzane kupkami, rozlegające się do koła okrzyki; słuchał ich i drgał.

Wszystko teraz zależało od Bodzanty, potrzeba było na nim wymódlz koronację niezwłoczną... Polska namaszczoneму królowi poddać się musiała...

Bartosz z Odolanowa czasu do narad i rozmyśłów nie chcąc zostawić Bodzancie, siadł na koń i z jednym sługą pobiegł do klasztoru Dominikanów.

Arcybiskup odpoczywał, był cokolwiek osłabiony, nie wpuszczono go do niego. Wszedł do plockiego biskupa Ścibora, którego znalazł krokami wielkimi przechadzającym się po celi... Biskup plocki był cńszą i ciałem oddany Semkowi, lecz nie dosyć miał energii, aby mógł wystąpić stanowczo, przeciw arcybiskupowi.

Musiał go oszczędzać.

— Ojcie—zawołał od progu Bartosz— ogłosiliśmy króla, nie dosyć na tem, musimy go ukoronować i namaścić, inaczej nie zechcą poszanować wyboru Małopolanie.

Zżymnął ramionami ks. Ścibor, okazując że to nie zależało od niego.

— Na Boga! cóż się naszemn arcypasterzowi stało—zawołał Bartosz—w połowie dzieła niedokonanego rzucić je...

— Nie moja to rzecz—odparł żywo Ścibor.—Macie mnie tu, gotów jestem przy koronacyi służyć, lecz nie do mnic ona należy. Mówcie z arcybiskupem.

— Cóż powiada Bodzanta?

— Że w Sieradziu ani czas jest, ani miejsce potemu...

Bartosz cały się rzucił, ręce łamiąc.

— Niepojęta rzecz! To są zabiegi czyjeś, w tem tkwi zdrada!—krzyknął poruszony.

— Umawialiście się z nim wprzód o koronację?—zapytał biskup.

— Mowy nie było o rzeczy, która musiała nastąpić jako dopełnienie aktu ogłoszenia. Arcybiskup wiedział, żeśmy przysposobili koronę...

Ks. Ścibor głowę spuścił, nie odpowiadał.

Rozgorączkowany Bartosz nie ustępował. Postanowił czekać bodaj u drzwi ks. Bodzanty, ażby go wpuszczono do niego.

Tymczasem upływały godziny, wieczór nadchodził. Pukając i naprzykrzając się starosta, w końcu został wpuszczony.

Bodzanta siedział z zaciśniętymi ustami, błądy, przygotowany widocznie już na to przyjęcie.

W imieniu swem i księcia Bartosz zaklinać go począł. Bez tej korony włożonej na skronie, bez błogosławieństwa kościoła, bez namaszczenia, wszystko co się dokonało, nie miało znaczenia!

Bodzanta zawsze słaby, wahający się, bojaźliwy, tym razem okazał siłę przekonania niewzruszoną.

Odpowiedział łagodnie, pocieszając, lecz dowodząc razem, że koronacja była w Sieradziu niemożliwą, a w Gnieźnie odbyć się tylko mogła, gdy Wielkopolska uspokojona zostanie. Nic tań tego, iż żadnego od niego ustępstwa spodziewać się nie mogli.

Bartosz próżno uniżał się i groził, narzekał, straszyl gniewem króla, ks. arcybiskup milczał, lecz ugiąć się nie dawał.

W końcu, odkładając nałeganie do jutra, Bartosz musiał na zamek powrócić, gdzie książę na niego czekał z gorączkowym niepokojem.

Ukrywać postanowienie Bodzanty nie było podobna. Starosta starał się tylko wytłumaczyć Semkowi, iż zwłoka ta, nie nadwęgzała wyboru, i wcale mu szkodzić nie mogła.

Semko prawie nie słuchał.

Nie chciał się poniżyć do zebrania u arcybiskupa o ten obrzęd, do którego zmusić się go spodziewał.

Wyrozumiawszy opór Bodzanty, wydał po królewsku rozkaz Bartoszowi, ażeby się nie ważył więcej mówić z nim o tem, ani go prosić.

Na zagładzenie przykrego wrażenia, jakie uczyniło nagle cofnięcie się arcybiskupa, przyszła nazajutrz wiadomość radosna, iż Pietrasz Małocha poddał zamek łączyski.

Semko postanowił podziękowawszy szlachcie, nie widząc się z arcybiskupem nawet, natychmiast z Bartoszem ciągnąć pod Kalisz.

Dumne to znalezienie się względem Bodzanty, dawało wyobrażenie o charakterze Semka, dla którego mała wina zacierała pamięć wielkich zasług.

Nie mógł mu przebaczyć książę tego zawodu, który uczuł boleśnie.

To powołanie na tron, wydawało mu się teraz nienal krzywdą wyrządzoną i pozbyciem się tylko umiejętnem nalegać Bartosza.

Raz powziawszy myśl ruszenia pod Kalisz, książę ani godziny zwlekać jej nie chciał. Zostawił szlachcie Bartosza, aby jej wyjazd nagły koniecznością wojenną wytłumaczył, a sam tejże nocy z całym orszakiem swoim wyciągnął z zamku.

Szlachta tymczasem ucztowała okrzykując króla swojego, ciesząc się, spodziewając koronacyi i jak piorun spadła na nią wiadomość rano, że Semko biegł Kalisz zdobywać...

Arcybiskup przebudzony dowiedział się o tem z ust kapelana, zdumiony stał chwilę, bo go strach ogarnął zrazu, lecz kląkł na modlitwę spokojniejszy, nie potrzebował się już naleganiom opierać.

Tegoż dnia, Wielkopoleanie trochę zawiedzeni w nadziejach, wiłżąc że w Sieradzu robić już co nie mają, rozjeżdżać się zaczęli.

Wszystko pierzchało ztąd z pośpiechem większy m jeszcze, niż przybyło.

Ks. Płaza po mszy u fary, uspokojony odjazdem księcia, natychmiast wybierać się zaczął z powrotem do Krakowa.

Na wsiadanem już przywłókł się do niego Bobrek. Twarz miał wesołą, ale mówił smutnie.

— Tom się darmo trząś, aby do tego Sieradzia dobić—rzekł szydersko—nikt nawet jednej modlitewki u mnie nie kupił... Te władzyki wielkopolskie, grosza przy duszy nie mają. O zielonej paszy, na chudych szkapach się tu przywlekli, krzyknęli raz i drugi, napili się piwa, i jazda nazad do swych zagród.

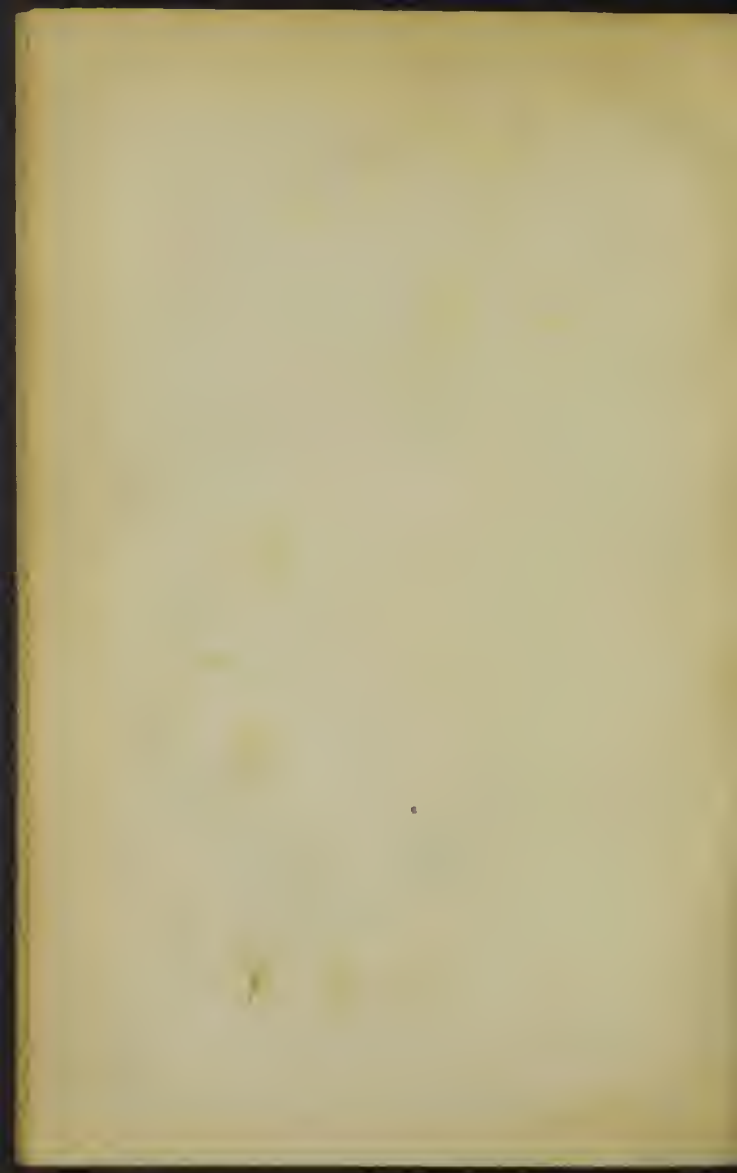
A i księcia czy króla nagle nie stało — dodał z uśmiechem.—Niewiedzieć teraz jak go zwać, a i on sam niepewien czem jest...

Zniżył głos Bobrek i dodał.

— Złamanegobym denara nie dał za tę jego koronę.

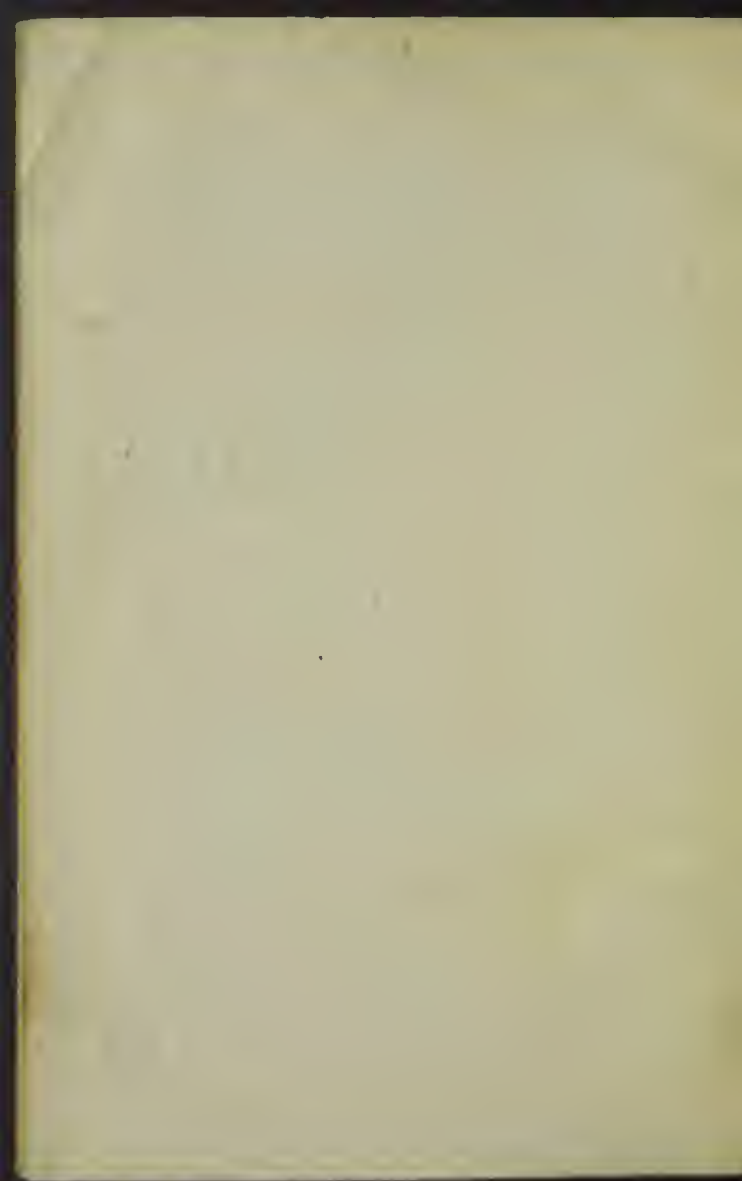
KONIEC TOMU DRUGIEGO.

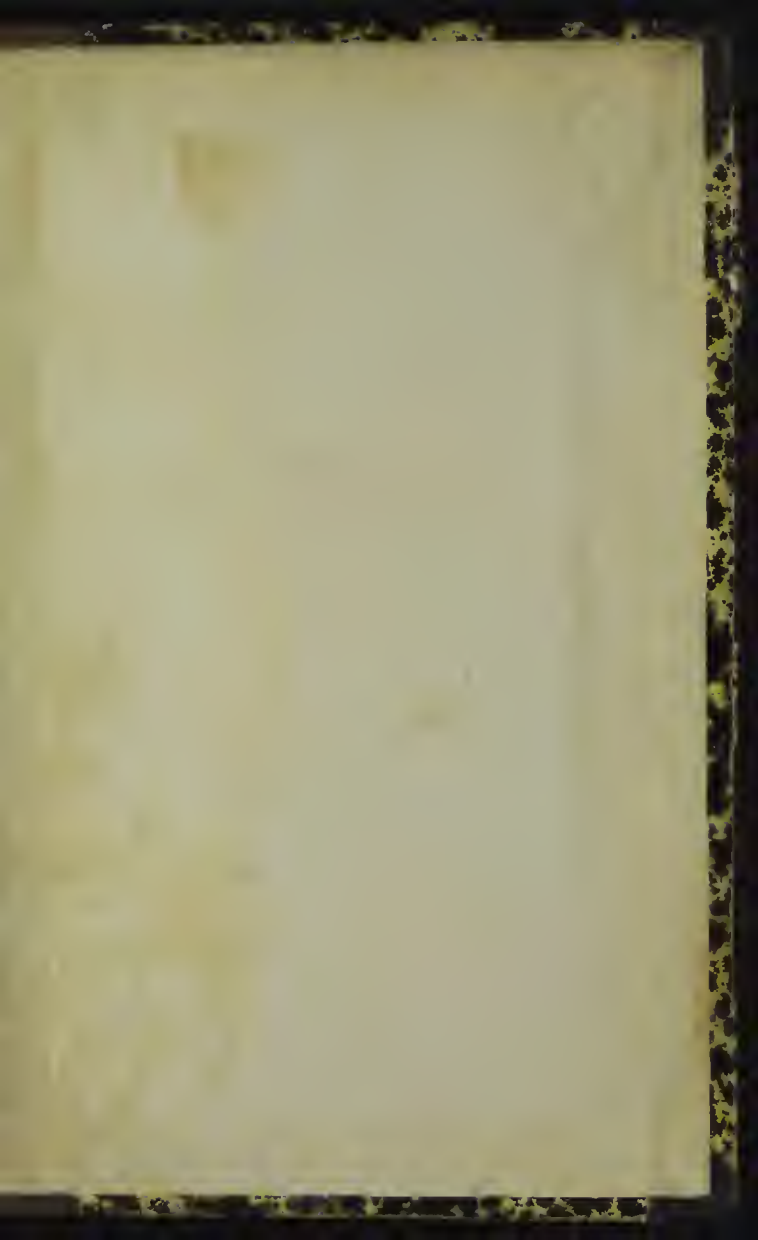












Biblioteka Raczyńskich

**JK 352**



JK0352